

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**

**Nr 9/468**

**1986**

---



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

J. NOWAK: **POLSKIE POSTULATY**

REDAKCJA: **NASZ KOMENTARZ**

A. TOKARSKI: **PYTANIA STRATEGICZNE**

L. UNGER: **KLUB NIEWINNYCH**

A.W. PAWLUCZUK; **GENET — ŚMIERĆ  
BOGA I CZŁOWIEKA**

# SPIS RZECZY

Jan Nowak:	<i>Polskie postulaty</i> .....	3
Redakcja:	<i>Nasz komentarz</i> .....	16
Redakcja <i>Kultury</i> :	<i>Do naszych Czytelników</i> .....	22
Andrzej Tokarski:	<i>Pytania strategiczne</i> .....	23
Paweł Morga:	<i>Notatki o ćwiczeniu w antysemityzmie</i>	35
Rudyard Kipling:	<i>Człowiek, który był</i> .....	47

## ARCHIWUM POLITYCZNE

Leopold Unger:	<i>Klub niewinnych</i> .....	61
Dominik Morawski:	<i>„Polityka małych kroków”</i> .....	75
Michał Heller:	<i>Tajemnice władzy komunistycznej</i> ..	78

## K R A J

Leon Bójkó:	<i>Chmury nad Polską</i> .....	83
(ja):	<i>Notatki z Polski</i> .....	90
Michał Ostrowski:	<i>„Boże, pozwól, bym potrafił...”</i> .....	96
—	<i>Sami sobie</i> .....	99

## SĄSIEDZI

Józef Mirski:	<i>Smutne sprawy w Wilnie</i> .....	103
Józef Łobodowski:	<i>„W i d n o w a”</i> .....	106
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i> .....	111
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i> .....	119

## SPRAWY I TROSKI

Jerzy Zubrzycki — Mieczysław Górski:	<i>Australijska polityka imigracyjna</i> ....	123
--------------------------------------	---	-----

## CI, CO ODESZLI

—	<i>Profesor Edward Lipiński</i> .....	135
---	---------------------------------------	-----

## KRONIKA KULTURALNA

Andrzej W. Pawluczuk:	<i>Genet — śmierć Boga i człowieka</i> ..	137
Csaba Gy. Kiss:	<i>Węgierskie spojrzenie na „Rodzinną Europę” Miłosa</i> .....	145
—	<i>Kongres PEN w Hamburgu</i> .....	152

## K S I A Ź K I

Krzysztof Pomian:	<i>Przypomnienie Abramowskiego</i> .....	155
Krzysztof Rutkowski:	<i>„Journal Philosophique” M. Prokopa</i>	159
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i> .....	161



—	<i>Wydarzenia miesiąca</i> .....	163
---	----------------------------------	-----



Ks. J. M. Bocheński, O.P., J. Garliński, W. Kuczyński, J. Walc, M. Lisiński, J. Rokita, A. Rosenbusch, A. Tiplt:	<i>Listy do Redakcji</i> .....	167
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i> .....	174

# KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ      Wrzesień - Septembre      1986

INSTYTUT



LITERACKI

## WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Erika i Andrzej Chilecycy, Kolonia (RFN) — zamiast kwiatów na grób śp. Wacka Kisielewskiego — DM 150,00	F. 487,50
Andrzej M. Cisek, Carmel, N.Y. (USA) — dla uczczenia pamięci dr. Janusza Osińskiego — \$ 42,00	F. 283,50
C. P. Czuchwicy, Panorama, S.A. (Australia), po raz 16-ty	F. 400,00
F.H., Fairfield, OH (USA) — dla uczczenia 40-tej rocznicy utworzenia Instytutu Literackiego — \$ 10,00	F. 67,50
J. i A. Gombińscy, Londyn — dla uczczenia pamięci dr. St. Gombińskiego w trzecią rocznicę Jego zgonu	F. 350,00
W. Iwanowski, Milton, MA (USA), po raz 26-ty	F. 115,00
Monika i Victor Markowicz, Englewood, N.J. (USA) — \$ 300,00	F.2.025,00
Krystyna Janota-Bzowska, Londyn — dla uczczenia pamięci Ojca, Franciszka Mierzwy, zmarłego 19 lipca br. w Stanach Zjednoczonych — \$ 100,00	F. 675,00
Adam Lizakowski, San Francisco, CA (USA) — \$ 5,00	F. 33,75
N.N. z Argentyny — \$ 5.000	F.33.250,00
Ronald S. Brown, Robert H. Stone, i R. K. Vossar z Bethesda, MD i Gaithersbury, MD (USA) — pamięci płk. Wacława Makowskiego — \$ 50,00	F. 337,50
Pp. John Sutcliffe, Revere, MA (USA) — pamięci płk. Wacława Makowskiego — \$ 10,00	F. 67,50
Zamiast kwiatów na grób Zofii Ulman, w pierwszą rocznicę Jej śmierci — Ewa Józwiak i Helda Perska	F. 292,68
Piotr Zawołokin, Stockholm, w rocznicę śmierci Matki — Krs 100,00	F. 100,00
Janusz Zembrzusi, Anglet (Francja), po raz 43-ci	F. 500,00
Prof. Jerzy Zubrzycki, Canberra (Australia) — honorarium za artykuły o Polsce w związku z aresztowaniem Zbigniewa Bukaja w <i>The Age</i> (Melbourne) i w <i>Canberra Times</i> — \$ A. 150,00	F. 703,13

DZIĘKUJEMY!

WPLĄTY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU  
„ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ”

Bezimiennie z Wilmslow, Cheshire (Wielka Brytania)	F. 200,00
Committee of Solidarity Members, Former Political Prisoners, Brooklyn, NY (USA) — sumę zebraną 15. 06. 1986 r. w czasie demonstracji przeciwko aresztowaniom z przyczyn politycznych w PRL — na pomoc dla więźniów i ich rodzin w Kraju (nadesłał Zbigniew Nieoczym) — \$ 351,00	F.2.369,00
Członkowie „Pomostu” Grupa Pomocy „Solidarności” w Cleveland, Ohio (nadesłała Aleksandra Zdulska) — \$ 250,00	F.1.687,50
Dr Karl Dedecius, Darmstadt (RFN) — DM 150,00	F. 487,50
Zofia i Władysław Dembscy z Australii — \$ 25,00	F. 168,75
E.M., Paryż — na przesładowanych w Polsce	F. 200,00
Alicja Iwańska, Londyn — \$ 100,00	F. 675,00
Karol Jabłoński, Etobicoke, Ont. (Kanada) — w związku z apelem <i>Kultury</i> — na pomoc dla więźniów politycznych w Polsce i ich rodzin — \$ c. 100,00	F. 490,00
M.K.S., Woodhaven, NY (USA) — na prasę podziemną w Polsce — \$ 30,00	F. 202,50

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 175)

## Polskie postulaty

Przedstawione poniżej poglądy mogą różnić się od stanowiska *Kultury*. Artykuł pomyślany został jako zagajenie dyskusji, która pozwoli na wszechstronne naświetlenie problemów stojących przed Polską i emigracją.

## Hierarchia celów

Polska diaspora ma w Stanach Zjednoczonych stosunkowo największe możliwości choćby ograniczonego wpływu na politykę rządu swego państwa wobec Polski. Składa się na to kilka elementów: liczebność polskiej grupy etnicznej (8,2 mln według spisu federalnego), koncentracja polskich głosów w wielkich ośrodkach przemysłowych, mechanizm demokracji amerykańskiej, który poza głosowaniem pozwala na konsultacje organizacji społecznych przez administrację i Kongres, wreszcie częste wybory, które stwarzają większą zależność wybieranych od wybierających. Pytanie, czy potencjał polskiej grupy etnicznej jest w pełni wykorzystany, nie stanowi przedmiotu tych uwag. Tematem jest próba sformułowania i uzasadnienia postulatów, jakie Kongres Polonii wysuwa pod adresem rządu USA i Kongresu.

Zacząć należy od hierarchii celów w kolejności odpowiadającej ich wadze. Ułożenie takiego katalogu wymaga oderwania się od chwili bieżącej. Trzeba sięgnąć wzrokiem poza dzień dzisiejszy i poza jutro. Jak wszystko na świecie przemienia także era komunizmu. Staje przed nami pytanie: jaki naród wyłoni się w chwili tej wielkiej przemiany. Czy będzie miał w sobie dość siły i woli, by „wybić się na niepodległość” i skorzystać z dziejowej koniunktury. Czy będzie to naród moralnie i fizycznie zdrowy i zdolny

do samodzielnego bytu, czy też zdziśiatkowany przez niedostatek, schorzenia fizyczne i społeczne, pozostający w tyle w porównaniu z innymi w rozwoju swych wartości cywilizacyjnych i duchowych.

### *Dramatyczne prognozy*

Z kraju dochodzą dramatyczne prognozy przepowiadające katastrofę gospodarczą i ekologiczną. Polityka lat siedemdziesiątych doprowadziła kraj do bankructwa a skutki wprowadzenia stanu wojennego znacznie pogłębiły kryzys. Polska nie jest w stanie płacić eksportem za import a równocześnie spłacać długi i odsetki od zmarowanych kapitałów. Starzejący się park maszynowy nie może być remontowany ani odnawiany. Oznacza to postępującą dekapitalizację bazy przemysłowej. Polska cofa się do rzędu krajów trzeciego świata; pozostaje w tyle nawet za niektórymi krajami bloku. Warunki bytowe ludności ulegają stałemu pogorszeniu. W roku 1982 jedna piąta ludności żyła poniżej minimum egzystencji, w cztery lata później liczba ta podniosła się do jednej trzeciej.

Autorzy raportu PAN „Polska 2000” oceniają, że pogłębiający się kryzys społeczno-polityczny i gospodarczy w połączeniu z rosnącym zagrożeniem ekologicznym grozi Polsce na przełomie drugiego i trzeciego tysiąclecia kataklizmem bez precedensu w historii kontynentu europejskiego. Alarmujące głosy ekspertów partyjno-państwowych oraz prasy niezależnej są uderzająco zbieżne. Zeszyty Niezależnej Myśli Lekarskiej ujawniają w numerze marcowym fragmenty tajnego dokumentu KC pt. „Zagrożenie ekologiczne”. Autorzy opracowania stwierdzają na wstępie, że „Polska jest jedynym krajem w Europie a zarazem w świecie o najwyższym stopniu degradacji środowiska naturalnego”. Potwierdzają to specjaliści amerykańscy. Zdjęcia satelitarne wykazują, że największe zageszczenie dymów toksycznych unosi się nad Polską.

Wymowa nagich faktów jest przerażająca. Rozbudowa przemysłu znacznie przekroczyła istniejące zasoby wody. Stałe opadające lustro wód podziemnych zagraża na przyszłość klęską suszy w skali afrykańskiej. Już dziś 40 % polskich wsi cierpi na brak wody. Zbiorniki wypełnione są do jednej trzeciej. Rzeki używane są przez przemysł jako ścieki. Połowa polskich rzek jest skażona w takim stopniu, że nie nadaje się ani do picia ani do pojenia bydła ani nawet do użytku przemysłowego. W roku ub. zamknięto dziesięć plaż nad Bałtykiem na skutek niebezpiecznego dla życia skażenia morza w strefie przybrzeżnej. Ofiarą stały się ryby, w szczególności populacja dorsza, który stanowi podstawę polskiego rybołówstwa na Bałtyku. Według tajnego raportu KC zatrucie znacznych obszarów kraju przez dwutlenek siarki

grozi powszechną katastrofą lasów w Polsce. Zagrożone są zwłaszcza jodły a w następnej kolejności świerki i sosny. Już w początkach przyszłej dekady ok. 45 % lasów znajdzie się w strefie zagrożenia ekologicznego. Za kilkanaście lat puszcze i lasy iglaste w Polsce mogą stać się wspomnieniem. Opracowanie „Polska 2000” przewiduje załamanie się produkcji drewna oraz radykalne zmniejszenie się ochronnej funkcji lasów.

Bezpośrednie zagrożenie dla człowieka stwarza zatrucie powietrza i gleby a tym samym żywności. W celu oszczędzenia prądu fabryki otrzymały instrukcje wyłączania filtrów elektrycznych. W rezultacie przemysł emituje w atmosferę 5 mln ton pyłów i ok. 4 mln ton gazów rocznie. Najgroźniejsze jest zatrucie powietrza przez 2 mln ton dwutlenku siarki. Jedna trzecia część ludności w 26 rejonach kraju mieszka i pracuje już dziś w strefie zagrożenia ekologicznego.

Wyliczenie tych faktów można ciągnąć bez końca. Sceptykom podejrzewającym przesadę należy przypomnieć, że zacierpnięte zostały ze sprawozdań PAN-u i tajnych dokumentów KC, ujawnionych przez prasę niezależną.

Zatrucie środowiska i pogarszające się warunki bytowe zczynają już odbijać się na zdrowiu ludności. Dane GUS-u wykazują wzrost chorób nowotworowych, układu oddechowego, krążenia krwi i narządów trawiennych. Wzrosła również ilość zachorowań na gruźlicę. Śmiertelność niemowląt jest jedną z najwyższych w Europie (19 promil w porównaniu z 11 promil w Czechosłowacji i 9 promil w Niemczech Wschodnich). Zatrważającą ilość dzieci niedorozwiniętych na Dolnym Śląsku lekarze tłumaczą obecnością ołowiu w powietrzu i w pokarmach znacznie przekraczającą normę bezpieczeństwa. Rośnie śmiertelność mężczyzn między 15 a 35 rokiem życia i obniża się przeciętna długość życia ludzkiego.

Komisja Demograficzna przewiduje zderzenie się w latach dziewięćdziesiątych dwóch trendów: z jednej strony stopa urodzeń w Polsce jest jedną z najwyższych w Europie, z drugiej — stałe pogarszanie się warunków bytowych i zatrucie środowiska stawia pod znakiem zapytania możliwość zatrudnienia i wyżywienia szybkiego przyrostu naturalnego. Komisja ostrzega, że rosnąca śmiertelność i pogarszanie się stanu zdrowia to dopiero pierwsze jaskółki katastrofy, z którą trzeba się liczyć w ciągu przyszłej dekady.

Ostatnie dwa wieki naszej historii wypełniła walka o niepodległość, walka przeciwko zaborom, podziałom i wynarodowieniu. Obecnie chyba po raz pierwszy rysuje się coraz wyraźniej widmo zagłady. Na pierwszy plan wysuwa się więc pytanie: jak ratować istnienie narodu?

### Negatywna selekcja nomenklatury

Tragizm położenia polega na tym, że nie można liczyć na inicjatywę ekipy koncentrującej w swych rękach totalną władzę. Trudno nawet zwać całą winę na wadliwość systemu. Cała Europa Wschodnia żyć musi w tym samym fatalnym ustroju, ale sytuacja w Polsce jest poza Rumunią o wiele gorsza aniżeli gdzie indziej. Przyczyną tego stanu rzeczy jest negatywna selekcja grupy rządzącej trwająca nieprzerwanie już od czasów Gomułki. W Polsce jest gorzej niż w innych demoludach, bo rząd komunistyczny jest o wiele bardziej nieudolny, wykazuje najniższy poziom wiedzy, inteligencji politycznej i umiejętności rządzenia. Alarmistyczne raporty ekspertów o zagrożeniu ekologicznym nie tylko nie znalazły żadnego echa w programie partii, ale wręcz przeciwnie, jak stwierdza raport KC, „począwszy od 1978 roku niepokojąco mała poziom nakładów na rzecz ochrony środowiska, osiągając kilkanaście procent rocznie”. W przemówieniach i uchwałach czerwcowego zjazdu próżno byłoby szukać jakiegokolwiek koncepcji zatrzymania i odwrócenia procesów prowadzących kraj do katastrofy. Żeby tylko to. Pod wpływem premiera Zbigniewa Messnera reprezentującego partykularne interesy śląskiej burżuazji partyjno-państwowej, która tak fatalnie zaciążyła na losach kraju w latach siedemdziesiątych, zapowiedziana została tak zwana „strategia przyspieszenia”, zwiększenie tempa wzrostu inwestycji przemysłu ciężkiego kosztem jeszcze większego ograniczenia spożycia. Nie tylko z ekologicznego ale z każdego innego punktu widzenia jest to koncepcja wręcz samobójcza.

### Presja społeczna

Wyjście z kryzysu może być wymuszone tylko przez wewnętrzny nacisk społeczny. Może się wydawać, że stwierdzenie takie grzeszy brakiem realizmu. Nic jak dotychczas nie wskazuje na możliwość przełamania impasu a ekipa Jaruzelskiego nie zdradza gotowości do społecznego kompromisu. Czy więc są jakieś szanse, by obecna sytuacja mogła ulec zmianie?

Sam fakt przetrwania masowego ruchu oporu przez blisko pięć lat jest faktem bez precedensu w historii rządów komunistycznych. Podziemna Solidarność stała się pierwszą linią obrony Kościoła. Równoczesna walka na dwa fronty nie jest możliwa. Dopóki reżym ma obie ręce związane walką z podziemiem, Kościół pozostawiony jest we względym spokoju. Niestety nie wszyscy zdają sobie z tego sprawę. O front odmowy rozbiły się

narzucone przez Moskwę zamiary nawrócenia Polski na drogę „budowy socjalizmu”, czyli cofnięcia zegara o pełny obrót — do czasów sprzed Października. Jest to chyba główne osiągnięcie w bilansie lat 1981-1986. Bojkot rządów Jaruzelskiego sprawił, że partia jest martwa, PRON i oficjalne związki zawodowe są całkowitym fiaskiem. Jediną społeczną bazą władzy są ci, którzy ciągną z niej bezpośrednio korzyści a więc płatny aparat partyjno-państwowy — biurokracja broniąca zaciekle swych posad i przywilejów. Grupa rządząca dysponuje dostateczną siłą, by aresztować kilka tysięcy ludzi, złamać strajk okupacyjny, rozbić demonstrację, stłumić rozruchy — nic więcej. Wobec ruchu podziemnego bezpieczeństwa, ZOMO, milicja, dywizje nadwiślańskie okazały się bezsilne. Na konferencji prasowej 5 maja br., gen. Czesław Kiszczak chwalił się, że w latach 1981-1986 SB zlikwidowało 600 nielegalnych grup podziemnych, 1.200 podziemnych drukarni, 700 powielaczy itd. Pomimo tego „działalność dywersyjna antysocjalistycznego podziemia” trwa nadal. Generał złożył tym samym nieumyślnie hołd żywotności tego podziemia. Jakaż organizacja przetrwałaby podobne ciosy? Przy innej okazji Kiszczak obliczał, że na jednego podejrzanego potrzeba dwóch i pół funkcjonariuszy SB. Proszę to sobie pomnożyć przez siedem milionów ludzi, którzy zarejestrowali się imiennie jako podejrzeni, bojkotując wybory.

Jaruzelski oznajmił na zjeździe partii, że sytuacja w Polsce uległa normalizacji. Jest to nieomal równoznaczne z uznaniem niezależnego nurtu społecznego za zjawisko normalne, z którym trzeba się z konieczności pogodzić, tak jak Rosja musiała milcząco pogodzić się z istnieniem czarnego rynku i podziemia gospodarczego. Zrozumiano, że pełna „normalizacja (czytaj: pacyfikacja) nie jest możliwa bez krwawej rzezi i pomocy Armii Czerwonej. A tego rodzaju operacja w obecnym układzie stosunków międzynarodowych byłaby dla Moskwy zbyt kosztowna. Stąd klęska tych elementów z Olszowskim, Kociołkiem i Grabskim na czele, którzy właśnie takie rozwiązanie zalecali. Stąd także ostentacyjne poparcie Gorbaczowa dla Jaruzelskiego. Gorbaczow potwierdził w Warszawie doktrynę Breżniewa w sposób najbardziej brutalny. Żadnej Solidarności! Równocześnie nie było w tym przemówieniu przynaglania do rozprawy z Kościołem, z chłopami i z podziemiem. Żadnej krytyki Jaruzelskiego, nawet między wierzącymi.

Najwidoczniej nacisk sowiecki na polskiego gubernatora także w jakimś stopniu zależy od oceny wewnętrznego układu sił w Polsce. Moskwa toleruje gniewnie niezależność i siłę Kościoła, prywatny sektor w rolnictwie, stosunkowo większą niż gdzie indziej swobodę wypowiedzi, zdając sobie sprawę ze słabości partii i siły społecznego oporu. Odnosi się to do całego okresu po roku

1956. W kontekście obecnego układu międzynarodowego Jaruzelski jest dla Moskwy wygodny, bo uwalnia od kosztownej ostateczności.

Mogłoby się wydawać, że sowieckie poparcie i eliminacja rywali zapewniają reżymowi większą swobodę manewru. Nic nie wskazuje, by Jaruzelski zamierzał z niej skorzystać. Grupa rządząca nie kieruje się motywami patriotycznymi lecz własnym interesem i dążeniem do utrzymania się przy władzy za wszelką cenę. Można oddziaływać na nią tylko stawiając ją wobec konieczności wyboru mniejszego zła. Dopiero perspektywa utraty władzy pod wpływem pograżania się kraju w coraz większy upadek może zmusić kierownictwo partyjne do zmiany obecnego kursu. Stosunek ZSSR do Polski podyktowany jest także interesem własnym. Nie zabija się jednak własnej krowy, nawet bardzo wychudzonej, jeśli można z niej jeszcze wyciągnąć kilka litrów mleka. Z uwagi na potencjał ludnościowy, położenie geograficzne Polski jako północnej flanki Paktu Warszawskiego, Rosja nie mogłaby dopuścić do zapanowania chaosu na tym strategicznym odcinku. A nieudolność ekipy Jaruzelskiego pcha Polskę w tym kierunku.

Analiza ta prowadzi do jasno określonej konkluzji: jedyna droga ratunku dla Polski prowadzi przez wzmocnienie czynnika nacisku społecznego. Ten wzgląd dyktuje także zasadniczy postulat wobec polityki amerykańskiej. Powinna ona kształtować się w taki sposób, aby najskuteczniej wspierać opór społeczny i podziemną Solidarność w najszerszym znaczeniu tej symbolicznej nazwy. Postulat ten można uzasadnić w sposób przemawiający do własnego poczucia amerykańskiego interesu strategicznego.

### *Polityka USA wobec Polski*

Pomoc Stanów Zjednoczonych dla polskiego ruchu oporu bieć może dwoma torami: przez instytucje służące bezpośrednio temu celowi i pośrednio, przez nacisk wobec reżymu. W pierwszej kategorii do arsenału środków należą: Fundacja Krzewienia Demokracji, radiostacje: Głos Ameryki, Radio Wolna Europa, Radio Swoboda oraz dopływ z Zachodu idei i informacji w postaci słowa drukowanego: książek, czasopism, wydawnictw naukowych itd. Kongres Polonii domagał się znacznego zwiększenia środków na te cele. Udało się to częściowo w czasach administracji Cartera i na dużo większą skalę w pierwszych latach Reagana. Zabiegi o to, by fundusze związane z pomocą dla Solidarności zostały wyjęte spod zarządzeń oszczędnościowych zmierzających do przywrócenia równowagi budżetu nie odniosły dotychczas skutku. Interwencja KPA uchroniła radiostacje i NED (Fundację Krzewienia Demokracji) od najgorszego, ale nie zdołała

zapobiec umniejszeniu ich środków. Najdotkliwszą stratą jest zredukowanie 140 mln dolarów przeznaczonych na modernizację i wzmocnienie nadajników RWE i Radia Swobody do 10 mln. Oznacza to utratę szansy na pokonanie zagłuszeń i docieranie audycji w głąb Rosji. Dużą winę ponosi tu poprzednie kierownictwo radiostacji i BIB (Board of International Broadcasting), które przez kilka lat opóźniały realizację projektów. Głos Ameryki nie zaprzepaścił okazji i stanie się wkrótce potęgą techniczną nie do pokonania.

Próby wpływania na rząd PRL polegać mogą na stosowaniu bodźców i nacisków zmierzających z jednej strony do ograniczania kursu represyjnego, a z drugiej do realizacji reform gospodarczych, choćby częściowo redukujących obecne marnotrawstwo.

### *Metoda bicza i marchewki*

Reakcja Reagana na wprowadzenie stanu wojennego odpowiadała w pełni polskim postulatom. Prezydent uznał, że to co stało się w Polsce jest ukrytą formą interwencji sowieckiej a za tym główne ostrze sankcji należy skierować przeciwko ZSSR. Niestety sojusznicy zachodni odrzucili amerykańskie propozycje całkowitego zamrożenia towarowych i inwestycyjnych kredytów dla Rosji, zablokowania eksportu wiedzy technologicznej do ZSSR oraz zawieszenia budowy sowieckiego rurociągu gazowego, który miał stać się dla ZSSR największym źródłem twardej waluty (10 mld dolarów rocznie). Być może solidarne zastosowanie tych dotkliwych środków nacisku skłoniłoby Moskwę do przyjęcia mniejszego zła i dopuszczenia do jakiegoś kompromisu w Polsce. Odrzucenie propozycji Reagana przez RFN, Francję i Anglię zadało śmiertelny cios nadziejom na wskrzeszenie Solidarności, chociażby w jakiejś ograniczonej postaci. Okazało się raz jeszcze, że w ustroju demokratycznym względ na doraźne zyski, zatrudnienie i głosy wyborcze ma pierwszeństwo nad względami natury strategicznej. Ameryka nie stanowi pod tym względem wyjątku. Embargo na wywóz zboża do ZSSR, wprowadzone przez Cartera po inwazji Afganistanu, zniesione zostało przez Reagana w kilka miesięcy zaledwie po grudniowej "wojnie". Waszyngton argumentował nie bez racji, że wobec odmowy poparcia ze strony innych eksporterów: Kanady, Australii i Argentyny — embargo nie może być skuteczne.

Sankcje zastosowane jednostronnie przez USA wobec Rosji miały charakter symbolicznego protestu, nie mogły jednak wymusić zmian w polityce Moskwy.

PRL nie jest państwem suwerennym. W tych warunkach sankcje kierujące się głównie przeciw polskiemu reżymowi mogą

wyrządzić dotkliwe szkody gospodarcze, ale ich polityczna skuteczność ogranicza się do marginesu niezależności, z którego Jaruzelski albo zechce albo będzie musiał skorzystać we własnym interesie.

Zniesienie restrykcji amerykańskich wobec Polski zostało pierwotnie uzależnione od zniesienia stanu wojennego, uwolnienia więźniów i internowanych, nawiązania dialogu z Kościołem i społeczeństwem. Ten ostatni warunek nie został nigdy bliżej sprecyzowany. Po formalnym rozwiązaniu Solidarności na jesieni 1982 roku sankcje zostały zastrzone. M.in. zawieszona została klauzula największego uprzywilejowania.

Polityka bata i marchewki przyniosła pewne ograniczone skutki. Wolna od incydentów druga wizyta Papieża, formalne zniesienie stanu wojennego i kolejne amnestie podyktowane były chęcią reżymu odzyskania statusu międzynarodowego sprzed grudnia 1981. Być może nadzieje te wywierały pewien hamujący wpływ na represje stosowane wobec opozycji.

#### Niepomyślny zwrot

Na jesieni ub. roku w dotychczasowej polityce USA wobec Polski nastąpił niepomyślny zwrot. Pomimo obietnic udzielonych A. Mazewskiemu zarówno w Białym Domu jak i w Departamencie Stanu, ani Reagan w rozmowie z Gorbaczowem ani Shultz w całodniowym spotkaniu z Szewerdnadze nie poruszyli sprawy ingerencji sowieckiej w Polsce. Na porządku dziennym znalazły się Afganistan, Nikaragua, Kambodża i inne konflikty lokalne. Polska została pominięta. Tym samym rząd Stanów Zjednoczonych porzucił tezę, że rząd ZSSR ponosi główną odpowiedzialność za zgniecenie Solidarności i naruszanie praw człowieka w Polsce. Gorbaczow mógł zrozumieć pominięcie Polski jako sygnał, że dalszy nacisk na reżym komunistyczny PRL nie będzie już związany z żadnymi kosztami politycznymi i gospodarczymi. Inaczej mówiąc, to co dzieje się w Polsce, nie będzie miało wpływu na dalszy przebieg dialogu amerykańsko-sowieckiego.

Dużo bardziej niepokojące było całkowite zniesienie wszystkich sankcji wprowadzonych przeciwko Rosji po Afganistanie i po grudniowej wojnie w Polsce. W tym samym czasie kurs represyjny w Polsce uległ zastrzeniu a w Afganistanie Sowiety podjęły jeszcze jedną barbarzyńską ofensywę przeciwko partyzantom i ludności.

Mnożą się inne niepokojące objawy. Kredyty bankowe znowu płyną do Rosji bardzo szeroko, często na warunkach uprzywilejowanych. Subskrypcja rozpisana przez bank drezdeński przy-

niosła w bież. roku 600 mln dolarów. Gorbaczow przestrzegał wprawdzie w Warszawie przed zaciąganiem kredytów zachodnich, ale sam zagarnia je oburącz. Zadłużenie zagraniczne ZSSR wzrosło już do 30 mld dolarów.

Z zachodnich kredytów bankowych korzystają także inne państwa satelickie. Nawet Bułgaria otrzymała pożyczkę 120 mln dolarów od Stanów Zjednoczonych. Z polskiego punktu widzenia szczególny niepokój budzić musi polityka kredytowa Zachodu, a przede wszystkim RFN wobec Niemiec Wschodnich. Rząd w Bonn wstrzymując się od wprowadzenia granicy celnej między obu państwami niemieckimi wprowadził Niemcy Wschodnie tylnymi drzwiami do Wspólnego Rynku Europejskiego. Od lat Niemcy Zachodnie pompują kapitały w gospodarkę NRD na warunkach uprzywilejowanych. W ciągu ub. roku NRD otrzymała zastrzyk 2 mld dolarów od banków zachodnich. Jasne o co tu chodzi. Bonn nie tylko pragnie zapewnić znośne warunki bytowe tej części ludności niemieckiej, która znalazła się w orbicie sowieckiej, ale usiłuje równocześnie wzmocnić pozycję Niemieckiej Republiki Demokratycznej z myślą o tym, by z czasem Niemcy komunistyczne awansowały z satelity na młodszego partnera Moskwy. Pankow wykorzystuje tę uprzywilejowaną pozycję do rozbudowy swego potencjału wojskowego, przede wszystkim na Bałtyku. Bałtycka flota Niemiec Wschodnich jest już dziś o wiele nowocześniejsza od przestarzałych okrętów PRL.

Sankcje stosowane *wyłącznie* przeciwko PRL mają sens tylko wtedy, jeśli w zamian za ich zniesienie można uzyskać konkretne ustępstwa. Potrzebne jest wyraźne określenie warunków, na których ma to nastąpić. Pozostałe w mocy restrykcje ograniczają się do zawieszenia klauzuli największego uprzywilejowania i zakazu udzielania kredytów gwarantowanych przez państwo. Obie mają charakter czysto symboliczny. Przywrócenie klauzuli nie przywróci automatycznie utraconego rynku amerykańskiego, który przynosił 90-100 mln dolarów rocznie. Potrzeba na to co najmniej kilku lat zakładając, że jakość polskiego eksportu nie uległa obniżeniu. Odmrożenie kredytów państwowych nie oznacza, że PRL dostanie na drugi dzień pożyczkę. Wobec drakańskich cięć budżetowych i represji w Polsce nie wchodzi to na razie w rachubę. Formalne cofnięcie tych dwu restrykcji może mieć dla reżymu co najwyżej pewien walor prestiżowy. Trudno sobie wyobrazić, by przy pomocy tak skromnej przynęty można było rzucić czerwoną na kolana, zaprowadzić ustrój demokratyczny oparty na poszanowaniu praw człowieka, albo wskrzesić legalną Solidarność. Z równym powodzeniem, jak powiedział niedawno Karol Modzelewski, można by domagać się rozwiązania Związku Sowieckiego. W chwili obecnej ważna jest pełna i bezwarunkowa amnestia obejmująca Bujaka i innych działaczy ostat-

nio aresztowanych, uznanie statusu więźniów politycznych i realizacja Fundacji Kościelnej.

### Drzwi obrotowe

Wiadomo, że nawet pełna i bezwarunkowa amnestia nie zabezpiecza przed nowymi aresztowaniami. Formalne zapewnienie bezkarności opozycji byłoby równoznaczne z jej uznaniem. Jeśli uważamy, że PRL nie jest państwem suwerennym — żądania zmiany podstaw ustroju należałoby kierować pod adresem Gorbaczowa. Dotychczasowe doświadczenie uczy, że drzwi obrotowych nie dało się zatrzymać: jedni wychodzą na wolność, drugich zamykają. Można jednak drzwi obrotowe zwolnić. Polityka bicza i marchewki doprowadziła do redukcji liczby uwięzionych z 3 tys. w roku 1982 do zera w końcu roku 1984 (jeśli nie liczyć 18 więźniów skazanych za akty gwałtu). W lipcu 1986 ocenia się, że za kratami przebywa 365 więźniów politycznych. Większość Komisji Krajowej i Prezydium Solidarności z Wałęsą, Gwiazdą, Jurczykiem i Wujcem na czele podobnie jak większość doradców: Kuroń, Geremek, Mazowiecki, Onyszkiewicz, Celiński i wielu innych, wciąż znajduje się na wolności. Żaden z nich nie skapitulował i nie dał się zmusić do milczenia. Ich obecność wzmacnia opór społeczny. Natomiast ich przyszłość będzie w dużej mierze zależała od polityki Zachodu. Nie ma się co łudzić. Z chwilą, gdy reżym Jaruzelskiego upewni się w przekonaniu, że w stosunkach z Zachodem nie ma nic do zyskania lub stracenia, wszelkie hamulce przestaną działać i dojdzie do znalezienia jego zaostrożenia represji.

Niestety impas, jaki powstał w polityce amerykańskiej od tego prowadzi. Tygodnik *US and World Report* (z 21 lipca 1986) w artykule poświęconym Polsce odsłania kulisy. Waszyngton wysłał do Warszawy sprzeczne sygnały. W marcu pokazał się w Polsce Walter Stoessel, b. podsekretarz Stanu i b. ambasador w Polsce. Wizyta miała na celu doprowadzenie do poprawy sytuacji w dziedzinie „poszanowania praw ludzkich”. Stoessel odbył czterogodzinną rozmowę z Jaruzelskim i osobną z Czyrkiem. Następnym było przerwanie procesu przeciwko Wałęsie, ogólnikowa zapowiedź amnestii i pewne gesty wobec niektórych działaczy Solidarności. Po powrocie Stoessel wyjaśnił, że był w Warszawie z wiedzą i zgodą Departamentu Stanu i złożył sprawozdanie Shultzowi. Jego wizyta nie miała jednak dalszego ciągu. *Chargé d’Affaires* w Warszawie, John Davies, przyjechał w maju do Waszyngtonu, by dowiedzieć się co dalej i wrócił bez żadnych instrukcji. Natomiast wysoki urzędnik Departamentu Skarbu Harvey Shapiro oświadczył publicznie, że: „*Poland is a non-issue*” (Pol-

ska sprawa nie istnieje). Wkrótce potem przedstawiciel tego resortu wstrzymał się w imieniu USA od głosowania nad przyjęciem PRL do Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Ponieważ wszystkie pozostałe państwa członkowskie w liczbie 148 głosowały „za” więc i tak nie mogło to zmienić wyniku. Zostało natomiast zrozumiane w Warszawie jako przekreślenie oczekiwań na *status quo ante*. Rezultat: rozpętanie kampanii antyamerykańskiej i wszczęcie przygotowań do procesu Wałęsy, ks. Jankowskiego, Geremka i Mazowieckiego. Zaostrożenie kursu wobec opozycji uniemożliwia z kolei jakiegokolwiek poruszenia w polityce amerykańskiej. Błędne koło zamyka się!

### Im gorzej tym lepiej

Obecny impas polityki amerykańskiej wiąże się z rosnącym wpływem skrajnej prawicy w partii republikańskiej. Elementy te odrzucają dotychczasową politykę „dyferencjacji” wobec Rosji i krajów Europy Wschodniej, stosowaną z różnymi odchyleniami i zmiennym szczęściem przez obie partie od roku 1956. Koła skrajnie konserwatywne stoją na stanowisku, że nie należy stosować żadnych rozróżnień między ZSSR a jej satelitami jak również między reżymami komunistycznymi a ludnością. Cały blok ma być traktowany jako obszar nieprzyjacielski. Zwolennicy tej koncepcji wychodzą z założenia, że zasada „im gorzej tym lepiej”, zastosowana wobec wszystkich krajów Europy Wschodniej, odpowiada najbardziej strategicznym interesom amerykańskim. Prowadzi bowiem do wewnętrznych niepokojów i destabilizacji rejonu, która przysporzy problemów Związkowi Sowieckiemu. Koncepcja ta znajduje poparcie także wśród niektórych skrajnych grup polskich w USA. Wychodzące w Chicago pismo *Pomost* rozpowszechnia np. poglądy b. ambasadora PRL Zdzisława Rurarza, który poucza nas, że najlepszym wyjściem byłoby włączenie Polski do ZSSR jako siedemnastej republiki. Istnienie bowiem odrębnego, polskiego organizmu państwowego „miesza ludziom w głowach” i utrudnia narodowi podjęcie „bezpardonowej walki z obcą okupacją” (Z. M. Rurarz, „Państwo polskie”, *Pomost* nr 9, kwiecień 1986).

W pojęciu skrajnej konserwy blokada gospodarcza PRL doprowadzić ma niezadowolone ludności do stanu wrzenia i eksplozji. Koszta sowieckiej interwencji — stałyby się zyskiem politycznym Stanów Zjednoczonych. Polskie straty nie są w tym rachunku brane pod uwagę.

Elementy skrajnej prawicy występują na razie na peryferiach. Nie dyktują jeszcze polityki zagranicznej, ale wywierają na jej kierowników, zwłaszcza w miesiącach przedwyborczych, wpływ



paralizujący. Przykładem może być uchwalona przez Kongres w końcu lipca ustawa rozciągająca zakaz udzielania kredytów państwowych na wszystkie kraje komunistyczne. Dotychczas zakaz ten stosował się tylko do Polski i nie miał charakteru nieodwracalnego lecz stanowić miał stawkę przetargową. Ustawa stawkę tę wytrąca. W zupełnej z nią sprzeczności jest inna ustawa wniesiona przez senatora Roberta Dola, która zaofiarowuje ZSSR cztery miliony ton zboża po cenach subwencjonowanych a więc znacznie niższych od poziomu światowego. Chodzi o pomoc dla dotkniętych suszą farmerów amerykańskich. Senator Moynihan określił ten prezent dla Rosji sięgający podobno sumy blisko stu milionów dolarów jako potwierdzenie przepowiedni Lenina, że kapitaliści sami ukręcą sobie powróż na szyję.

Dar zbożowy dla Rosji odwraca do góry nogami sens i logikę dotychczasowej polityki amerykańskiej. Wydawałoby się, że stosowanie odmiennych środków politycznych wobec ZSSR i Europy Wschodniej leży w interesie nie tylko Polski i innych krajów tego rejonu ale samej Ameryki. Zastosowanie zasady „im gorzej tym lepiej” jest w pełni uzasadnione wobec ZSSR. Tylko narastające trudności wewnętrzne w samej Rosji mogą skutecznie powstrzymać sowiecką ekspansję a w dalszej przyszłości doprowadzić do paraliżu centralnego ośrodka władzy. Wtedy dopiero próba wyzwolenia się własnymi siłami będzie miała widoki sukcesu. Nikt jeszcze nie wytłumaczył przekonująco, że zryw rewolucyjny wyprzedzający ten moment nie skończy się podobnie jak na Węgrzech i Czechosłowacji klęską i długimi latami marazmu, apatii i bezwładności społeczeństwa. Na dłuższą metę zerwanie z polityką dyferencjacji sprzyjałoby sowieckim dążeniom do ponownego narzucenia Europie Wschodniej monolitycznej struktury sprzed roku 1956.

Zakaz udzielania kredytów państwowych wszystkim krajom komunistycznym stawia Polskę w sytuacji szczególnie trudnej. Inne państwa bloku sowieckiego z Rosją na czele mogą bowiem w dalszym ciągu korzystać z prywatnych kredytów bankowych. Natomiast żaden bank nie udzieli pożyczki bankrutowi, jakim jest PRL. Jedynym wyjątkiem mogą być kredyty ułatwiające spłatę starych długów i podtrzymanie fikcji wypłacalności.

Poza klauzulą największego uprzywilejowania jedynym pozostałym instrumentem nacisku na rząd Jaruzelskiego jest możliwość uzyskania kredytów z Międzynarodowego Funduszu Monetarnego i Banku Światowego. Kongres Polonii poparł dopuszczenie PRL do obu instytucji w zamian za pełną amnestię w roku 1984. Wywołało to wiele głosów krytycznych. Krytycy nie zwrócili jednak uwagi, że samo członkostwo MFW i Banku Światowego jest samo przez się tylko formalnością, która w niczym nie przesądza udzielenia kredytów. Do tej chwili reżym ociąga się nawet

ze złożeniem podania o pożyczkę. Jeśli sytuacja zmusi go do tego, rozpoczną się rokowania trwające od roku do dwóch, które same przez się wywierają wpływ hamujący na politykę wewnętrzną reżimu. Żadna bowiem z tych instytucji nie udziela pomocy kredytowej państwu, które znajduje się w stanie wewnętrznego niepokoju.

Z polskiego punktu widzenia istotne jest nie tyle członkostwo MFW ile warunki ewentualnej pomocy kredytowej. Jest ona z reguły udzielana w ratach uzależnionych od dotrzymania wskaźników wykonania uzgodnionego planu. Niedotrzymanie umowy wstrzymuje automatycznie następne raty. MFW i Bank Światowy są jedynymi instrumentami, które bez narażania się na zarzut ingerencji w sprawy wewnętrzne, mogą narzucać posunięcia ograniczające obecne marnotrawstwo. Jednym z nich będzie z pewnością zablokowanie samobójczych inwestycji w przemyśle z wyjątkiem tych gałęzi produkcji, które w sposób bezpośredni przyczynić się mogą do wzrostu eksportu.

MFW i Bank Światowy są jedynymi pozostałymi źródłami pomocy kredytowej dla Polski. Zablokowanie ich oznaczałoby zepchnięcie kraju do roli pariasa Europy Wschodniej i pogłębiło znacznie proces pauperyzacji ludności. Ani jedno ani drugie nie stworzyłoby pomyślnych warunków dla wzmocnienia presji społecznej i rozszerzenia marginesu samodzielności wobec sąsiada. Przeciwnie, człowiek, który nie wie, co jego żona włoży jutro do garnka — nie znajdzie w sobie ani woli ani siły na cokolwiek innego poza troską o przetrwanie. Z chwilą, gdy Ameryka i Zachód nie będą miały niczego do zaofiarowania ani odebrania — skończy się ich wpływ na rozwój sytuacji w Polsce. Permanentny impas oznacza skreślenie Polski z porządku dziennego polityki zagranicznej USA. Nie warto interesować się problemem tam, gdzie nie widać możliwości sukcesu. Izolacja Polski od Zachodu byłaby tragiczna w skutkach zarówno w sensie gospodarczym jak i politycznym. W sytuacji permanentnego impasu — Polonii i emigracji pozostałoby tylko uchwalanie gromkich rezolucji i protestów. Werbalny maksymalizm i „zajmowanie stanowiska” mogą być źródłem zadowolenia dla uchwalających, lecz nie wywierają niestety żadnego wpływu na rzeczywistość.

Polityka Zachodu może spełniać tylko rolę pomocniczą. Na dłuższą metę zadecyduje postawa społeczeństwa. Nie wolno jednak wysuwać żądań, które przyczynić się mogą do pogorszenia i tak już fatalnego położenia. Nie wylewajmy dziecka z kąpielą. Stawka jest za wysoka.

Jan NOWAK

Waszyngton, sierpień 1986

## Nasz komentarz

Sprawy międzynarodowe niezbyt interesują Polaków. Opinie wypowiedane na ten temat sprowadzają się przeważnie do narzekania na mityczny Zachód, który rzekomo niczego nie rozumie, a już zwłaszcza — naszej wyjątkowości. Gdyby było tak tylko w Kraju, można by to od biedy tłumaczyć czterdziestoma latami peerelowskiej edukacji, która skutecznie odzwyczaiła Polaków od myślenia o sobie jako zbiorowym uczestniku stosunków międzynarodowych. Ale na emigracji nie dzieje się wiele lepiej. I tu, i tam są, rzecz jasna, wyjątki od tej reguły. Stanowczo nazbyt rzadkie.

Skutkiem tego stanu rzeczy jest brak zestawu postulatów wobec państw zachodnich, który by był przedyskutowany przez polską opinię publiczną i przedstawiany rządowi — w formie każdorazowo dostosowanej do miejsca i czasu — wszędzie tam, gdzie środowiska polonijne lub emigracyjne są dostatecznie silne, by aspirować do wywierania wpływu na politykę. Postulatów, które by nie poprzestawały na przypominaniu naszych celów ostatecznych — niepodległości, pluralizmu, demokracji i dobrobytu nikt nam i tak w prezencie nie ofiaruje — ale jasno mówiły, co z polskiego punktu widzenia jest najważniejsze dziś i jak — w istniejących warunkach — państwa zachodnie mogłyby wywrzeć pozytywny wpływ na przemiany w Polsce, gdyby chciały i umiały to zrobić. Zaslugą artykułu Jana Nowaka jest, że zwraca uwagę na tę lukę i otwiera dyskusję, która winna doprowadzić do sformułowania takich właśnie polskich postulatów.

Naczelną intencją polemiczną Autora jest odrzucenie polityki dyktowanej przekonaniem, że im gorzej — tym lepiej. W tym punkcie jesteśmy w pełni zgodni. Odrzucenie takiej polityki nie powinno jednak — naszym zdaniem — prowadzić do akceptacji jej przeciwności: polityki nieodwzajemnionych ustępstw wobec rządu PRL. A przecież zachodzi obawa, że w najlepszych intencjach — w imię ratowania narodu przed zagładą — uzna się, że trzeba pomagać rządowi PRL, a przynajmniej popierać traktowanie go jako normalnego partnera, nawet gdyby żaden krok w kierunku porozumienia ze społeczeństwem nie został przez niego zrobiony. Niektóre fragmenty artykułu Jana Nowaka pozwalają przypuszczać, że stanowisko takie nie jest mu obce. Co do nas, nie możemy na nie przystać. Uważamy, że podstawą wszelkich polskich postulatów wobec rządu Stanów Zjednoczonych i

innych państw zachodnich winno być wykluczenie jednostronnych ustępstw, czyli zasada „coś za coś”. Zakłada to oczywiście swego rodzaju nieustający przetarg, co nie może podobać się neofitom nieprzejednania i jego postarzałym wyznawcom, gdyż prowadzi do uznania, że z komunistami się negocjuje miast proponować im, by popełnili harakiri. Rzecz w tym, że negocjuje się z nimi i tak. Celem instytucji i organizacji polonijnych i emigracyjnych winno być nie zajmowanie się walką z zaćmieniem Księżyca, ale usiłowanie wywarcia takiego wpływu na owe negocjacje — skoro już mają miejsce — by przyniosły efekty maksymalnie odpowiadające interesom narodu polskiego.

Przede wszystkim winniśmy dążyć do uznania istotnej odrębności — kulturowej, w wielu przypadkach religijnej, w pewnym zakresie gospodarczej — europejskich krajów włączonych do bloku sowieckiego (EKBS), co już samo przez się wystarczyłoby, by uznać w nich składniki obszaru różniącego się *jakościowo* od obszaru samego Związku Sowieckiego i wymagającego przeto swoistego podejścia. Innymi słowy, winniśmy domagać się od państw demokratycznych, by wypracowały i prowadziły wobec EKBS politykę, która by uwzględniała ich odrębności i starała się je wykorzystać dla związania ze światem zachodnim każdego ułamka zachowanej przez nie autonomii.

Znaczy to w praktyce, że winniśmy protestować i inspirować protesty przeciw nawiązywaniu stosunków między EWG a RWPG, nie w dążeniu do torpedowania wszelkich stosunków z EKBS, ale po to, by EWG utrzymywała je z każdym z nich z osobna. Ilekroć bowiem występują one łącznie, tylekroć występują ze Związkiem Sowieckim na czele. Znaczy to również, że winniśmy domagać się od państw demokratycznych korzystania z każdej okazji, by potępiać „doktrynę Breżniewa”. Choćby protesty tego rodzaju mają charakter czysto werbalny, ich znaczenie polega na tym, że nie pozwalają zakorzenić się przekonaniu, jakoby Związkowi Sowieckiemu istotnie przysługiwało prawo interwencji w wewnętrzne sprawy EKBS i pozbawiania ich niezbywalnych atrybutów suwerenności.

Dopóki Stany Zjednoczone — i nie tylko one — nie nauczą się, że obszar EKBS jest *nie tylko* częścią bloku sowieckiego, ale *również* swoistym regionem wymagającym odrębnego traktowania, nie będzie mowy o żadnej spójnej polityce wobec Polski, Węgier czy Czechosłowacji. Działanie na rzecz takiej zmiany nastawienia polityków i dyplomatów, dziennikarzy, przedsiębiorców i bankierów powinno być podjęte przez wychodźców ze wszystkich EKBS. Dużą rolę mają tu do odegrania pracownicy

naukowi. Nawyk myślowego inkorporowania EKBS do Związku Sowieckiego wpajany jest przecież przez wyższe uczelnie, które w programach studiów regionalnych z reguły łączą Europę Środkowo-Wschodnią ze Związkiem Sowieckim — jak o tym świadczą nazwy odpowiednich instytutów i periodyków oraz traktowanie specjalistów od tego regionu jako odmiany sowietologów. O nazwy walczyć nie warto. Nie są one jednak obojętne, gdy kryją się za nimi określone programy, które wywierają wpływ na prowadzoną politykę zagraniczną, ponieważ kształtują odpowiedzialnych za jej realizację.

Ale uznanie swoistości obszaru EKBS — to tylko pierwszy krok. Drugim musi być zrozumienie jego znaczenia dla przyszłych stosunków między Stanami Zjednoczonymi i ich sojusznikami z jednej strony a Związkiem Sowieckim z drugiej. Trzydzieści lat, jakie minęły od 1956 roku, pokazały, że poszczególne EKBS dysponują wobec Związku Sowieckiego pewnym zakresem autonomii, innym w każdym przypadku, zmiennym w czasie ale niemniej przeto realnym i ważnym. By się o tym przekonać, wystarczy wyobrazić sobie Polskę z kołchozowym rolnictwem i Kościołem sprowadzonym do poziomu sowieckiego. Lata te pokazały też, że ewolucja EKBS oddala je od modelu sowieckiego, acz w każdym z nich wyraża się to na inny sposób. Wreszcie faktem jest, że w Czechosłowacji, na Węgrzech i w Polsce występują — i to od lat — przejawy działalności opozycyjnej różniące się charakterem i nieporównywalne pod względem wpływu, jaki zdolne są wywierać na życie zbiorowe, ale świadczące, każdy po swojemu, że wyszliśmy z okresu, gdy komuniści dysponowali monopolem działania publicznego. Wszystko to pozwala przypuszczać, że obszar EKBS będzie sprawiał rosnące trudności Związkowi Sowieckiemu, zwłaszcza w warunkach postępującego kryzysu gospodarki planowanej centralnie, który będzie pogłębiał istniejące niezadowolenie i skłaniał nawet władze komunistyczne do szukania jakichś dróg wyjścia. Rola tego obszaru w polityce międzynarodowej będzie zatem stawać się coraz większa.

Polityka wobec Polski, powtórzmy raz jeszcze, może być artykułowana *wyłącznie* jako składnik polityki wobec obszaru EKBS. W tej chwili nie ma ani jednej, ani drugiej. Jest to szczególnie uderzające w przypadku Stanów Zjednoczonych. Wbrew Janowi Nowakowi, odpowiedź Reagana na wprowadzenie stanu wojennego nie odpowiadała niestety polskim postulatom. Obserwator spóźnionych i niezbornych reakcji amerykańskich na przełomie 1981 i 1982 roku nie może oprzeć się wrażeniu, że w Waszyngtonie nie wyciągnięto żadnych wniosków z informacji uzyskanych od płk. Kuklińskiego i że pucz generała Jaruzelskiego był tam dla wszystkich zupełnym zaskoczeniem. W rezultacie decyzje Reagana wyrażały szlachetne skądinąd oburzenie, ale nie były

składnikiem przemyślanej polityki, stawiającej sobie realistyczne cele i próbującej wywrzeć wpływ na rozwój wypadków. Gdzie indziej było podobnie albo — jak w RFN — jeszcze gorzej. Obecnie zaś grozi nam spadek zainteresowania sprawami Polski, co może wyrazić się w jednostronnych koncesjach na rzecz rządu PRL, niekiedy tylko prestiżowych — jak przyjęcie generała Jaruzelskiego przez prezydenta Mitterranda — niekiedy również gospodarczych.

Dwa postulaty nie tyle polityczne, co prawne, winny być niestrudzenie przypomniane zarówno Stanom Zjednoczonym, jak wszystkim innym państwom zachodnim: wprowadzenie w PRL statutu więźnia politycznego i uznanie pluralizmu związkowego. Skoro nie podobna wymagać od władzy komunistycznej, by zalegalizowała opozycję, gdyż wtedy przestałaby być sobą, to trzeba przynajmniej wymagać, by represje wobec opozycji były ujęte w określone ramy prawne. W stosunku do stanu obecnego byłby to znaczny postęp. Jeszcze znaczniejszym postępem byłoby uznanie pluralizmu związkowego „zawieszono” po 13 grudnia, okrojonego do minimum ustawą delegalizującą „Solidarność” ale nawet w tej szczątkowej postaci nie wprowadzonego w życie, obecnie zaś całkowicie przekreślonego.

Wszelkie koncesje *polityczne* Stanów Zjednoczonych i innych państw zachodnich wobec rządu PRL mają sens tylko o tyle, o ile przyczyniają się do realizacji tych dwóch postulatów, a tym samym — udzielają pomocy działającemu w Polsce ruchowi społecznemu. W przeciwnym przypadku nic ich nie usprawiedliwia. Ze stosunkami gospodarczymi rzecz ma się inaczej. PRL została przyjęta do Międzynarodowego Funduszu Walutowego i będzie zabiegała o kredyty z Banku Światowego, które zapewne prędzej czy później otrzyma. Nie należy oczekiwać od tych instytucji, by obwarowały swą decyzję jakimikolwiek warunkami politycznymi. Można natomiast żądać od nich, by stawiały rządowi PRL wymagania swoiście *gospodarcze*; oczywistością jest przecież, iż udostępnione mu sumy zostaną tak samo zmarnowane, jak te, którymi już dysponował, o ile nie wprowadzi się zmian zapewniających ich efektywne wykorzystanie.

Wśród takich wymagań gospodarczych na pierwszym miejscu znaleźć się powinny:

1) pojęcie działań na rzecz rozwoju i umocnienia prywatnego rolnictwa, a w szczególności — legalizacja proponowanej przez Kościół Fundacji Rolnej oraz rezygnacja z programu pegeeryzacji wsi i umożliwienie rolnikom indywidualnym nabywania ziemi, która weszła w posiadanie państwa;

2) stworzenie bardziej sprzyjających niż dotąd warunków

prawnych i fiskalnych dla rozwoju prywatnego rzemiosła i drobnego przemysłu oraz spółdzielczości, nastawionych na produkcję towarów na potrzeby rynku; dotyczy to w szczególności zaniechania kampanii opartych na utożsamianiu wszelkiej prywatnej inicjatywy z działalnością przestępczą;

3) rewizja planów gospodarczych i zmiana kierunków inwestycji, które nadal uprzywilejowują przemysł ciężki, co powoduje inflację, trwale uniemożliwia zrównoważenie bilansu energetycznego, pogłębia dewastację środowiska. Nie chodzi rzecz jasna o rezygnację z unowocześnienia przemysłu ciężkiego, a przede wszystkim — z powstrzymania dekapitalizacji. Chodzi o zablokowanie nowotworowego wzrostu działań potrzebnych nie polskiej gospodarce, ale Paktowi Warszawskiemu;

4) udostępnienie instytucjom przyznającym kredyty wszelkich danych pozwalających na rzeczywistą kontrolę sposobu wykorzystania otrzymanych kwot, by uniknąć przeznaczenia ich na cele sprzeczne z założeniami, w szczególności zaś — na zbrojenia.

Wszystko to nie daje, rzecz jasna, w pełni zadowalających gwarancji. Ale takie po prostu nie istnieją. Spełnienie wymienionych tu warunków mogłoby jednak zapoczątkować rzeczywiste przezwyciężanie kryzysu gospodarczego, zwłaszcza przy istnieniu opozycji i prasy niezależnej, które ujawniałyby przypadki niedotrzymywania przez rząd powziętych zobowiązań. Wypada zatem zgodzić się z Janem Nowakiem, gdy sprzeciwia się tym, którzy uważają przyjęcie PRL do Międzynarodowego Funduszu Walutowego za fakt bezwarunkowo i jednoznacznie negatywny. Jak to ocenić, przyszłość pokaże.

Osobnym problemem jest pomoc dla Polski dyktowana katastrofalnym stanem zdrowotności, dewastacją środowiska, postępowaniem patologii społecznej (narkomania, alkoholizm), rozpadaniem się infrastruktury: mieszkań, komunikacji miejskiej, kolei, drukarni itd., itp. W tym przypadku stanowisko emigracji było i jest jednoznaczne: jesteśmy za wszelką pomocą, która nie wzmacnia rządu PRL i nie staje się dlań narzędziem w walce ze społeczeństwem. Dlatego też uważamy, że pomoc należy kierować kanałami kościelnymi, a jeśli to niemożliwe — to trzeba, by miała ona charakter nie pieniężny, ale rzeczowy i by służyła bezpośrednio ludności. Tak dzieje się w przypadku przekazywania leków i wyposażenia szpitali. Tak mogłoby być, gdyby udzielano pomocy w organizowaniu produkcji leków, środków farmaceutycznych i drobnego sprzętu medycznego przez małe prywatne zakłady. Innym właściwym kierunkiem pomocy rzeczowej mogłoby być przesyłanie filtrów i innych urządzeń pozwalających przeciwdziałać zanieczyszczeniu środowiska. Przykłady można mnożyć. Istotne jest to tylko, by w każdym przypadku pomoc służyła społeczeństwu.

Mowa była dotąd o ewentualnych naciskach politycznych, kredytach i pomocy. W niczym nie umniejszając ich znaczenia, należy jednak wyzbyć się wszelkich złudzeń w tej materii. Nawet najmądrzej realizowana polityka państw zachodnich nie zmieni w zasadniczy sposób nie tylko ustroju panującego w PRL, ale nawet stanu polskiej gospodarki. Wprowadzie sprawami międzynarodowymi trzeba się interesować i trzeba opracowywać listy postulatów wyrażających polski punkt widzenia, ale trzeba też mieć pełną świadomość faktu, że rola czynników zewnętrznych jest tylko pomocnicza i drugorzędna. Losy Polski rozstrzygają się w Polsce. Aparat władzy można skłonić do zmian — nawet do zmian mieszczących się w okrojonym przez Sowiety zakresie autonomii — wyłącznie naciskiem społecznym tak mocnym, że zmuszającym do ustępstw. Bez tego nie będzie ani prawdziwej reformy gospodarczej, ani poprawy sytuacji ekologicznej, ani zapoczątkowania choćby powolnego wzrostu stopy życiowej. A już na pewno — żadnych zmian politycznych. W sprawach dotyczących Polaków — Polaków nikt nie zastąpi. „Nie wylewajmy dziecka z kąpielą — ostrzega Nowak — stawka jest za wysoka”. Polski postulat powinien brzmieć inaczej: Spróbujmy wyjąć dziecko z brudnej i zatrutej kąpielii wszelkimi siłami i dostępnymi środkami, dużo nawet ryzykując, jak ryzykuje się zawsze, gdy stawka jest tak wysoka. Naszym naczelnym zadaniem na dziś jest MAKSYMALNA pomoc dla demokratycznej opozycji w Kraju.

REDAKCJA

Ś. † P.

ANDRZEJ ZIĘBA, pseud. „KULIK”

urodzony w Sporyszu 28 stycznia 1929 roku.

Żołnierz Armii Krajowej, Matematyk,

Profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, uchodźca polityczny  
zmarł w Wiedniu 8 sierpnia 1986 roku

o czym zawiadamiają

ŻONA i PRZYJACIELE

DO NASZYCH CZYTELNIKÓW  
I PRENUMERATORÓW  
W AUSTRALII, KANADZIE  
I STANACH ZJEDNOCZONYCH

Z przykrością musimy zawiadomić, że w związku z wprowadzoną 1 sierpnia br. podwyżką opłat pocztowych roczna dopłata lotnicza do wysyłki *Kultury* wynosi:

\$ US 16,00 (zamiast \$ 12,00);

\$ can. 23,00 (zamiast \$ can. 19,50);

\$ A. 31,50 (zamiast \$ A. 22,00).

Usilnie prosimy wszystkich naszych prenumeratorów aby przy odnawianiu abonamentu na rok przyszły dopłacili nam różnicę za ostatnie 4 miesiące br. gdyż w związku ze stałym spadkiem dolara w wymienionych krajach od kilku miesięcy i tak już dopłacamy do każdej wysyłki lotniczej.

Wiemy z własnego doświadczenia, że ostatnio wszędzie wzrosły niewspółmiernie koszty bankowe przy przekazywaniu pieniędzy, czy przy nabywaniu czeków we frankach francuskich płatnych w Paryżu — nie mówiąc już o tym, że jeśli przekazuje się pieniądze w dolarach to koszty ponosi *nie tylko wysyłający*, ale bank obciąża i *nas kosztami ok. 10 dolarów od każdej sumy*. W związku z tym usilnie prosimy o przekazywanie należności na nasz adres *pocztą* — międzynarodowym przekazem pocztowym lub wpłacanie — *ale tylko na pocztę*, nie przez bank — na nasze konto pocztowe:

INSTITUT LITTERAIRE

91, Avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi  
par 78600 Maisons Laffitte, France.

Numer konta: C.C.P. PARIS 18 228-38.

Wysyłka przez pocztę kosztuje o wiele mniej.

Z góry za to dziękujemy

REDAKCJA „KULTURY”

## Pytania strategiczne

Obserwator, uważnie przyglądający się temu, co dzieje się ostatnio w Polsce i na świecie, może łatwo odnieść wrażenie, że na kuli ziemskiej jest sporo miejsc, w których ludzie nie są specjalnie zadowoleni ze swego losu. W niektórych spośród tych miejsc niezadowolenie przybiera takie rozmiary, że ludzie aktywnie starają się zmienić sytuację na swoją korzyść. Do miejsc takich należy np. Republika Południowej Afryki, Afganistan, Chile, Kambodża, Filipiny, a w pewnym sensie także Bliski Wschód. Wszędzie tam dochodzi do starć, zamachów lub regularnych bitew. Giną ludzie — tu dziesiątki, tam setki, gdzie indziej tysiące. Miliony, które przeżywiają, w większości wypadków zbliżają się jednak powoli, stopniowo, krok po kroczku, do zamierzonego celu. Osobliwość polskiej sytuacji na tym tle polega na tym, że — stawiając cele o charakterze co najmniej równie zasadniczym jak w wymienionych rejonach — żadne wpływowe kręgi opinotwórcze na naszym terytorium nie biorą najwyraźniej pod uwagę, że warunkiem osiągnięcia tych celów może się okazać otwarta walka, a co za tym idzie koszty w postaci — być może licznych — ofiar śmiertelnych.

Chciałbym wyrażać się jasno. W dalszej części artykułu Czytelnik nie znajdzie ani wezwań do chwycenia za broń i wyjścia na barykady, ani apoteozy walki zbrojnej jako najlepszego remedium na nasze problemy. Osobiście pragnąłbym rzecz jasna, abyśmy nigdy nie stanęli przed taką koniecznością, a nawet ewentualnością. Zwykła uczciwość nakazuje jednak postawienie sobie pytania, czy doświadczenia innych, współczesnych nam narodów, znajdujących się w podobnej sytuacji, nie powinny stanowić dla nas sygnału, iż na taką ewentualność należy się przygotować. Co więcej — czy obserwacja współczesnego układu dyplomatyczno-

politycznego na świecie nie poucza, że rozmaite formy aktywnego oporu są jedną (choć w żadnym razie nie jedyną) z najskuteczniejszych metod zdobywania sobie liczącej się pozycji w jego ramach i wywierania wpływu na jego kształt i funkcjonowanie. Poczucie odpowiedzialności skłania natomiast do zastanowienia się, czy wolno dopuścić do tego, aby literalnie nikt nie był przygotowany na wypadek, gdyby pewnego dnia otwarta walka miała okazać się jedynym sposobem obrony celów, stawianych sobie przez Polaków.

Celowo tak obszernie wyeksponowałem na wstępie problem ewentualnego wyjścia poza krąg czysto biernego oporu, aby zasygnalizować problem szerszy. Mianowicie problem niepokojących luk tematycznych, jakie powstały w dotychczasowej, „post-Solidarnościowej” debacie na temat losów Polski i jej perspektyw. Jak się wydaje, z nadmierną łatwością pomija się w niej trzy kategorie tematów: zbyt przykre, zbyt groźne i zbyt trudne. Problem ewentualnej otwartej walki i czynnego oporu należy — to oczywiste — do tematów przykrych i groźnych zarazem.

Są także luki znacznie poważniejsze niż zanik problematyki czynnego oporu, z której dyskusowaniem można by w obecnej sytuacji („nie mamy armat”) jeszcze, powiedzmy, poczekać. Spędziłem ostatnio parę dni na ponownym wertowaniu kilku ostatnich roczników *Kultury*, *Kontakt* i sporego pakietu pism, ukazujących się w Polsce poza zasięgiem cenzury. Pozostało mi po tej lekturze uderzające wrażenie, że w dyskusji zdecydowanie przeważają pytania i odpowiedzi dotyczące problemów taktycznych, natomiast stosunkowo skromnie i nieśmiało pojawia się w niej pytanie o strategię działania, a przede wszystkim — pytanie o to, co ma nastąpić po ewentualnym pomyślnym jej zrealizowaniu, czyli, innymi słowy, po odebraniu władzy komunistom, i jak się na to „po” przygotować. Zjawisko to jest zauważalne w ramach praktycznie wszystkich nurtów politycznych opozycji. Jest ono, oczywiście, w znacznym stopniu zrozumiałe i nie piszę o tym po to, by się z kogokolwiek naigrawać lub kogokolwiek za to potępiać. Jest jasne, że przeszliśmy okres, w którym każdy musiał odpowiedzieć sobie przede wszystkim, jak przystosować się do nowych warunków i jak reagować na bieżące zmiany sytuacji i postaw oraz posunięcia władz. Takie odsunięcie się od ogólnych kwestii strategicznych, pewne zamieszanie organizacyjne i generalny „odpływ” nastrojów jest po porażce zjawiskiem naturalnym.

Wypada jednak spostrzec, że okres uzasadnionej „kwarantanny” zbliża się nieuchronnie do końca. Nawet *Życie Warszawy* zauważyło, komentując 80-tą rocznicę rewolucji 1905-1907, że po ówczesnej klęsce: „Okres zniechęcenia i odpływu nie trwał (...) długo. (...) Już w kilka lat po upadku rewolucji wszystkie właściwie polskie obozy polityczne przedstawiły nowe programy,

*uwzględniające doświadczenia płynące z przegranej i kreślące perspektywy, jak się okazało, skuteczniejszego działania. (...) To jednak, co oczywiste dla potomnych, nie dostrzegane było przez współczesnych”* (cyt. za *Kontakt* nr 3/1985, str. 70).

Na razie wszystkie współczesne obozy polityczne nie mówią nic wyraźnego na dwa tematy, które dla każdego przytomnego polityka mają zasadnicze znaczenie i które mają często decydujący wpływ na powodzenie (lub nie) działań na długi dystans — a przecież w polityce tak naprawdę tylko ten dystans się liczy.

### *A jeśli walka?*

Po pierwsze, jako się rzekło, absolutnie nie wiemy, co zrobić, jeśli powstanie sytuacja tak sprzyjająca lub tak groźna, że wyjściem optymalnym byłoby użycie siły. Na taką ewentualność nie jesteśmy zupełnie przygotowani — i jeśli takich przygotowań nie podejmiemy, to musimy już dziś z całą świadomością założyć, iż zostanie nas ona bezradnymi i bezbronnymi, a zatem przegramy wszystko.

Czy do takiej sytuacji może rzeczywiście dojść? Jak się zdaje, w dość szerokich kręgach polskiej opinii publicznej panuje przeświadczenie, że taka sytuacja jest niemożliwa, a jeśli nawet zajdzie, to jedynym rozsądnym wyjściem będzie schować się jak najgłębiej i przeczekać, bo i tak nic się nie poradzi. Wynika to w dużej mierze z powszechnie żywionego — i całkowicie zrozumiałego, głęboko ludzkiego — pragnienia, by nie musieć ponosić kosztów z taką sytuacją związanych. Myślenie życzeniowe sprzyja jednak jedynie zapomnieniu o problemie — nie zaś jego rozwiązaniu.

Przypatrzmy się dotychczasowemu rozwojowi sytuacji w PRL niejako „z lotu ptaka”, starając się postrzec go jako proces historyczny, a więc nie ograniczający się tylko do ostatnich lat i do osobistych doznań i przekonań każdego z nas. Z tej perspektywy dobrze widoczne są główne, dalekodystansowe tendencje. Jedną z podstawowych tendencji jest — w płaszczyźnie politycznej — niewątpliwie kierunek niepodległościowy. Rozwijał się on i manifestował zarówno w trudnych, jak i łatwych sytuacjach politycznych i gospodarczych. Co więcej, w skali 40-lecia wykazuje on wyraźną tendencję wzrostową, zarówno w sensie zasięgu społecznego, jak i procesu dojrzewania form politycznych i organizacyjnych, służących jego wyrażaniu. Po każdym etapie jego rozwoju, zakończonym przesileniami lat 1956, 1968-1970, 1976 i 1980-1981, w społeczeństwie polskim pozostawało coś istotnego dla jego dalszego rozwoju — albo nowe elementy zbiorowej świadomości, albo nowe instrumenty działania, albo jedno i drugie. Istnieją więc mocne podstawy do stwierdzenia, że kierunek ten

przybrał w Polsce charakter trwały, i że — niezależnie od znanych również z przeszłości i stanowiących jego naturalny składnik niepowodzeń na niektórych „odcinkach” — będzie rozwijał się nadal. Można mu pomóc lub zaszkodzić, przyspieszyć go lub opóźnić, ale nie wydaje się już obecnie prawdopodobne, by ktokolwiek mógł całkowicie zahamować jego rozwój. Pamiętajmy, że istniał on „podskórnie” także w nieporównanie trudniejszych sytuacjach niż obecna — z powodzeniem przetrwał np. lata stalinowskie. Nie pomyślę się chyba twierdząc, że w 1980 roku opozycja była sama zaskoczona skalą, jaką rozwój ten już osiągnął.

„Z lotu ptaka” dobrze widoczne są także główne tendencje w strategii przeciwnika. Paradoksalnie, o strategii przeciwnika mówimy i piszemy znacznie więcej i jaśniej niż o naszej własnej. Wystarczy przejrzeć choćby znakomite comiesięczne artykuły Adama Kruczka w kilku rocznikach *Kultury*, by zyskać błogosławione poczucie pełnej jasności co do głównych celów strategii Kremla, jej globalnego charakteru, a przede wszystkim — jej stałości i żelaznej konsekwencji, z jaką od dziesięcioleci jest realizowana. Jest więc rzeczą oczywistą, że nie należy mieć żadnych złudzeń, iż jakiegokolwiek powierzchowne zmiany taktyczne — jakich wiele znamy już z przeszłości — mogą stanowić sygnał o skłonności do konstruktywnego uwzględnienia polskich tendencji niepodległościowych w tamtej strategii. Tendencje te stanowią bowiem zagrożenie dla realizacji owej strategii jako całości i jako takiej — n i g d y nie mogą być uznane za możliwe do spełnienia.

Ponieważ powiedzieliśmy, że obie tendencje mają charakter trwały, a przy tym przeciwstawne kierunki — przeto logiczny wydaje się wniosek, że musi kiedyś dojść do otwartego zderzenia między nimi. Podstawowym zadaniem opozycji jest więc nie tylko kontrola i ocena sytuacji, ale również takie nią sterowanie, by wybór momentu i form owej nieuchronnej konfrontacji należał do nas, a nie do przeciwnika.

Próbujmy wyobrazić sobie, jak mogą wyglądać następne „przesilenia” na polskiej arenie. Potrzebna jest do tego znajomość przynajmniej dwóch rodzajów danych. Dane pierwszego rodzaju — o kształcie ogólnej sytuacji kraju i świata w momencie takiego „przesilenia” — można przewidzieć w niewielkim tylko stopniu. Natomiast dane drugiego rodzaju — o przypuszczalnym stanie postaw i świadomości społecznej — dadzą się w znacznym stopniu określić już dziś.

Gustaw Herling-Grudziński napisał w *Kulturze* z marca 1982 roku, że: „*'Solidarność'* powstała, i przybrała taki a nie inny charakter po doświadczeniach przeszłości, z których można było wyciągnąć jedną tylko naukę: ustępstwa wydarte doraźnie, bez instytucjonalnych gwarancji i prawdziwych reform, nie posiadają żadnej prawie trwałości, są szybko rozmydlane. Z powstaniem

*'Solidarność'* zmieniła się jakoś oporu, stał się z petenta stroną”.

Poczucie, że społeczeństwo jest w konflikcie z stroną, a nie petentem, należy bez wątplenia zaliczyć do trwałych zmian w świadomości zbiorowej — a zatem będzie ono odgrywać rolę także w momentach przyszłych „przesilen”. Co więcej, będzie ono wzbogacone kolejną nauką, jaką pokolenie „post-Solidarnościowe” musi wyciągnąć z doświadczeń lat 1980-1981: że nie można osiągnąć rzeczywistych gwarancji instytucjonalnych i prawdziwych reform, jeśli nie dysponuje się sprawną organizacją i wynikającą stąd siłą, pozwalającą na zapobieżenie użyciu siły przez przeciwnika i skutkom działania jego maszyny organizacyjnej.

Większość Polaków prawdopodobnie nie będzie tej swojej nowej świadomości ujmować w takich polityczno-prakseologicznych kategoriach, ale wyrazi ją po prostu w rzeczywistym działaniu. Działacze opozycji muszą zdawać sobie sprawę, że już nigdy nie staną wobec takiej sytuacji, jaka zdarzyła się w sierpniu 1980 roku. Aby uzmysłowić sobie ewolucję, jaka zaszła od tego czasu, wystarczy wyobrazić sobie, że ktokolwiek z tych działaczy miałby stanąć obecnie na czele szeroko rozlanego strajku lub rozruchów. Powstaje pytanie, z jaką propozycją złagodzenia lub rozwiązania sytuacji mógłby wystąpić taki przywódca. Otóż można spokojnie założyć, że miałby trudności, gdyby zaproponował zaproszenie delegacji rządowej, aby ta zechciała wyrazić zgodę np. na utworzenie komitetów założycielskich niezależnych związków zawodowych, sprawiedliwszą nowelizację ustawy o cenzurze i, dajmy na to, transmisje niedzielnej mszy nie tylko w radio, ale i w telewizji. To po prostu już było i nie może się powtórzyć, nawet gdybyśmy tego chcieli i marzyli o tym, że może uda się powtórzyć „Solidarność” w wersji „poprawionej i uzupełnionej”. Nie uda się. A nie uda się głównie dzięki „Solidarności” właśnie i zmianom, które dzięki niej w nas wszystkich zaszły. Należy oczekiwać, że w czasie hipotetycznych przyszłych „wydarzeń” główne postulaty będą dotyczyć raczej takich gwarancji, jak swoboda działania różnych partii politycznych, wolne wybory z ich udziałem i neutralizacja kraju. Szkoda byłoby dopuścić do tego, by przeciwnik był lepiej przygotowany na taki rozwój wypadków niż my.

Są także inne jeszcze czynniki, które mogą sprzyjać radykalizacji postaw w trakcie przyszłych „przesilen”. Mam na myśli pewne mikroprocesy społeczne, które rozpoczęły się lub szczególnie przybrały na sile po wprowadzeniu stanu wojennego i rozwijają się nadal obecnie. Chodzi np. o bezprecedensowo głęboki podział, jaki nastąpił między aparatem władzy i „orbitującymi” wokół niego przedstawicielami inteligencji — a środowiskami inteligentnymi zorientowanymi opozycyjnie lub przynajmniej „nieprojaruzelsko”. Na wszystkich poprzednich etapach znajdowano

zawsze specyficzny *modus vivendi*, wyrażający się w swoistej symbiozie towarzysko-kawiarniano-klubowej, pozwalającej nie tylko i nie tyle na wzajemne poznanie się osobiste, ale i np. na utrzymanie stałego przepływu opinii i informacji „z pewnych źródeł”. Wiele wskazuje na to, że obecnie obieg ten został przerwany. Kontakty towarzyskie między obu stronami praktycznie nie istnieją, a izolacja ta raczej pogłębia się w miarę upływu czasu. Wygląda na to, że obie strony czują, iż powiedziały już sobie wszystko co było do powiedzenia i zanikła, siłą rzeczy, społeczna funkcja takich kontaktów. Z bardzo podobnym zjawiskiem mieliśmy do czynienia bezpośrednio po wprowadzeniu stanu wojennego (nie wypowiadam się, jak to wygląda teraz, bo nie wiem) w wielu fabrykach, na linii: szeregowi pracownicy — pracownicy funkcyjni. Osobiście rozmawiałem wówczas z majstrami, skarżącymi się na to, że nieomal z dnia na dzień zostali — wraz z brygadzystami i dyrekcją — dosłownie odcięci od reszty załogi, tracąc naturalną możliwość tak łatwej i szybkiej orientacji w tym „co właściwie dzieje się na dole”, jak to było ich udziałem zawsze przedtem.

Obserwacje te, choć dotyczą zjawisk słabo widocznych gołym okiem, mają niemałe znaczenie dla oceny przyszłych kierunków zmian w postawach społecznych. Obserwacje te wskazują bowiem, że organizm społeczny jako całość zaczyna bardzo wyraźnie różnicować się. Podziały między poszczególnymi jego częściami nabierają charakteru nieodwracalnego, a co więcej — „wyłączają się” działające dotychczas nieustannie swoiste „mini-amortyzatory”, sprzyjające łagodzeniu zderzeń. Dodajmy do tego jeszcze zachowanie młodzieży — czyli pokolenia, którego postawa może mieć w następnym „przesileniu” znaczenie decydujące — a uzyskamy obraz kolejnych mikroprocesów, przebiegających w płaszczyźnie rodzinnej, towarzyskiej, parafialnej itp., wpisujących się w ogólną tendencję o tym samym kierunku. Bez przesadnego mitologizowania „radikalizacji” młodzieży, nie sposób jednak nie odnotować, że jej udział w sektorach życia, organizowanych bezpośrednio przez państwo, spadł do poziomu niespotykanego bodaj w całym powojennym 40-leciu. Gorączkowe podejmowanie rozmaitych uchwał w sprawie „aktywizacji młodzieży” przez instancje partyjne wszystkich szczebli, z Biurem Politycznym na czele, jest na to najlepszym, choć pośrednim, dowodem.

Jak więc widać, na wielu społecznych „mikro-łączach” zapawała cisza. Nie chcę upierać się, że jest to na pewno cisza przed burzą, ale wygląda to trochę tak, jakby organizm cicho, powoli, lecz systematycznie przygotowywał się do odrzucenia przeszczepu o nazwie „dotychczasowa władza”. Gdy dostrzeżę się te procesy pod zewnętrzną przykrywką „apatii”, „zmęczenia” i „rezygnacji” — to w pełni zrozumiałe staje się, dlaczego tak niepokojąca jest nieobecność problemu ewentualnej otwartej walki

w dyskusjach opozycji. Można bowiem być pewnym, że komuniści doskonale zdają sobie sprawę z tego, że może im grozić wybuch — i z dwojga złego z pewnością wolą, aby był to wybuch niekontrolowany i nieprzygotowany, gdyż wtedy go po prostu zgniotą. Można zaś być również pewnym, że Moskwa z całym spokojem wykorzysta taką okazję dla fizycznej eliminacji opozycji — i wtedy będzie miała nareszcie spokój z Polską na dłużej.

Raz jeszcze odwołam się do tego samego odcinka „Dziennika” Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Bezpośrednio po 13 grudnia udało mu się kilka podstawowych dla Polski spostrzeżeń sformułować nadzwyczaj jasno i lapidarnie. Pod datą 16 grudnia opisuje wizytę znajomego z Polski: „Na pożegnanie powiedział: *'Następnym razem zacznie się od wieszania komunistów'*. (...) P. skwitował to słuszną uwagą: *'Dość prawdopodobne, ale nie trzeba zapominać, że i komuniści o tym wiedzą'*”.

Reasumując — w pewnym momencie może stać się jasne, że podmiotowość społeczną i państwową można wywalczyć sobie tylko siłą. Co wtedy? Oczywiście, zrodzi to natychmiast szereg pytań natury taktycznej. Na przykład: jakiego rodzaju ma to być siła? Jak ją stworzyć? Kiedy jej użyć? Odpowiedź na dwa ostatnie pytania — to zupełnie odrębna kwestia, zdecydowanie wykraczająca poza ramy niniejszego artykułu. Natomiast w odniesieniu do pierwszego pytania można pokusić się przynajmniej o zasugerowanie niektórych użytecznych kierunków myślenia w tej sprawie.

Generalna odpowiedź na to pytanie brzmi: musi to być taka siła, aby przeciwnik zawahał się, czy opłaca mu się użyć własnej. W naszych warunkach nie jest oczywiście realne wystawienie, i to środkami konspiracyjnymi, np. milionowej armii, uzbrojonej po zęby, najlepiej w rakiety nuklearne średniego i dalekiego zasięgu. Wobec takiej siły przeciwnik zawahałby się z pewnością, ale gdybyśmy ją mieli, to nie musiałbym pisać tego artykułu. Powstaje wobec tego pytanie, jak podobny efekt — owo zawahanie się, które dla naszego narodu może być na wagę życia — osiągnąć innymi środkami.

Warunkiem nadrzędnym osiągnięcia takiego efektu jest stworzenie w Polsce kilku niezależnych od siebie, choć pozostających w porozumieniu, organizacji politycznych o strukturach w znacznym stopniu zakonspirowanych. Do podjęcia takich działań nie trzeba będzie zresztą chyba specjalnie zachęcać, gdyż proces tworzenia organizacji tego rodzaju najwyraźniej zaczął się już w sposób naturalny — słyszałem np. o powstaniu partii o orientacji, jeśli się nie mylę, piłsudczykowskiej, której kierownictwo ujawniło wyłącznie swoje pseudonimy. Zjawisko to powinno rozwinąć się wkrótce na większą skalę. Trzeba cały czas mieć w pamięci praw-



dę, którą sobie powiedzieliśmy już wielokrotnie — że „Solidarność” była celem niesłuchanie łatwym do zniszczenia z militarno-policyjnego punktu widzenia. Właściwie jedynym poważnym problemem była jej wielkość. Ale poza tym — był to polityczny młoch, niemożliwy do organizacyjnego opanowania przez jego własne kierownictwo, a zatem wykazujący stopień sprawności operacyjnej bliski zeru. Słowa te brzmią trochę sucho — ale tak to musiało wyglądać zza stołu oficera sztabowego.

Szczyście w nieszczęściu polega w naszej sytuacji na tym, że — choć zniszczono „Solidarność” — to nie zdołano unicestwić całej gamy nurtów politycznych, które pod jej skrzydłami zdążyły sformułować zręby swych programów i stworzyć zawiązki swych struktur. Pamiętam, że niedługo przed 13 grudnia istniało już ponad trzydzieści programów rozmaitych partii politycznych. Jest więc na czym budować i w czym wybierać. Historyczna rola „Solidarności” jest w tej dziedzinie wprost niemożliwa do przecenienia: Związek wziął na siebie cały impet uderzenia, odwracając uwagę i odsuwając ciosy od tego, co w przyszłości może dla kraju okazać się najważniejsze — tj. od zdrowych, normalnych podziałów politycznych i od ich zdrowych, normalnych form organizacyjnych. Ujawnienie się tych podziałów, przy konieczności wtłoczenia ich w jednolite ramy „Solidarności” w czasie jej legalnego funkcjonowania, było oczywiście jedną z najcięższych kul u jej nóg. Ale po jej zniszczeniu — podziały te, zainicjowane i kontynuowane w naturalny sposób, stanowią bodaj najbardziej obiecujący jej dorobek. To na ich właśnie bazie mogą powstać ośrodki polityczne, zdolne w razie konieczności do zorganizowania walki i kierowania nią. Aby przeciwnik zawahał się przed wejściem na nasz teren — musi wiedzieć, że na dłuższy dystans będzie mu na tym terenie trudno wytrzymać i że jeśli nawet opór nie będzie z początku duży, to na pewno będzie dobrze zorganizowany i trudny do zdławienia. I że nie będzie miał do czynienia z jednym, ogromnym, widocznym jak na dłoni związkiem zawodowym, tylko z wieloma różnorodnymi, sprawnymi organizacyjnymi i dokładnie świadomymi swych celów ośrodkami politycznymi.

Ponadto nie można zapominać, że wahania przeciwnika i zmiany w proporcjach sił na swoją korzyść można wywoływać nie tylko poprzez dobre organizowanie swoich sił, ale i poprzez dezorganizowanie sił przeciwnika. Gdy powstaną ośrodki polityczne — choćby i niewielkie, ale z prawdziwego zdarzenia — to będą mogły sięgnąć po naprawdę szeroki wachlarz metod w tej dziedzinie. Wystarczy choćby zastanowić się, jakie mogą być nastroje polityczne kilku — jeśli nie kilkunastu — najbliższych roczników poborowych. Albo np. kandydaci do szkół oficerskich — to przecież mogą okazać się nad wyraz sympatyczni ludzie.

Tu naprawdę nie potrzeba armat. Potrzebne są natomiast przynajmniej cztery rzeczy: pomysłowość, czas, ludzie i pieniądze.

### A jeśli zwycięstwo?

Na wstępie zasygnalizowałem drugi jeszcze, i bodaj jeszcze ważniejszy, „problem-rzekę”, którego dotychczasowe opracowanie pozostawia uczucie niedosytu. Mianowicie — co potem? Potem, to znaczy po ewentualnym odzyskaniu władzy przez legalnych przedstawicieli społeczeństwa.

Z grubsza biorąc każdy wie, że chciałby żyć w społeczeństwie demokratycznym, z normalnym parlamentem, normalnym rządem i normalną gospodarką. Te niewątpliwie słuszne idee każdy z nas ma zapisane w najgłębszych pokładach świadomości. Warto jednak czasami wrócić do pytań przeraźliwie przyziemnych. Na przykład: czy jesteśmy do takiego życia przygotowani? A jeśli nie — to jak można się przygotować?

Żyć w demokracji trzeba umieć. Zwłaszcza, jeśli chce się w jej ramach prowadzić jakąś politykę. Trzeba wtedy liczyć się z tym, że ma się wielu bardzo rozmaitych konkurentów, spośród których na żadnego nie możemy się po prostu obrazić tylko dlatego, że nie podobają się nam jego poglądy. W demokracji każdy z nich będzie miał w zasadzie takie same prawa — i każdemu będzie trzeba pozwolić spokojnie wypowiedzieć się, a z niektórymi trzeba będzie nauczyć się nawet współpracować. Nawet, jeśli rozbieżności zdań w tych lub owych kwestiach będą między współpracującymi bardzo wyraźne. Powie ktoś, że są to prawdy elementarne i właściwie nie wiadomo, po co o nich wspominam.

Wspominam o nich dlatego, że Polacy od bardzo dawna nie żyją w demokracji — i w okresie legalnego działania „Solidarności” można było zauważyć niemało zjawisk i reakcji, świadczących o tym, iż podstawowych reguł funkcjonowania demokracji nie mamy we krwi i nie są one dla nas chlebem powszednim. Piszę o tym zresztą bez cienia pretensji, wyrzutu, a tym bardziej wstydu. Wstydzić się nie ma czego. Należałoby raczej powiedzieć, że — jak na społeczeństwo po czterdziestu latach sowietyzacji — spisaliśmy się nadzwyczajnie. Nie zmienia to jednak faktu, iż z pewnością jest żdźbło prawdy w sarkastycznym spostrzeżeniu, że najlepszym sposobem podstawienia Polakom nogi byłoby obecnie dać im z dnia na dzień pełną niepodległość.

Co można zrobić, by nie spełniły się te najczarniejsze i nieprzyjazne nam przewidywania? By moment odzyskania niepodległości nie wiązał się z jakimś katastrofalnym trzęsieniem ziemi wkrótce po nim?

Po raz drugi jako zdecydowany priorytet jawi się nazywanie po imieniu naturalnych podziałów politycznych i tworzenie, na ich bazie, ośrodków dyspozycyjnych (w obecnej sytuacji oczywiście zakonspirowanych). Jest rzeczą wprost fenomenalną, że po czterdziestu latach „prania mózgów” okazuje się, iż kiedy tylko pojawia się trochę wolności, to natychmiast odradza się w Polsce pełny, nienaruszony wachlarz postaw i ugrupowań politycznych, istniejących w każdym normalnym społeczeństwie demokratycznym. Jest to nasz wielki skarb, gdyż jest to zapowiedź normalności. Muszę powiedzieć, że chociaż sam nie byłbym gotów zapisać się do jakiegokolwiek konkretnej partii, to na ich odradzanie się i ich spory patrzę z czymś w rodzaju „obywatelskiej czułości”. Bo jest to znak nadziei, że kiedyś Polska będzie mogła żyć normalnie.

Jest jednak oczywiste, że spory i podziały mogą mieć także charakter destrukcyjny. W szczególności wtedy, gdy adwersarze nie są przyzwyczajeni do stosowania klasycznych, podstawowych reguł demokracji. Dlatego fakt tworzenia ośrodków politycznych już teraz ma tak wielkie znaczenie dla przyszłości. Przeciwnik dał nam, zupełnie zresztą niechcący, prezent w postaci czasu, który możemy wykorzystać na wykrystalizowanie stanowisk, przeciwieństwo reguł gry między poszczególnymi ugrupowaniami — tak, by w przyszłej Polsce było już wiadome, co i jak może być przedmiotem sporu, a w jakich sprawach i w jaki sposób można dojść do porozumienia — i w jakich konstelacjach politycznych. Nie chodzi, rzecz prosta, o rozdzielanie miejsc w parlamencie i rządzie, gdy o powstaniu takowych nie ma jeszcze co marzyć, a ponadto o tych szczegółach powinni zdecydować wyborcy — chodzi natomiast, generalnie, o to, by ewentualne odzyskanie niepodległości nie spowodowało dopiero wybuchu sporów, ale by było ich *f i n a ł e m*.

By ułatwić powstanie właściwego kontekstu dla takiego właśnie rozwoju procesów politycznych, konieczne jest sprzyjanie jak największej różnorodności form i środków działania. Jeśli chodzi o różnorodność samych ugrupowań politycznych — to tu się nie da nic „postanowić”. Potencjalnie może ich być dużo. Jak już wspominałem, co najmniej trzydzieści. Praktycznie — po prostu teraz dopiero okaże się, które z nich są naprawdę sprawne i które wytrzymają próbę czasu i próbę organizacyjnej prężności w trudnych warunkach. Byłoby oczywiście dobrze, gdyby powstało ich sporo — choćby dlatego, że zmusiłoby to przeciwnika do otwarcia wielu nowych frontów. Dla policji, której działanie trzeba obliczać na lata, nie ma nic łatwiejszego do rozpracowania niż struktury w miarę ujednolicone i jednorodne. Kiedy w takiej sytuacji raz uda jej się „wgrzyźć” w jakiś kanał, to potem już cała policja to spece od rozgryzania następných, podobnych.

Ponadto jest rzeczą absolutnie niezbędną wzmacnianie w społeczeństwie przyzwyczajenia do pluralizmu i tolerancji dla wielkiej różnorodności poglądów. Tendencje te są u nas obecne, a nawet, powiedziałbym, popularne — ale ciągle jeszcze jakby trochę bardziej w teorii niż w praktyce. W czasie, jaki podarował nam przeciwnik, musimy zdążyć jeszcze politycznie „samowychować się”. Instrumentów nam, na szczęście, nie brakuje — że wspomnę tylko o ciągle przecież obfitej prasie podziemnej, o prasie emigracyjnej, wreszcie o polskojęzycznych radiostacjach na Zachodzie. Dzięki nim wszelka dyskusja polityczna, prezentacja stanowisk i ich ocena mogą zyskać publiczny wyraz.

W ramach ćwiczeń z tolerancji można uzmysłowić sobie np., że społeczeństwu w równym stopniu potrzebne są elity polityczne i intelektualne (bez których nie pójdzie naprzód), jak i masa ludzi (bez których w ogóle nie będzie żyć i istnieć), zajętych swymi codziennymi sprawami, ale gotowych we właściwym momencie przyłączyć się do strajku czy jakiegokolwiek innej formy walki o wspólne interesy, które przecież — co do tego nie ma wątpliwości — rozumieją. Przyznam się, że osobiście nie mogę pojąć nawet delikatnych utyskiwań na to, że wśród Polaków zapanowała podobno „apatia”, „zmęczenie”, że „opuszczają ręce” i „gonią tylko za własnymi sprawami”. A za czym, przepraszam, mają gonić? W takiej sytuacji, w jakiej się znaleźli? Przy życiu tak trudnym i po wysiłku tak potwornym, jakiego w sumie — w dodatku na pierwszym rzut oka bezowocnie — dokonali? To już nie mogą być zmęczeni? I nie mogą odpocząć? A dlaczego? Wolałbym, szczerze mówiąc, żeby teraz właśnie odpoczęli, a byli w formie później, kiedy to będzie naprawdę potrzebne. Czy można jeszcze, po tylu doświadczeniach, mieć wątpliwości, że polskie „opuszczanie rąk” ma charakter fasadowy? Czy można mieć wątpliwości, jakie są poglądy Polaków w sprawie komunistów i co będą chcieli im powiedzieć, gdy nadarzy się stosowna okazja? Ileż to atramentu wylali socjologowie przed Sierpniem, alarmując, że Polacy — w tym zwłaszcza młodzi — „zamykają się w małych kręgach rodzinnych i koleżeńskich”, nie wykazując żadnego zainteresowania sprawami ogólnospołecznymi! Czy przypadkiem to ciągle przypominanie o atmosferze „ogólnej rezygnacji” nie służy za częściowe usprawiedliwienie dla tych, którzy właśnie teraz mogą i powinni coś zrobić, ale nie robią, bo... przecież wokół taka apatia...

Ma się rozumieć, z wszystkich tych rozważań nic nie będzie, jeśli równolegle nie wypracuje się jasnej i rozsądnej koncepcji polityki polskiej w płaszczyźnie międzynarodowej, a w szczególności w dziedzinie międzynarodowych stosunków gospodarczych. Jest to jednak temat na odrębny esej. Na razie zauważmy tylko, że naszym ważnym interesem strategicznym jest, by przejąć gos-

podarkę w jak najlepszym stanie, a naszym *priorytetowym* intere-  
 sem strategicznym jest — z jednej strony — uniknięcie zbyt  
 głębokiego wpełnienia w orbitę RWPG, a z drugiej — uniknię-  
 cie wypchnięcia z grupy państw, zdolnych do przeprowadzenia  
 tzw. trzeciej rewolucji technologicznej. Prowadziłoby to, jak się  
 wydaje, do bolesnej rewizji ogólnego stosunku do zachodnich sank-  
 cji gospodarczych, pod warunkiem wszelako — co podkreślam z  
 ogromnym naciskiem — że opozycja okaże się zdolna do podjęcia  
 w płaszczyźnie wewnątrz krajowej równoległych działań w kierun-  
 kach zarysowanych z grubsza na poprzednich stronach. Inaczej  
 cała zabawa nie ma sensu i rzeczywiście pozostanie czekać, aż  
 ZSSR się tych sankcji przestraszy — bo wtedy to już na pewno  
 będzie dla nas znak, że nareszcie nadchodzi upragniona wolność.

Andrzej TOKARSKI

Ś. † P.

### WACŁAW KISIELEWSKI

zmarł 12 lipca 1986 w szpitalu w Wyszku na skutek  
 wypadku samochodowego.

Wacek był znakomitym pianistą, który wraz z Markiem  
 Tomaszewskim stworzył wspaniały duet fortepianowy „Ma-  
 rek i Vacek” o międzynarodowej reputacji. Poza muzyką  
 Wacek pasjonował się sprawami społecznymi. Tracimy w  
 Nim serdecznego, bliskiego przyjaciela.

Wyrazy żalu i współczucia składamy Rodzicom, Rodzeń-  
 stwu, córeczce Zuzi i jej Matce Joannie.

ZOFIA HERTZ  
 JERZY i HENRYK GIEDROYC

## Notatki o ćwiczeniu w antysemityzmie

13 grudnia 1981 roku rano szedłem Nowym Światem.

Obwieszczenia o stanie wojennym rozklejono przed paroma  
 godzinami. Miasto zmieniło barwę: ze swobodnej pstrokacizny  
 jakich kto chciał napisów i chorągiewek — na wojskowo-wię-  
 zienną szarą zieleń. Rojło się od transporterów opancerzonych  
 i patroli. To komunizm dalej starał się udawać uporządkowany  
 system — utopię, tyle, że rozgniewaną, broniącą pryncypiów, a  
 więc umundurowaną i zbrojną.

Tymczasem zza czołgu wyrżał nie żołnierz — obrońca pań-  
 stwa, lecz męt i żul. Obok urzędowych komunikatów w sprawie  
 położenia kresu kontrewolucji pojawiły się na mieście tej samej  
 nocy napisy i afisze na przykład takie: „KOR — ŻYDY”, duży-  
 mi literami na murze, a także — w większej ilości — plakat,  
 na którym rabini z Izraela udzielają docentowi Geremkowi wska-  
 zówek, jak ma gubić Polskę. Coś takiego oglądałem na rogu  
 Nowego Świata i Świętokrzyskiej: grube wargi pod zakrzywio-  
 nym nochem między kudłami pejsów instruowały „Solydar-  
 noszcz” (w komiksowych dymkach widać było wyraźnie, że rabi-  
 ni z Tel Avivu okropnie żydłaczą).

Sytuację, w jakiej się znalazłem wraz z innymi, odczuwałem  
 — jak wszyscy — w kategoriach ostatecznych, w skali narodu  
 i w poczuciu wyjątkowej narodowej więzi: jest zdrada, napaść  
 w nocy, są bandyci przebrani za polskie wojsko, sprawiedliwi  
 w więzieniach, biało-czerwona flaga świeżo wetknięta w dach  
 sowieckiej ekspozytury, róg Nowego Świata i Alej, jakby ukra-  
 dziona. I do całej tej zbrodni jeszcze to: piętnowanie Żyda,  
 wskazywanie go właśnie w napadniętej „Solidarności”.

Byłem pewien, że to się kompromituje samo — jak uderze-  
 nie, które miało być zadane ukradkiem, ale widzą je wszyscy, bo

się przebudzili. Widzą kto uderza, w kogo. Ci sami, co nas trzymają pod łufą, ładują w nas od razu antysemityzm. A więc antysemityzm w Polsce to najwyraźniej ich zysk — nasza strata.

O tych napisach i plakatach rozmawiałem później nie raz. Nie każdemu wydawało się to takie proste. Niektórzy twierdzili, że akcja propagandowa na Nowym Świecie była spontanicznym dziełem organizacji Grunwald, która gdzieś tam w okolicy miała swoją siedzibę, generałowie zaś ani organizacji Grunwald, ani antysemickiej karty nie potrzebują.

Inni natomiast nie podzielali mojego optymizmu. Wątpili, czy antysemityzm można zlikwidować jakimikolwiek dowodami czarno na białym, jest to bowiem coś, co trzyma się z dala od światła rozumu, żywi się strachem i nienawiścią. Te zaś uczucia, sądzić należy, przetrwają, i z upływem czasu będą chyba nawet rosły.



W pierwszych miesiącach 1982 roku można było na ulicach Warszawy, a zapewne i innych polskich miast, zobaczyć plakat wydany całkiem już oficjalnie przez KAW w ramach państwowej propagandy wizualnej. Wiadomo kto jest jego autorem: Witold Mysyrowicz, grafik młodego pokolenia, wychowanek warszawskiej ASP, pracownik partyjnego miesięcznika *Sugestie*, poświęconego technikom propagandy.

Plakat przedstawia bardzo źle narysowane drzewo, będące „drzewem zdrady narodowej”. Widać korzenie, pień i gałęzie. Na wszystkim tym — napisy. Na korzeniach na przykład „ZAPRZĄSTWO”, na gałęziach zaś nazwiska: Giedroyc, Najder, Rurarz, Chojecki, Blumsztajn i inni. Pomieszano tu pisarzy i działaczy emigracyjnych z komunistycznymi renegatami.

Gałęzie były duże i małe. Wszystkich zdumiewało, że Blumsztajn zajmował gałąź największą, najgrubszą. Niczego mu nie ujmując — byli w tym towarzystwie inni, starsi, bardziej zasłużeni. Tylko że Sewek ma nazwisko, które partyjnemu propagandyście do drzewa zdrady narodowej pasowało jak rzadko: BLUMSZTAJN. Nikt nie marnuje takiej okazji. Dlatego nazwisko to wydobyte zostało na plan pierwszy, niemal na równi ze słowem TARGOWICA. W pewnym miejscu gałąź wypucza się nawet jak guma, by uwydatnić to SZTAJN o niepolskim brzmieniu. Na tym dziele frontu ideologicznego PZPR wymalowana jest cała obsesja niepolskości pewnych nazwisk.

Wszystko to całkiem przestaje być zabawne, gdy przyjdzie nam do głowy, że może gdyby Seweryn Blumsztajn nazywał się inaczej, nie ośmielono by się go, kiedy wrócił do Polski, wsadzić w najbliższy samolot do Paryża. Mamy w ten sposób co prawda pierwszego polskiego banitę, nawet bez specjalnej ustawy, ale —

niejeden powie — nie jest on całkiem polskim banitą, bo w końcu — to nazwisko...



Przypomnę teraz dwa epizody znane, ale tutaj warte przypomnienia. Oba dotyczą policjantów.

Z gdańskiego więzienia Adam Michnik pisze („Przed wyrokiem — zamiast ostatniego słowa” — *TM* nr 134): „W załączonej do akt sprawy opinii policyjnej na temat mojej osoby pewien warszawski ubek w stopniu sierżanta sztabowego, Andrzej Solecki, był łaskaw określić moją narodowość jako 'żydowską'. Jedno jest tylko kryterium, którym mógł się ów ubek kierować: kryterium hitlerowskich ustaw rasowych. Kwalifikując ludzi wedle tego kryterium hitlerowcy wymordowali rodzinę mojego ojca. Nawet w 1968 roku, kiedy szaleli w Polsce miłośnicy Mieczysława Moczarza, żaden z ubeków nie posunął się do takiej otwartości — poprzestawano na mętnych aluzjach”.

Bo też to, co dawniej mogło być tylko aluzją, dzisiaj wali się śmiało. Choćby i z sejmowej trybuny. Notatka służbowa sierżanta jest niczym w porównaniu z wystąpieniem ministra Spraw Wewnętrznych generała Czesława Kiszczaka na Wiejskiej w dniu 10 maja 1985. Kiszczak mówił między innymi o Czesławie Bieleckim. Niezależnego wydawcę i publicystę, znanego jako Maciej Poleski, nazywa „wieloletnim agentem ośrodków dywersji politycznej”, co jest jeszcze normalnym kłamstwem policjanta. Ale dalej minister mówi posłom, że Bielecki z Polską tyle ma tylko wspólnego, że się tu urodził i otrzymał wykształcenie.

Czy to znaczy, że jest na przykład Chińczykiem? Nie, minister rządu PRL wie, że cały sejm PRL zrozumie go w lot: tutaj chodzi o Żyda. Ten dywersant — to Żyd, żaden Polak.

O tym, że Czesław Bielecki (którego rodzice istotnie wyemigrowali do Izraela) jest — tak się złożyło — wybitnym architektem, autorem wielu projektów (między innymi projektu rozbudowy Uniwersytetu Warszawskiego) i realizacji (między innymi świetnej kwatery akowskiego Oddziału Żywiela na cmentarzu powązkowskim) wiedzą już dziś wszyscy, do których dociera niezależna informacja. Rzecz stała się znana, udowodnienie Kiszczakowi kłamstwa okazało się i łatwe, i przyjemne.

Ale tak się też złożyło, że tam na miejscu, na Wiejskiej, obecna była — i to w charakterze wicemarszałka sejmiku — osoba, która mogła w tej sprawie od razu zabrać głos: architekt Halina Skibniewska. Współpracowała z Bieleckim niejednokrotnie, znała go jako twórcę z polsnością związanego nie mniej, niż ona sama.

Interweniowała u ministra, by Bieleckiego przestano bić w śledztwie. Musiała wówczas powiedzieć, co wie o swym młodszym koledze, choć najprawdopodobniej nie było to dla szefa po-

licji nowością. Wyobraźmy sobie: wicemarszałek sejmu i minister Spraw Wewnętrznych wiedzą razem jedno — a na forum sejmowym ta wiedza ich do niczego nie zobowiązuje. Minister, najwyraźniej bez trudu, wchodzi w rolę rasisty — wicemarszałek się temu przygląda.

Halińę Skibniewską wychowano w tradycji lewicowych architektów środowisk WSM-u i TOR-u, które przed wojną ostro walczyły z falangą, antysemityzmem, gettem ławkowym na uczelniach. Wojna tę sprawę jeszcze uwydatniła, przydała jej finał niesłychanie mocny. Dzisiaj jednak, po czterdziestu latach funkcjonowania PRL, pani wicemarszałek nie protestuje, gdy w parlamencie używa się antysemityzmu jako bronii w walce z niepodległościowymi roszczeniami Polaków. Być może cała ta sytuacja jest dla niej niepojęta, dziwaczna. Może zresztą odwrotnie: rozumie ją aż za dobrze i widzi, że protesty byłyby tutaj tak samo nie na miejscu, jak nawoływanie do wstrzemięźliwości w knajpie.

W n-rze 6 (z 10 lipca 1985) nowego warszawskiego tygodnika *Kultura* reprodukcje obrazów Edwarda Dwurnika. Malarz ten w środowisku artystycznym posiada opinię uzdolnionego, może nawet bardzo uzdolnionego, a zarazem całkiem pozbawionego skrupułów. „Solidarność” rośnie w potęgę — Dwurnik maluje Wałęsę. Następuje „normalizacja” — Dwurnik odcina się od zrewoltowanych przeciw władzy kolegów, wstępuje do reżimowego związku malarzy i wysyła obrazy na kominternowski z ducha Festiwal Malarstwa Krajów Socjalistycznych. Bez zajmowania się bliżej jego sztuką i postawą twórczą przyjmijmy tylko, że na zmiany koniunktury artysta Dwurnik reaguje z niezawodnością barometru.

Sprawdza się to od pierwszej kolumny 6-go numeru tygodnika *Kultura*: po lewej wielki paszkwil Zygmunta Kałużyńskiego na Komunikat z Konferencji Episkopatu i na artykuł Jerzego Turowicza „Kościół i polityka”; po lewej — reprodukcja obrazu Dwurnika zatytułowanego „Krucjatki”, gdzie widać agresywny tłum kroczący z rozdziawionymi w krzyku czy też śpiewie ustami, a wszyscy w tłumie niosą nad głowami krzyże. Wygląda to po prostu na ilustrację tekstu Kałużyńskiego: w imię krzyża nie ewangelię się głosi, lecz nienawiść.

Na kolumnie dwunastej znajdujemy dzieło jeszcze bardziej interesujące: oto przez równinę idzie — czytamy w podpisie — Człowiek Podziemny. Niesie plecak, na nim zatkniętą chorągiew, jakie czasem noszą ludzie na rozmaitych, zresztą bynajmniej nie podziemnych, manifestacjach (na granicy białego i czerwonego, jak na horyzoncie, wyrasta krzyż); z plecaka wylazła szpargały,

niestety — w gazetowej reprodukcji nieczytelne; rozpoznać można tylko wojowniczą szablę. Jedno wszakże rysuje się bardzo wyraźnie: twarz Człowieka Podziemnego — wielki zakrzywiony nos, grube wargi, broda z pejsami, cała reszta fizjonomii — wszystko się zgadza! Ten ktoś „ma z polskością niewiele wspólnego”, używając terminologii generała Kiszczaka.

Różne brzydkie rzeczy malowali artyści w czasach stalinowskich, jednak antysemityzmu żaden z nich chyba nie uprawiał. Można, widać, będąc formalnie lepszym malarzem niż nasi socrealiści, w sensie moralnym jednym skokiem pobić wszelkie rekordy podłości w malarstwie. I to jest niewątpliwie znak naszego po-grudniowego czasu; ten artysta świetnie wyczuwa jego rytm.

Znajomy ksiądz, jeden z tych, u których w kościele i na plebanii zwykli gromadzić się i dyskutować ludzie, miał rozmowę (tzw. ostrzegawczą) z ubekiem. Ten odwodził go od „działalności pozareligijnej”, opisując mu ją wyuczonymi słowami: że antypaństwo-wa, antypolska. Brzmiało to jednak mgliście. Aby powiedzieć coś bardziej konkretnego, ubek zarzucił księdzu, wcale się tym nie kępując, że jego plebania jest „zażydzona”.

Proboszcz chytrze poprosił najpierw o przykłady. Usłyszał nazwisko Bratkowskiego, który istotnie odbył spotkanie w tym kościele. Proboszcz nie mógł wiedzieć, czy Bratkowski ma „pochodzenie” czy go nie ma. Zapytał tylko: a cóż jest takiego w Żydach, że powinno się ich unikać?

Ubek wyjaśnił z pewnością siebie człowieka wtajemniczonego: Żydzi są fałszywi. Udadają, że są tacy, a naprawdę są inni. Bratkowski choćby — przychodzi do kościoła, rozmawia z katolikami jak przyjaciel, a przecież to komunista!

Nie opiszę dalszego przebiegu rozmowy, bo ktoś mógłby zidentyfikować mego informatora, a może i mnie. A tak — nie może: w ostatnim czasie niejednego ubek tłumaczył niejednemu księdzu jacy są Żydzi. Także w czasie przesłuchań bardzo często wychodzi na jaw, że przesłuchujący Żydów nie lubi.

Pewien mój przyjaciel twierdzi, że ich tego po prostu uczą na szkoleniach. Wierzę, bo wiem, że w wojsku i milicji wpaja się nienawiść do aktualnych wrogów środkami, jakie politrukowi przyjdą do głowy. Nigdy nie zapomnę, jak w 1969 roku, tuż przed inwazją na Czechosłowację, oficer polityczny wypełniał swe zadania wobec znanej mi grupy rezerwistów: bredził coś o kapturkach, które w czeskim domu kazano mu włożyć na nogi, choć się wzbierał. W ten sposób chciał dowiedzieć, że Czesi to nie ludzie i w razie czego nie ma ich co żałować.

Ubeków nie przygotowuje się dzisiaj do napaści na kogoś w

Pradze czeskiej, lecz do walki z polskim ruchem oporu. Trzeba im wytłumaczyć coś ogromnie kłopotliwego: dlaczego ten ruch w ogóle się utrzymuje, czemu tylu ludzi ryzykuje więzieniem i często do więzienia po parę razy wraca. Nie wszystko da się zważyć na obce wywiady i dolary, nawet jeśli się uruchomi całą zawiść miernot beznadziejnie wczepionych w peerelowskie przydziały i milicyjne konsumy. Pożądanie przedmiotów z kolorowymi etykietami bierze w końcu górę nad antypatią. W gadanie o klasowym wrogu nikt już od dawna nie wierzy. Konieczne jest więc wyjaśnienie uniwersalne, najlepiej irracjonalne, niemożliwe do sprawdzenia. Tutaj zaczyna się rola Żyda.

Półinteligent w pierwszym pokoleniu, który najczęściej widział Żyda tylko z daleka, czuje wobec niego lęk. Boi się, że jak przyjdzie co do czego, nie odróżni Żyda od nie-Żyda, padnie ofiarą jakichś niepojętych machinacji, sprzedadzą go, zanim się obejrzy, porozumieją się gdzieś za jego plecami, ci z opozycji z tymi zza granicy i może z niektórymi z rządu.

Rozmówca mego znajomego księdza nie wie, jak przed wojną i w czasie wojny wyglądało getto, wojny nie przeżył, stalinizm zna tylko z legendy i bez trudu wierzy, że były wtedy wypaczenia, bo Żydzi rozplenili się w resorcie. Jest produktem „pokolenia 68” — tej jego części, która rwała się w marcu '68 do bicia i do władzy, do mieszkań za posłuszną służbę, talonów na samochód, docentur rozdawanych jak talony. Prawdziwymi ich przeciwnikami byli ci, których kosztem zamierzali oni robić kariery w PRL-u, a więc obywatele. Oficjalnie jednak, jak wiemy, istniał wtedy inny przeciwnik, i jego to wizerunek zagrzewał ludzi marca do boju: to „wichrzyciele”, „syjoniści”, „dajczgewanty i szlafery”, niepojęte plemię, które było wszędzie, jednocześnie blokowało posady w aparacie, krzywdziło naszych Arabów, bruździło w opozycji i w końcu emigrowało do bogatych krajów, by stamtąd szkalać.

Partyjno-ubeckie „pokolenie '68”, a także następne, które przyszło po nim i jest do niego podobne jak dwie krople wody — pokolenie Grzegorza Piotrowskiego — naprawdę nienawidzi Żydów, choć się z nimi prawie nie styka. Wymieniłbym trzy źródła tej nienawiści. Pierwsze — to tradycyjny, ludowy antysemityzm, zaleknieiona wrogość wobec wszystkiego co obce i niezrozumiałe. Drugie — to naszkicowany wyżej okazjonalny antysemityzm kombatanów marca '68. Ale jest i trzecie źródło, bez którego dwa pierwsze może dawno by już wyschły. To frustracja wywołana obecnym kryzysem, załamaniem się nadziei na peerelowski dostatek, upokorzeniami doznanyymi w „czasach anarchii”, bezsilnością funkcjonariuszy władzy wobec opozycji pogrudniowej.

Miało być inaczej. Za posłuszeństwo i aktywność miała przyjąć nagroda — w postaci materialnej i w postaci, nazwijmy to, mo-

ralnej: poczucia, że się godnie broni racji stanu. Tymczasem zabrakło jednego i drugiego. Byt jest trudny, racje niepewne, przyszłość niewiadoma. I tak jak w każdej sytuacji kryzysowej, przy każdej wielkiej fali społecznego niepokoju — pojawia się potrzeba szukania winnych. Znaczna większość społeczeństwa nie ma z tym kłopotów; po prostu widzi, kto w Polsce teraz rządzi i jak rządzi. Istnieją jednak pewne kategorie osób, które z różnych względów najprostszego wytłumaczenia naszych obecnych niedostatków i nieszczęść nie przyjmują.

To już nie jest ubecki gabinet, partyjne zebranie, stronica państwowej gazety. Jesteśmy w kościele, słuchamy wykładu, dyskusji po wykładzie. Bierzemy do ręki broszurę wydaną w drugim obiegu. I znajdujemy tu antysemityzm niczym już nie skrywany, graniczący z obłędem.

Konkretnie — chodzi o serię odczytów w kilku warszawskich kościołach: na Bródnie, na Chomiczówce i przy ulicy Zagórnej. Chodzi też o dość liczne broszury, rozprowadzane przez niektóre punkty podziemnego kolportażu oraz niektóre parafie; poza wymienionymi — na Hynka, Elektorальной i na Jelonkach. Broszury te i książki albo w ogóle nie ujawniają wydawcy, albo publikuje je Unia Nowoczesnego Humanizmu.

Znowu więc: wszystkiemu winni są Żydzi. Dążąc do panowania nad światem przejęli amerykańskie banki, wkręcili się do gestapo, do międzynarodowego komunizmu (jako trockiści), do Kościoła i prasy katolickiej (chodzi głównie o *Tygodnik Powszechny* i *Przegląd Katolicki*), do „Solidarności” jawnej i podziemnej. Wszędzie działają na szkodę Polski, bo poprzysięgli sobie jej zgubę. Między innymi — oni to wywołali Powstanie Warszawskie, w którym zginęły setki tysięcy Polaków. Obecnie zaś — ta refleksja obywatelska pojawia się niejednokrotnie — z kraju i zza granicy, z podziemia i z łona samej partii przeszkadzają generałowi Jaruzelskiemu w wyprowadzaniu kraju z kryzysu.

W innej broszurze czytamy o ZSSR jako o „państwie Szatana”, gdy jednak przechodzimy na teren Polski, okazuje się, że po 1945 roku zbrodni na naszym narodzie dopuszczali się Żydzi, i Żydzi powinni za nie odpowiadać (książeczka „Czerwone plamy historii”).

Nie wszystko w tej kampanii jest zwykłym odklepywaniem starych antysemickich frazesów, powielaniem wizji takich jak w „Protokołach Mędrców Syjonu”. Są tu również akcenty nowe, przemyślnie dopasowane do naszej obecnej sytuacji, i na nie prelegenci i wydawcy broszur kładą nacisk, czasami tylko przypominając na przykład, że najlepiej „dopomóc Żydom w zbliżeniu

się do Boga przy pomocy dobrego sznura, jak Żydzi przybliżyli Pana naszego Jezusa Chrystusa do nieba przy pomocy krzyża” (S. Kowalski, „Żydzi ochrzczeni”, przedruk z 1935 roku).

Jak jednak uprawiać antysemityzm, będący formą „demaskowania wroga” — jeśli wróg jest tak oczywisty, obecny w codziennym doświadczeniu każdego z nas? Wszyscy wiemy czym się zajmuje Kreml (gdzie Żyda nie uświadczysz), wszyscy żyjemy pod presją (dalszą) Armii Czerwonej i (bliższą) rodzimej partyjnej dyktatury. Otóż wspomniani prelegenci i autorzy broszur nie zaprzeczają temu — ale jednocześnie komunistyczne zagrożenie w szczególny sposób bagatelizują, neutralizują jego obraz. W ich relacji komunizm jawi się jako coś obiektywnego, na podobieństwo sił natury, jak klimat, z którym — choć ciężki — trzeba i można sobie radzić. Obraz komunizmu jest tu statyczny, naszkicowany beznamyślnie. Obraz żydostwa — dynamiczny i demoniczny, malowany żółcią i czernią, tajemniczy i przerażający przez zagadkową odmienność i fundamentalną niezmienną żydowskiej natury. Komunista — to postać z odległej urzędowej trybuny, z artykułu wstępnego nudnej gazety codziennej. Żyd — to ktoś podstępnie wcielający się w różne postacie, komunista, opozycjonista, klerykał-przechrzta, z natury swojej szkodzący wszystkiemu, co nieżydowskie.

W kwietniu 1985 w kościele na Zagórnej Henryk Giertych, syn starego endeka Jędrzeja Giertycha z Londynu, przedstawił koncepcje historiozoficzne Feliksa Konecznego. Dało mu to dobrą okazję do pomówienia o „cywilizacji żydowskiej” i o Żydach. Cytuję: dla nich „... kto biologicznie pochodzi od Żyda, ten jest Żyd. Tę barierę oni sami wokół siebie stawiają... Natomiast dla nas wartościowanie ludzi na podstawie rasy jest czymś, co budzi pewną odrazę... a dla Żyda przez to, że on się urodził w żydostwie, to on należy do narodu wybranego”. I w innym miejscu: „Dla Żyda bliźnim jest Żyd, a goj już bliźnim nie jest. A więc inna etyka obowiązuje ich w stosunkach z Żydami, a inna w stosunkach z nie Żydami. I to jest coś, co my odczuwamy jako najbardziej bolesne w naszych stosunkach z Żydami, bo nas obowiązuje etyka ta sama ze wszystkimi”.

Dlatego oczywiście — brzmi konkluzja — z tymi rasistami o podwójnej etyce powinniśmy walczyć, powinniśmy wypełnić jej zakorzenione w życiu duchowym i społecznym wpływy, jako coś zagrażającego samej istocie chrześcijaństwa. Natomiast z tym, co idzie ze Wschodu rzecz się ma już inaczej. Giertych nazywa to za Konecznym „cywilizacją turańską”, opartą na systemie obozowym, wojskowym. O wszystkim decyduje tu władca („nieważne, czy on się nazywa sułtan czy pierwszy sekretarz”), władcy podporządkowana jest religia, prawo. W odróżnieniu wszakże od żydostwa, „pod którego naporem się cofamy”, wpływy idące ze Wscho-

du nie są tak niebezpieczne: „cywilizacja turańska jest nam programowo wykładana, ale my jej nie akceptujemy”. Wynika z tego, że całą energię powinniśmy skupić na obronie przed Żydami, bo na komunizm jesteśmy odporni.

Tak się jednak składa, że gdy w tych prelekcjach i broszurach przychodzi do konkretów, żydostwo (i jego synonimy: syjonizm, trockizm, masoneria) cyhają na nas a to z *Tygodnika Powszechnego*, *Więzi*, *Przeglądu Katolickiego*, warszawskiego i krakowskiego KIK-u, wcielają się w „ekstremę Solidarności”, w KOR, Miłosza, Turowicza, Słonimskiego, Michnika, J. J. Lipskiego, J. J. Szczepańskiego, Geremka, Kijowskiego, Najdera, Kisielewskiego, Samsonowicza, Szaniawskiego, Mazowieckiego, Wielowiejskiego. (Wszystkie przykłady z broszury sprzedawanej w kościołach: Krzysztof Topiłowksi, „*Nowy Przegląd Katolicki* a masonizacja kościoła katolickiego w Polsce”, Warszawa 1984. Bez wydawcy). W czasie pewnego odczytu na Zagórnej wymieniano w tymże kontekście Wałęsę, Bujaka (uległy obcym wpływom), Bratkowskiego i Kuronia. Prelegent, Bogusław Rybicki, wskazywał na szkodliwość działań opozycyjnych i opowiadał się za aktywną współpracą z rządem.

Nie trzeba zbytniej bystrości aby zauważyć, że jest to uderzenie w opozycję a zwłaszcza w niezależną elitę intelektualną w Polsce. Z grubsza te same rewelacje mają do zakomunikowania grafik Myszyłowicz, sierżant Solecki, generał Kiszczak i malarz Dwurnik. Czy sędzić więc należy, że antysemicka kampania, która rozpoczęła się w — podkreślam: niektórych — warszawskich kościołach jesienią 1984 to po prostu robota agentów?

Na tego rodzaju pytania prawie nigdy nie można dać odpowiedzi jednoznacznej, nie tylko dlatego, że tak trudno odróżnić agenta od nienawistnika wygodnego policji i przez nią nakręcanego, a wreszcie od nienawistnika działającego całkiem ochotniczo i prywatnie. Trudność polega także i na tym, że w tego rodzaju zamęciach mają zwykle swój udział bardzo różni ludzie, z najróżniejszych powodów.

Pewien działacz podziemia, który badał sprawę Unii Nowoczesnego Humanizmu, zauważył: „UNH oferuje do kolportażu 40-45 pozycji równocześnie, posiada łatwość dodruków. Grube księgi (np. Giertych) szyte są profesjonalnie w dużej drukarni... Kolporterom oferuje się 20-25 % rabatu, zamiast przyjętych wszędzie 10 %. To ostatnie świadczy o trudnościach ze zbytem. W 40 gotowych tytułach zamrożone jest szacunkowo 20-25 milionów złotych. Pozycje żydożerze są zawsze na składzie, a wspomnień, historii czy innych książek uczciwych zwykle 'chwilowo brak', lub jest ich bardzo mało... Wydawnictwo korzysta też w kolportażu z usług poczty PRL”. Autor tej notatki dotarł, zresztą — jak pisze — bez trudu, do szefa firmy, który oświadczył mu w roz-

mowie, że prowadzi z SB i Grunwaldem „sprytną grę” i że wygra ją przy pomocy Boga i duchów (jest z nimi w kontakcie), a przy tym „dołoży” masonom, Żydom, KOR-owi i *Tygodnikowi Powszechnemu*.

Wynikałoby więc, że chodzi o maniaka, działającego przy czyjejs pomocy finansowej, najwyraźniej za wiedzą i zgodą policji. Prawdopodobnie tego samego pokroju ludzie podjęli akcję odczytów we wspomnianych kościołach, przy czym jednak — rzecz znamieną — podjęli ją w momencie gwałtownego nasilenia się w kręgach partyjno-policyjnych — jednocześnie — kampanii antysemitkiej i walki z Kościołem. Przyszłoby, że gdyby się ta akcja powiodła, gdyby się rozszerzyła — oznaczałoby to dla Kościoła w Polsce klęskę niewyobrażalną. Nie trzeba dodawać, jak bardzo by taka klęska była na rękę komunistom.

Tym razem jednak plama nie zrobiła się wielka, została mała. Zaczęli protestować parafianie, księża, zawiadomiono o całej aferze biskupów. W kilku podziemnych pismach ukazały się ostrzeżenia, zwykle bez ceremonii wskazujące na SB jako na inspiratora: „Ostrzegamy naiwnych i zaperzonych: podziemna ubecja jest groźniejsza niż naziemna. Sieje nienawiść, jętrzy, tworzy wroga zastępczego. Zniekształca i fałszuje historię. Czyni to sterując ludźmi uważającymi się za uczciwych, bogobożnych. Wysoko podnosi Krzyż, sławi Boga i Ojczyznę, a także Naród, Naukę i Nowoczesność. Uwaga — — — Unia Nowoczesnego Humanizmu”. (Z notatki rozesełanej kanałami podziemnej „Solidarności”).

Wykłady antysemitki przerwano lub przynajmniej bardzo przyciszono; wydawnictwa UNH jakoś nie docierają. A przecież — za triumf tego nie uważam. Chwila optymistycznej pewności, jaką przeżyłem rankiem 13 grudnia 1981 roku, już do mnie nie wróci.

Wciąż pamiętam pewien głos w dyskusji po wykładzie Giertycha, a właściwie pytanie, pełne troski, zadane przez jakiegoś młodego człowieka uczonemu prelegentowi: „Jak to się dzieje, że u wschodniego sąsiada, gdzie jest cywilizacja turańska, panuje ideologia stworzona przez Żydów?”. Nie pamiętam, co odpowiedział ten chytry głupiec, nieważne.

Ważna jest dla mnie oczywistość, z jaką młody człowiek nazywa sowiecki komunizm „ideologią stworzoną przez Żydów”. Nie ma oczywiście sensu mówić mu, że Lenin, Dzierżyński, Stalin — prawdziwi twórcy tego systemu — Żydami nie byli. Wymieniłby Trockiego. I dalej nie rozumiałby, że sowiecki komunizm, realny socjalizm, to dzieło milionów i życie setek milionów ludzi

na przestrzeni dziesiątków lat. Osąd „Żydzi to wymyślili” zupełnie nie ma tu zastosowania.

Chyba, że się nie chce widzieć rzeczywistości, nie może się jej znieść taką, jaka jest, jak ktoś nie może znieść widoku z wysokiego piętra, albo — rezygnując z wszelkich metafor — kiedy ktoś nie może znieść myśli o życiu bez końca pod rządami komunistów i nic na to nie potrafi poradzić; wówczas zdarza się, że szuka pocieszenia w majakach. Jednym z takich majaków jest antysemityzm, uniwersalny i atrakcyjny sposób na wytłumaczenie wszystkiego, na wyładowanie rozpaczy poprzez przemianę jej w nienawiść. Nienawiść — nie bez perspektyw.

W jednym z laboratoriów amerykańskich poddano szczury cierpieniu, na które nic nie mogły poradzić: zamkniętym w metalowej klatce poprzez tę klatkę aplikowano wstrząsy elektryczne. Nauczono je następnie, że wstrząsy ustają, kiedy zwierzęta gryzą się wzajemnie — gryzły się więc. Potem powtórzono to jeszcze, pojedynczemu szczurowi wstawiając do klatki celuloidową laleczkę: gryzł laleczkę, niezdolny inaczej ulżyć swym cierpieniom.

Prawda, że — jak to sformułował Vaclav Havel — istnieje siła bezsilnych. Ale istnieje również bezsilność siły pozbawiona, z którą ludzie nie wiedzą co zrobić, a odczuwają ją boleśnie. Pogodzić się z nią nie potrafią. Wówczas dzieją się z nimi rzeczy złe. Niektórzy na przykład wpadają w alkoholizm. Może być jednak jeszcze gorzej: następuje erozja władzy sądenia, a stąd pomieszanie winnych i niewinnych, lękliwe odwrócenie się od przyczyny bólu i zła, by rzucić się na celuloidową laleczkę lub na coś innego w zamian.

Wykład Giertycha przypomniał mi ten eksperyment. Rozumiem, że prelegent przeprowadził go już — z dobrym skutkiem — na samym sobie. Potem wziął się za przyuczanie innych do tego, by ludzką, świadomą reakcją na krzywdę zastąpili odruchem zwierzęcym.

Komunizm z roku na rok, nieuchronnie, oddala się od idealizmu utopii, od kreowania bytów takich jak internacjonalizm proletariacki, naukowy socjalizm. Zwycięża socjalizm realny, a wraz z nim to co ciemne, irracjonalne: czarna sotnia — rabunek i pogrom. Oczywiście, wcale nie wszystkim ludziom z kręgu władzy się to podoba, wielu wolałoby inne obyczaje, inne towarzystwo wokół siebie. Muszą się jednak godzić z tym, co jest. Tak godzą się z antysemityzmem w swych szeregach.

Przyпускаjąc nawet, że — jako pragmatycy — uczą się antysemityzm cenić: zaszczepiony ludności, na długo mógłby ją uczynić niezdolną do buntu. Ułatwiłby więc tak potrzebną stabilizację.



Zaduszki, cmentarz na Bródnie w Warszawie. Przy wejściu na cmentarz trzy brzozone krzyże — symboliczny grób zamordowanych w Katyniu. Palą się świece, leżą kwiaty, ludzie przystają — i widzę, że czytają jakąś kartkę. Jest starannie napisana na maszynie, zabezpieczona celofanem. Czytam i ja.

Jest tam mniej więcej prawidłowy opis zbrodni, daty są również prawdziwe, wskazujące na Sowietów jako na winnych.

Nagle jednak autor tekstu czyni niespodziewany zwrot, wymienia jakieś żydowskie imiona i nazwiska — niby ujawnionych wykonawców — i w konkluzji dowiadujemy się, że mord na oficerach polskich w Katyniu jest „jeszcze jedną zbrodnią żydowsko-bolszewicką”.

Kartka leży, ludzie czytają. Pięćdziesiąt metrów dalej stół a przy nim księża, gospodarze całego tego miejsca. Siedzą i pobierają opłaty za „wspominki” — westchnienie za czyjąś duszę w czasie mszy żałobnej. Wydają się wobec całej tej sprawy doskonale obojętni.

Paweł MORGA

W dniu 13 sierpnia 1986 zmarł w Izraelu

**Inż. SZYMON MARKOWICZ**

o czym powiadania pogrążona w smutku

RODZINA

## Człowiek, który był

*O nowiu ziemia oddała  
Tego co dawno zabrała.  
Rzekł nam dwa słowa,  
Rozpalił w głowach  
I odszedł bezpowrotnie.*

*Zakarbij sobie na strzelbie,  
Pomnij o zemście odległej,  
Bóg doda nam kiedyś ducha  
By pomścić zmarłego druha.*

Ballada

Niech to będzie jasno powiedziane: Rosjanin jest rozkoszną postacią, póki zna swoje miejsce. Jako Azjata jest czarujący. Dopiero gdy nalega, aby traktować go jako najbardziej wschodniego przedstawiciela Zachodu zamiast jako najbardziej zachodniego spośród Azjatów, staje się anomalią rasową, którą nadzwyczaj trudno opanować. Gospodarz nigdy nie wie, jaka strona jego natury ujawni się najpierw.

Dirkowicz był Rosjaninem — arcy-Rosjaninem, który — jak się zdawało — zarabiał na chleb służąc carowi w randze oficera pułku kozaków i pisywał korespondencje do gazety rosyjskiej, której nazwa za każdym razem brzmiała inaczej. Był przystojnym młodzieńcem Azjata, lubiącym eksplorować nie odkryte połacie ziemi; do Indii przybył jakby znikąd. W każdym razie nikt nie potrafił zaświadczyć skąd przybył — z Balchu, Badakszanu, Czitalu, Beludżystanu czy Nepalu, lub z jakiegokolwiek innego miejsca. Rząd indyjski, w geście niezwyklej łaskawości, wydał dyspozycje, aby traktowano go z rewerencją i pokazano mu wszystko co było do pokazania. Wędrował więc, mówiąc źle po angielsku i jeszcze

gorzej po francusku, od jednego miasta do drugiego, by wreszcie zaznajomić się z Białymi Huzarami Jej Królewskiej Mości w mieście Peszawar, które leży u wejścia do wąskiego wąwozu pośród wzgórz, nazywanego przez ludzi Przełęczą Kaibar. Był bez wątpienia oficerem z wieloma dystynkcjami, mającymi zgodnie z modłą rosyjską kształt emaliowanych krzyżyków, lubił perorować, i (choć to nie miało nic wspólnego z jego zasługami) nieustraszonego pułk, zbiorowo i indywidualnie, w imię nadgorliwej gościnności porzucił wszelkie nadzieje na próbę spicia go przy pomocy gorącej whisky z miodem, koniaku z przyprawami korzennymi i mieszanką spirytualiów wszelkiego rodzaju. A gdy pułk złożony wyłącznie z Irlandczyków nie zdołał zamącić w głowie cudzoziemcowi, to wówczas traktuje go jako jednostkę wyższego rzędu.

Biali Huzarzy byli w równym stopniu znawcami win, co i szarż na wroga. Wszystko co posiadali, łącznie z cudownym likworem, oddali do całkowitej dyspozycji Dirkowicza, który rozkoszował się tym do dna, nawet bardziej niż wynosiła średnia w szawetnym pułku.

Jednakże pozostawał przez cały czas rozpacziwie europejski. Biali Huzarzy byli dlań „drogimi prawdziwymi przyjaciółmi”, „pełnymi chwały towarzyszami broni”, „nierozłącznymi braćmi”. Gdy Dirkowicz otwierał niekiedy swoją duszę, prawił długo o wspaniałej przyszłości, która miała niedługo nadejść dla połączonych wojsk Anglii i Rosji, kiedy ich serca i terytoria znajdą się tuż obok siebie, gdy rozpocznie się w końcu wielka misja cywilizowania Azji. To nie brzmiało rozsądnie, ponieważ Azja nie zamierza się poddać cywilizowaniu na modłę zachodnią. Azji jest za dużo, Azja jest za stara. Nie można zreformować kobiety, która miała zbyt wielu kochanków, a Azja była niegdyś nienasycona w swoich flirtach. Nigdy nie da się posłać do szkoły niedzielnej ani nie nauczy się głośować, zamieniwszy miecze na karty wyborcze.

Dirkowicz wiedział o tym dobrze, równie dobrze co i wszyscy, ale odpowiadały mu pogawędki w pojednawczym tonie i sprawianie pozorów sympatycznego człowieka. Od czasu do czasu z dobrej woli uchylał rąbka tajemnicy o swojej sotni kozackiej pozostawionej zapewne własnemu losowi gdzieś daleko. Miał za sobą jakieś jatki w Azji centralnej i był świadkiem liczniejszych akcji typu ratuj-się-who-może niż większość ludzi w jego wieku. Ale był ostrożny i starał się nie zdradzać swojej wyższości, przy każdej okazji chwaliąc prezencję, dyscyplinę, mundury i organizację Białych Huzarów Jej Królewskiej Mości. I rzeczywiście, był to pułk godny pochwały. Gdy Lady Durgan, wdowa po Sir Johnie Durganie, przybyła do ich kwatery, i gdy po krótkim czasie każdy z wojaków poprosił ją o rękę w kasynie oficerskim, wzruszyła opinię publiczną mówiąc, że wszyscy oni są tak uroczy, iż nie

zaspokoiliby się jednym huzarem — chciałyby poślubić wszystkich naraz, łącznie z pułkownikiem oraz niektórymi już żonaty mi majorami. W końcu wyszła za mąż za człowieczka z pułku strzelców, będąc istotą z natury targaną sprzecznościami, i Biali Huzarzy zrazu zamierzali nosić żałobę, ale poszli na kompromis i stawili się na ślubie jak jeden mąż, wypełniając nawet niewypowiedzianą pogardą. Oszukała ich wszystkich — od Basset-Holmera, zasłużonego kapitana, do małego Mildreda, młodszego oficera, który mógłby jej zapewnić cztery tysiące funtów rocznie i tytuł szlachecki.

Jedynymi osobami, które nie podzielały powyższych opinii o białych huzarach było kilka tysięcy dżentelmenów żydowskiego pochodzenia, zamieszkujących tereny po drugiej stronie granicy i odpowiadających na zbiorczą nazwę „Pathan”. Spotkali się oficjalnie z pułkiem tylko raz, na nieco krócej niż dwadzieścia minut, ale ta obopólna rozmowa, skomplikowana wskutek licznych ofiar sprawiła, że nabrali uprzedzenia. Nazwali nawet Białych Huzarów dziećmi Szatana oraz synami mężów, których byłoby zgoła niemożliwe spotkać w dobrym towarzystwie. Niemniej jednak nie byli ponad to, aby tylko własną awersją napełniać kabzy. Pułk był w posiadaniu karabinów — pięknych karabinów Martini-Henri, które wystrzeliwały kule do wrogiego obozu oddalonego o tysiąc jardów, i były nawet poręczniejsze od karabinów z długimi lufami. Czczono je więc na obszarze przygranicznym, a ponieważ zapotrzebowanie w nieunikniony sposób rodzi dostawy, były one dostarczane pod groźbą śmierci lub kalectwa za równowartość swojej wagi w srebrnych monetach — dokładnie siedem i pół funta rupii lub szesnaście funtów szterlingów po przeliczeniu rupii na funty. Wykradali je w nocy złodzieje z włosami w węzowych splotach, pełzający pod samym nosem posterunków straży. Karabiny znikwały w tajemniczy sposób ze stojaków w zamkniętych na kłódki magazynach, a w czasie upałów, gdy okna i drzwi w koszarach zostawiano otwarte, ulatniały się jak dym po wystrzale. Mieszkańcy terenów przygranicznych pragnęli ich dla załatwienia porachunków rodzinnych i jako kontyngent. Jednakże w czasie długich mroźnych nocy, gdy na północy Indii trwała zima, kradziono ich najwięcej. O tej porze roku handel morderczym narzędziem rozwijał się w najlepsze pośród wzgórz, a ceny szły w górę. Posterunki straży najpierw podwojono, a następnie potrojono. Żołnierz nie przejmuje się zbyt utratą broni — rząd musi mu dostarczyć nowej — ale nie znosi utraty snu. Pułk stawał się coraz bardziej rozczłonny, i jeden ze złodziei karabinów nosi do dziś widoczne ślady tego gniewu. Ów incydent powstrzymał na pewien czas akty kradzieży, a posterunki odpowiednio zmniejszono i pułk zajął się grą w polo z nadspodziewanymi rezultatami, ponieważ pokonał stosunkiem bramek 2 : 1 groź-

ną jednostkę od polo — Lekką Kawalerię z Laszkar — choć ta ostatnia miała cztery kuce przygotowane dla każdego gracza na krótką, niespełna godzinną walkę, oraz miejscowego oficera, który grał na boisku jak migający płomień.

Wydano bankiet by uczcić to wydarzenie. Przybyła drużyna Laszkar, przybył Dirkowicz ze wszystkimi odznaczeniami, w galowym mundurze oficera kozaków, tak galowym jak suknia balowa. Przedstawiono go tym z Laszkar, i Dirkowicz przypatrywał im się szeroko otwartymi oczami. Są oni lżej zbudowani od huzarów i poruszają się kołyszącym się krokiem, który jest szczególną cechą wojsk granicznych Pendżabu i wszystkich jednostek nieregularnej konnicy. Jak wszystkiego na służbie, tak i tego trzeba się nauczyć, ale w odróżnieniu od innych form musztry, nigdy się o tym nie zapomina i pozostaje to w ciele aż do śmierci.

Wielka jadalnia Białych Huzarów z belkowanym sufitem stanowiła niezapomniany widok. Cała dostępna zastawa znajdowała się na długim stole — tym samym, na którym złożono ciała pięciu oficerów po dawno zapomnianej bitwie — podniszczone, stłarte poroście wisiały naprzeciw drzwi wejściowych, bukietki kwiatów leżały między srebrnymi kandelabrami, a portrety zasłużonych zmarłych oficerów spoglądały w dół, na swoich następców, spomiędzy głów bóstw hinduskich i zwierzyny łownej, oraz — dumy całego kasyna — dwóch śnieżnych lampartów z wyszczerzonymi kłami, które kosztowały Basseta-Holmera cztery miesiące urlopu, jakie mógł spędzić w Anglii zamiast na drodze do Tybetu, codziennie ryzykując życie na urwiskach, lawinach i porośniętych trawą stromiznach.

Służba w nienagannie białych szatach z muślinu, z godłem pułku wpiętym z przodu turbanu, czekała w gotowości za swoimi panami, wystrojonymi w purpurę i złoto Białych Huzarów, oraz gośćmi — odzianymi w krem i złoto Lekkiej Kawalerii Laszkar. Nijako zielony mundur Dirkowicza był jedynym ciemnym punktem tego tła, ale jego posiadacz nadrabiał onyksowym kolorem swoich wielkich oczu. Bratał się gwałtownie z kapitanem drużyny z Laszkar, który zastanawiał się, ilu kozaków Dirkowicza mogliby pokonać jego ciemni, muskularni ziomkowie w razie ataku. Ale o takich sprawach nie mówi się wprost.

Rozmowy stawały się coraz głośniejsze, a orkiestra pułkowa między daniami odegrała utwór należący do żelaznego repertuaru. Grano do czasu, aż wszyscy zamilkli na moment przy rozkładaniu serwetek, gotowi do obowiązkowego toastu, który zaczynał się z chwilą, gdy oficer, powstając ze swojego miejsca, mówił: „Panie młodszy oficerze, Królowa”, a mały Mildred u końca stołu odpowiadał: „Królowa, Boże Jej błogostaw”. I wielkie ostrogi brzęczały podczas gdy wielcy mężczyźni trącali się kielichami i pili zdrowie królowej, której żołądek — jak błędnie myśleli

— wystarczał na pokrycie rachunków w kasynie oficerskim. Ten sakrament mszy oficerskiej nigdy się nie starzeje i nigdy nie przestaje ścisnąć za gardło słuchaczy, bez względu na to, gdzie się znajdują — na łądzie czy na morzu. Dirkowicz wstał razem ze swoimi „godnymi chwały braćmi”, ale nie mógł zrozumieć istoty tego zwyczaju. Nikt prócz oficera brytyjskiego nie może zrozumieć co znaczy ten toast i większość ma doń więcej uczuć niż zrozumienia.

Tuż po ciszy, jaka nastąpiła po ceremonii, wszedł oficer-tuziemiec, który grał w drużynie Laszkar. Nie mógł, rzecz jasna, biesiadować w kasynie, ale przyszedł na deser, całych sześć stóp zwieńczonych srebrno-błękitnym turbanem, w ogromnych czarnych butach. Oficerowie wstali radośnie, gdy rękojeścią szabli złożył pokazowy hołd pułkownikowi Białych Huzarów, a następnie opadł na puste krzesło pośród okrzyków: „*Rung ho, Hira Singh!*” (co w tłumaczeniu oznacza: „Idź i zwycięż!”), „Czy sprąłem ci tyłek, stary?”, „*Ressaidar Sabib*, jaki diabeł pana podkusił, aby skopać tego świńskiego kuca w trakcie ostatniej dziesięciu minut?”. „Bardzo dobrze, *Ressaidar Sabib!*”. Następnie rozległ się głos pułkownika: „Zdrowie *Ressaidara Hira'y Singha!*”.

Gdy ucichły okrzyki, Hira Singh powstał aby odpowiedzieć, ponieważ był kadetem królewskiego rodu, synem syna króla i wiedział co należy czynić w takich okazjach. Przemawiał zatem w języku tutejszym: „Panie pułkowniku i oficerowie pułku, okazaliście mi wielki honor. Będę o tym pamiętał. Przybyliśmy z daleka, aby grać z wami. Ale zostaliśmy pokonani. („To nie nasza wina, *Ressaidar Sabib!* Graliśmy na własnym boisku, wie pan! Wasze kuce były zmęczone po jeździe pociągami! Niech się pan nie usprawiedliwia!”). — A zatem być może przybędziemy ponownie, jeżeli tak będzie przeznaczone („No, no, rzeczywiście! Brawo! Szz...!”). I wtedy od nowa z wami zagramy („Z przyjemnością będziemy was gościć!”), aż do chwili, gdy nasze konie zedrą sobie kopyta. Tyle jeśli idzie sport”. Spuścił dłoń na rękojeść szabli i jego oczy powędrowały w kierunku Dirkowicza, który siedział nonszalancko rozparty na krześle. „Ale jeśli Boskim zrządzeniem nastąpi jakaś inna gra, która nie będzie meczem polo, to bądźcie pewni, panie pułkowniku i pozostali panowie oficerowie, że zagramy ją ramię w ramię, chociaż *oni* — tu znowu rzucił okiem na Dirkowicza — chociaż *oni*, powiadam, mają na każdego naszego konia 50 kuców”. I z głębokim *Rung ho!*, które zabrzmiało jak uderzenie kolby muszkietu o kamienną posadzkę usiadł pośród wznoszących się kielichów.

Dirkowicz, który oddawał się w zapamiętaniu koniakowi — temu groźnemu koniakowi wspomnianemu powyżej — nie rozumiał; także złagodzony przekład — który mu zaoferowano — nie oddawał istoty owej wypowiedzi. Nie ulega kwestii, że toast

Hira'y Singha był wystąpieniem wieczoru i szcęk kieliszków oraz wrzawa mogłyby trwać do świtu, gdyby nie przerwał ich huk wystrzału, który sprawił, że każdy wojak poczuł nagle swoją bezbronność po lewej stronie ciała. Potem nastąpiła szamotanina i rozległ się okrzyk bólu.

„Znowu kradzież karabinów” — zauważył adiutant, spokojnie zapadając się z powrotem w fotel. „Tym się kończy redukcja posiłków straży. Mam nadzieję, że go nie zabili”.

Stopy uzbrojonych mężczyzn uderzały o kamienną posadzkę werandy; wydawało się, że coś ciągnięto.

„Dlaczego nikt go nie wsadził do celi do rana? — powiedział pułkownik na próbę. — Sierzancie, zobaczcie czy go nie uszkodzono”.

Sierżant kasyna wybiegł w ciemność i powrócił z dwoma strzelcami oraz z kapralem znajdującym się w stanie wielkiego poruszenia.

„Złapaliśmy człowieka na kradzieży karabinów, panie pułkowniku — zameldował sierżant. — Przynajmniej pełzał w kierunku koszar, panie puł... minął główny posterunek, panie puł... i straż, oni mówią, panie puł...”.

Bezdarna kupa szmat podtrzymywana przez trójkę jęknęła. Nigdy przedtem nie widziano tak nędznego i zdemoralizowanego Afgańczyka. Był bez turbanu, bez butów, cały utyłany w błocie i prawie nieżywy od brutalnego traktowania.

Hira Singh jęknął cicho na okrzyk jego bólu. Dirkowicz nalał sobie następny kieliszek koniaku.

„Co mówi straż?” — zapytał pułkownik.

„Oni mówią, że on mówi po angielsku, panie pułkowniku” — odpowiedział kapral.

„Więc przyprowadziliście go do kasyna zamiast go przekazać sierżantowi! Gdyby nawet mówił wszystkimi językami Ducha Świętego, nie macie prawa...”.

Kupa łachów ponownie jęknęła i coś zamruczała. Mały Mildred powstał ze swojego miejsca i udał się na inspekcję. Odskokzył jak oparzony.

„Byłoby lepiej oddalić tych ludzi” — powiedział do pułkownika, ponieważ był wysoce uprzywilejowanym podwładnym. Objął ramionami tego upiora w kupie szmat i posadził go na krześle. Kapral, widząc, że oficer jest gotów zająć się więźniem i że w oczach pułkownika zaczęły zapalać się ogniki, szybko wycofał się ze swoimi ludźmi. Oficerowie pozostali w kasynie sam na sam ze złodziejem karabinów, który położył głowę na stole i począł szlochać gorzko, beznadziejnie, rozpaczliwie, jak tylko płaczą małe dzieci.

Hira Singh zerwał się na równe nogi. „Sahib pułkownik — powiedział. — Ten człowiek nie jest Afgańczykiem, bo oni płaczą

Aj! Aj!. Ani nie jest z Hindustanu, bo oni płaczą Oh! Ho! On płacze tak jak biali, którzy łkają: Ou! Ou!”.

„Skądże to zdobył pan taką wiedzę, panie Hira Singh?” — zapytał kapitan drużyny Laszkar.

„Posłuchajcie go” — odparł na to Hira Singh, wskazując na skurczoną postać płaczącą tak, jakby nigdy nie miała przestać.

„On powiedział 'Mój Boże' — powiedział mały Mildred. — Słyszałem jak to powiedział”.

Pułkownik i wszyscy w kasynie patrzyli na tego człowieka w ciszy. Straszna jest rzeczą słyszeć jak mężczyzna płacze. Kobieta może wydawać szlochy przy pomocy podniebienia albo ustami, ale mężczyzna musi płakać przy pomocy przepony i to rozdziera go na kawałki.

„Biedaczysko — powiedział pułkownik, zanosząc się przy tym kaszlem. — Musimy go posłać do szpitala. Został ostro potraktowany”.

Ale adiutant kochał swoje karabiny. Były dlań niczym wnuczkowie, istoty na pierwszym miejscu. Wykrztusił więc buntowniczo: „Mogę zrozumieć, że Afgańczyk kradnie, bo on jest tak skonstruowany. Ale nie mogę pojąć jego płaczu. To tylko pogarsza sprawę!”.

Koniak musiał podziałać na Dirkowicza, bo Rosjanin rozparł się w krześle i zapatrzył w sufit. Na suficie nie było nic specjalnie ciekawego, prócz cienia jakby wielkiej trumny. Ze względu na specyficzną konstrukcję kasyna, ten cień pojawiał się zawsze ilekroć zapalano świece. Nigdy też nie zakłócał trawienia Białych Huzarów. W istocie byli raczej z niego dumni.

„Czy on będzie płakał całą noc? — powiedział pułkownik. — Czy mamy tak tu siedzieć z gościem małego Mildreda, póki nie poczuje się lepiej?”.

Człowiek w krześle podniósł głowę i wpatrzył się w zebranych. „O, mój Boże” — powiedział — i wszyscy zerwali się na równe nogi. I wtedy to kapitan drużyny Laszkar postąpił w ten sposób, że powinien był za swój czyn otrzymać Krzyż Wiktorii — był to wyszukany akt grzeczności w walce z wszechogarniającą ciekawością. Oczami wskazał swojej drużynie drogę do wyjścia, jak gospodyni, która wyprowadza panie w stosownym momencie, i, zatrzymując się tylko na chwilę przed fotelem pułkownika, aby powiedzieć: „To nie jest *nasza* sprawa, jak pan wie”, wyprowadził swoich podwładnych przez werandę do ogrodów. Hira Singh odszedł na ostatku i popatrzył na Dirkowicza. Ale Dirkowicz oddalił się do swego koniakowego raj. Bezdźwięcznie poruszał wargami i studiował trumnę na suficie.

„Biały — od stóp do głów biały — powiedział Basset-Holmer. — Cóż to musi być za podstępny renegat! Zastanawiam się, skąd się wziął”.

Pułkownik delikatnie potrząsnął ramieniem tego człowieka. „Kim jesteś?” — zapytał.

Nie było odpowiedzi. Człowiek rozglądał się po jadalni i uśmiechał się prosto w twarz pułkownikowi. Mały Mildred, który był zawsze bardziej kobietą niż mężczyzną, póki nie usłyszał trąbki „Na koń!”, powtórzył pytanie głosem, który zmusiłby gejzer do wyznań. Ale człowiek tylko uśmiechał się. Dirkowicz na samym końcu stołu zsunął się łagodnie z krzesła na podłogę. Żaden syn Adama w obecnym, niedoskonałym świecie, nie może mieszać bezkarnie szampana huzarów z huzarskim koniakiem w proporcji pięciu do ośmiu szklanicy.

Orkiestra zaczęła grać melodię w czasie której huzarzy od czasu powstania tej formacji kończyli wszelkie funkcje. Prędzej zgodziliby się na rozwiązanie pułku niż wysłuchanie jej do końca — to należy do ich rytuału. Człowiek wyprostował się w krzesło i zaczął bębnić palcami po stole.

„Nie wiem dlaczego mielibyśmy zabawiać wariatów — powiedział pułkownik. — Wezwijcie straż i odesłajcie go do celi. Rano zajmijmy się tą sprawą. Dajcie mu jednak przedtem kieliszek wina”.

Mały Mildred napełnił kieliszek od sherry koniakiem i wcisnął go człowiekowi. Człowiek wypił i w miarę jak melodia stawała się głośniejsza, coraz bardziej prostował się w krzesło. Następnie rękami o długich szponach sięgnął do półmiska stojącego naprzeciw i dotykał go z lubością. Z tym półmiskiem była związana pewna tajemnica, ukryta w sprężynie. Gdy przekręcało się ją, zmieniał się w świecznik siedmioramienny, trzy sprężyny po obu stronach i jedna pośrodku — coś w rodzaju szprychowatego kandelabru. Człowiek odnalazł sprężynę, nacisnął ją i zaśmiał się słabo. Wstał z krzesła i zaczął studiować obraz na ścianie, a potem podszedł do następnego obrazu, podczas gdy całe kasyno śledziło go bez słowa. Kiedy dotarł do kominka, potrząsnął głową i wydawał się niepokieszony. Jego uwagę zwróciła postać huzara na koniu, w pełnym umundurowaniu, namalowana na kaflu. Wskazał na nią, a następnie na kominek pytającym wzrokiem.

„Co to jest? Och, co to jest?” — powiedział mały Mildred. I tak, jakby matka odpowiadała dziecku, wytłumaczył: „To jest koń. Tak, to jest koń”.

Bardzo powoli nastąpiła odpowiedź, niskim, pozbawionym emocji, gardłowym tonem: „Tak — widzę. Ale — gdzie — jest koń?”.

Można było słyszeć bicie serc w kasynie, serc bijących mocno, gdy oficerowie rozstępowali się przed nieznanym, aby mógł swobodnie chodzić po całej sali. Wzywaniu straży nie wchodziło nawet w rachubę.

Człowiek znów przemówił — bardzo wolno: „Gdzie jest nasz koń?”.

Jest tylko jeden koń Białych Huzarów, i jego portret wisi za drzwiami jadalni. Jest to koń srokaty, koń-dobosz, koń orkiestry pułkowej, który służył jej trzy dziesiątki i siedem lat, a na koniec trzeba go było zastrzelić z powodu podeszłego wieku. Połowa oficerów rzuciła się do ściągania obrazu ze ściany i wreczyła go przybyszowi. Człowiek postawił ów obraz na kominku, ale usunął się z jego biednych rąk z łoskotem i zatrzymał na wystającej krawędzi. Następnie chwiejnie ruszył w kierunku końca stołu i opadł na krzesło Mildreda. Wówczas to wszyscy mężczyźni zaczęli mówić do siebie mniej więcej coś takiego: „Koń-dobosz nie wisi nad kominkiem od 67 roku”. „Skąd on to wie?”. „Mildred, idź do niego i pomów z nim”. „Panie pułkowniku, co pan zamierza zrobić?”. „Och, wytrzeźwiej i daj biedakowi przyjść do siebie”. „To niemożliwe, ten człowiek jest wariatem”.

Mały Mildred stał u boku pułkownika mówiąc mu coś do ucha. „Panowie będą łaskawi zająć swoje miejsca” — rzucił pułkownik i wszyscy natychmiast usiedli. Tylko krzesło Dirkowicza, obok krzesła małego Mildreda, było puste, a mały Mildred zajął miejsce Hira'y Singha. Sierżant kasyna z wytrzeszczonymi oczyma zaczął napełniać kieliszki w śmiertelnej ciszy. Pułkownik wstał ponownie, ale ręka mu drżała i krople porto polały się na stół, gdy patrząc prosto w oczy człowiekowi siedzącemu na krzesle małego Mildreda powiedział zachrypniętym głosem: „Panie młodszemu oficerze, Królowa”. Nastąpiła chwila ciszy, a zaraz potem człowiek stanął na baczność i odparł bez wahania: „Królowa, niech jej Bóg błogosławi!”, i po opróżnieniu cienkiego kieliszka zgniół nóżkę w palcach.

Dawno, dawno temu, gdy Cesarzowa Indii była młodą kobietą i na tych ziemiach nie rozwinęły się jeszcze nieczyste idee, w niektórych kasynach oficerskich istniał zwyczaj spełniania toastu za królową a następnie tłuczenia szkła, ku zachwycie dostawców dla wojska. Teraz ten zwyczaj poszedł w zapomnienie, ponieważ nie ma już szczytnych celów wartych łamania nóżek kieliszkom. Dziś tylko rząd od czasu do czasu łamie dane słowo, a właściwie słowo zostało już dawno złamane.

„To wyjaśnia sprawę — powiedział pułkownik, zacerpnąwszy tchu. — On nie jest sierżantem. Kim wszakże jest?”.

Całe kasyno jak jeden mąż powtórzyło te słowa i zalew pytań mógłby każdego przestraszyć. Nic więc dziwnego, że brudny przybysz w łachmanach mógł tylko uśmiechać się i kręcić głową.

Spod stołu, spokojny i uśmiechnięty, wynurzył się Dirkowicz, który zbudził się ze zdrowej drzemki. Stanął na nogi obok człowieka, a człowiek ów wrzasnął przeraźliwie i zaczął się kulić.

Był to przerażający widok, który na dodatek nastąpił tak szybko po wybuchu dumy i chwały, jakie połączyły zbłąkane dusze.

Dirkowicz nie uczynił żadnego gestu, aby człowieka podnieść, wobec tego Mildred pospieszył mu natychmiast z pomocą. Nie jest właściwe, aby dżentelman, który potrafi odpowiedzieć na toast na cześć królowej leżał u stóp młodszego ranga oficera kozaków.

Szybka akcja sprawiła, że łachy nędzarza rozdarły się niemal do pasa, a jego ciało okazało się poryte czarnymi zaschniętymi bliznami. Jest tylko jedna broń w świecie, która tnie równolegle, a nie jest to ani różga, ani pazury kota. Dirkowicz ujrzał blizny i jego źrenice rozszerzyły się. Zmienił się też na twarzy. Powiedział coś co brzmiało jakby: „*Szto wy takietie*”\*, a człowiek, płaszcząc się, odparł: „*Czetyrje*”.

„Co to znaczy?” — zapytali wszyscy chórem.

„To jego numer. To jest numer cztery, wiecie panowie” — Dirkowicz powiedział to bardzo niskim głosem.

„Co oficer królowej ma wspólnego z jakimś numerem?” — spytał pułkownik i nieprzyjemne chrząknięcie obiegło cały stół.

„Skąd mogę wiedzieć? — odparł sprytny Azjata ze słodkim uśmiechem. — On jest — jak wy tam mówicie — uciekinierem, zbiegiem stamtąd”. Tu kiwnął głową w kierunku ciemności nocy.

„Niech pan z nim porozmawia, jeśli panu odpowie, ale niech pan mówi łagodnie” — powiedział mały Mildred, znów sadzając człowieka na krześle. Wszystkim wydawało się wysoce niewłaściwe, że Dirkowicz sączył koniak, przemawiając po rosyjsku — już to mruczając, już to jakby wypluwając słowa do tej istoty, która odpowiadała tak pokornie i z tak widocznym przerażeniem. Ale skoro Dirkowicz robił wrażenie, że rozumie tego człowieka, nikt nie powiedział ani słowa. Wszyscy oddychali ciężko, pochylając się do przodu w czasie długich przerw w rozmowie. Następnym razem, kiedy Biali Huzarzy nie będą mieli pilnych zadań przed sobą, wszyscy jak jeden mąż udadzą się do St. Petersburga na naukę języka rosyjskiego.

„On nie wie jak wiele lat temu — powiedział Dirkowicz patrząc na zebranych w kasynie — ale mówi, że to było bardzo dawno temu, w czasie wojny. Myślę, że to był jakiś wypadek. On mówi, że należał do tego chwalebego, wspaniałego pułku w czasie wojny”.

„Akta, akta! Holmer, przynieście akta!” — krzyknął mały Mildred i adiutant pobiegł z gołą głową do pokoju służbowego, gdzie trzymał akta pułku. Wrócił w tym momencie, gdy Dirkowicz kończył swoje przemówienie: „A zatem, drodzy moi przyjaciele, z przykrością muszę powiedzieć, że był to wypadek, któ-

\* Tak w oryginale (przyp. tłumacza).

rego można by było uniknąć, gdyby on przeprosił naszego pułkownika, którego obraził”.

Nastąpił kolejny pomruk, który pułkownik usiłował opanować. Kasyno nie było w nastroju do oceniania stopnia obrazy pod adresem rosyjskich pułkowników.

„On nie pamięta, ale myślę, że to był wypadek, i dlatego nie został wymieniony na innego jeńca, ale został wysłany do innego miejsca — jak byście powiedzieli — w głąb kraju. No, on mówi, że tam dojechał. Nie wiem jak tam dojechał. Co? Był w Czepaczy\*, w Żigansk i w Irkucku. Nie mogę pojąć, jak zdołał zbiec. On mówi też, że spędził w lasach wiele lat, ale ile lat, to już zapomniał — to i wiele innych rzeczy. To był wypadek, bo on nie przeprosił naszego pułkownika. Ach!”.

Należy ze smutkiem odnotować, że Biali Huzarzy, zamiast powtórzyć westchnienie żalu Dirkowicza, żywo wyrazili niechrześcijańską radość i inne emocje, z trudem przywołani do porządku przez poczucie gościnności. Holmer rzucił na stół zżółkłe i nadarte akta pułkowe, a oficerowie zaczęli je gorączkowo studiować.

„Spokojnie! Pięćdziesiąty szósty, pięćdziesiąty piąty, pięćdziesiąty czwarty — powiedział Holmer. — Otóż to: 'Porucznik Austin Linmason, *Zaginiony*'. To było pod Sewastopolem. Co za straszliwa hańba! Obraził jednego z ich pułkowników i spokojnie został wywieziony! Trzydzieści lat wykreślonych z życia”.

„Ale nigdy nie przeprosił. Powiedział, że prędzej zobaczy go w piekle” — odparli chórem zebrani.

„Biedny facet! Myślę, że nigdy już nie miał szansy. Jak tu trafił?” — powiedział pułkownik.

Kupka łachmanów na krześle nie potrafiła udzielić odpowiedzi.

„Czy wiesz kim jesteś?”

Zaśmiała się słabo.

„Czy pan wie, że jest pan Linmasonem, porucznikiem Białych Huzarów?”.

Szybko, jak wystrzał, padła odpowiedź, w odrobinę zdziwionym tonie: „Tak, nazywam się Linmason, oczywiście”.

Błysk zgasł w jego oczach i człowiek zapadł się w siebie, obserwując z przerażeniem każdy gest Dirkowicza. Ucieczka z Syberii mogła w jego świadomości połączyć kilka elementarnych faktów, ale nie wydaje się, aby prowadziła do odzyskania ciągłości myśli. Człowiek nie mógł wyjaśnić w jaki sposób, jak gołąb pocztowy, znalazł drogę powrotną do swojego dawnego kasyna oficerskiego. Z tego co przecierpiał i co widział po drodze, nie pamiętał nic. Płaszcząc się przed Dirkowiczem tak instynktownie, jak instynktownie nacisnął sprężynę świecznika, jak szukał portre-

\* Tak w oryginale (przyp. tłumacza).

tu konia-dobosza, jak odpowiedział na toast na cześć królowej. Reszta była niepamięcią, którą przerażający język rosyjski mógł tylko po części uleczyć. Przybysz spuścił głowę na piersi i na przemian to parsknął śmiechem, to okazywał lęk.

Diabeł mieszkający w koniaku zmusił Dirkowicza do wystąpienia z przemową w najbardziej niestosownym momencie. Rosjanin wstał i chwiejąc się nieco, wsparł się o brzeg stołu, podczas gdy jego oczy świeciły jak opał, i rozpoczął:

„Przyjaciele żołnierze chwalebni — prawdziwi przyjaciele i gospodarze! To był wypadek — godny potępienia, najwyższego potępienia. Tu uśmiechnął się słodko do wszystkich. — Niemniej będziecie myśleć o tej małej, malutkiej sprawie. Tak małej, prawdaż? Car! Ba! Drwię sobie z niego. Pstrykam na niego palcami. Czy w niego wierzę? Nie — lecz w nas Słowian, którzy niczego nie zrobili — w to wierzę. Siedemdziesiąt milionów ludzi, którzy niczego nie zrobili. Ba! Napoleon był tylko epizodem. Walnął ręką w stół. — Słuchajcie, stare narody — niczego nie zrobiliśmy w świecie — tutaj. Wszystko przed nami i to zostanie zrobione, stare narody. Wynosić się!”. Machnął ręką władczo i wskazał na człowieka. „Widzicie go. Niedobrze jest patrzeć na niego. On był tylko małym — och, jakim małym — wypadkiem, którego nikt nie pamiętał. Teraz jest *tym!* I takimi wy będziecie, bracia żołnierze tak odważni — takimi i wy będziecie. Ale wy nigdy nie wróćcie. Wy wszyscy pójdziecie tam, gdzie on poszedł, albo...” — tu wskazał na wielki cień trumny na suficie, mamrocząc: „Siedemdziesiąt milionów — wynosić się, stare narody!” — i zapadł w sen.

„Słodko i do rzeczy — powiedział mały Mildred. — Czy jest sens wpadać w gniew? Ułożmy wygodnie naszego nieszczęśnika”.

Była to jednak sprawa, która szybko i niespodziewanie wyszła z troskliwych rąk Białych Huzarów. Porucznik powrócił by odejść na zawsze trzy dni później, kiedy zawodzenie Marsza Pogrzebowego i tupot szwadronów powiadomiły zadziwioną placówkę wojskową, że oficer pułku zrezygnował z ledwie co odzyskanego stanowiska.

A Dirkowicz — mdły, giętki i zawsze życzliwy, także odjechał, nocnym pociągami. Mały Mildred z drugim oficerem doprowadzili go, bo przecież był gościem kasyna oficerskiego, i choćby nawet zdzielił pułkownika otwartą dłoń, prawo kasyna nie przewidywało żadnych odstępstw od reguł gościnności.

„Żegnaj pan, panie Dirkowicz i przyjemnej podróży” — powiedział mały Mildred.

„*Au revoir*” — odparł Rosjanin.

„Coś podobnego! A myśmy myśleli, że pan już wraca do domu...”.

„Owszem, ale wrócę tu znów. Moi drodzy przyjaciele, czyż

ta droga jest zamknięta?” — powiedział, wskazując na Gwiazdę Polarną świecąca nad Przełęczą Kaibar.

„Na Boga! Zapomniałem. Oczywiście. Z przyjemnością spotkam pana kiedyś w przyszłości. Czy ma pan wszystko na drogę? Cygarka, lód, pościel? No, to w porządku. A więc *au revoir*, panie Dirkowicz!”.

„Uch — powiedział ten drugi oficer, gdy światełka z tyłu ostatniego wagonu coraz bardziej się oddalały. — Ze wszystkich skończonych — — — !”.

Mały Mildred nie odpowiadał; obserwował Gwiazdę Polarną mrucząc pod nosem melodię z ostatniej burleski Simla'y, która tak przypadła do gustu Białym Huzarom. Brzmiała ona:

*Żal mi Sinobrodego,  
Tak żal mi sprawiać mu ból;  
Lecz przyjdzie kryśka na niego  
Gdy tylko powróci tu znów.*

Rudyard KIPLING

Powyższe opowiadanie pochodzi ze zbioru „*Life's Handicap*”.

(Z angielskiego przełożyła Renata GORCZYŃSKA)

## LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France.

Métro: Pont Marie.

Telefon: 43-26-51-09.

KSIAŻKI POLSKIE • KSIAŻKI FRANCUSKIE  
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ •  
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA  
FRANCUSKI.

KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE  
ŻĄDANIE.

KSIAŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT

WSPÓLCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ

GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej Wyspie Świętego Ludwika.

## NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 415 — DOKUMENTY

### PROTOKOŁY TZW. KOMISJI GRABSKIEGO

TAJNE DOKUMENTY PZPR

Opracowanie i wstęp Grażyny Pomian

Przesłuchania: Edwarda Babiucha, Edwarda Gierka, Zdzisława Grudnia, Mieczysława Jagielskiego, Piotra Jaroszewicza, Stanisława Kowalczyka, Jerzego Łukasiewicza, Tadeusza Pyki, Franciszka Szlachyca, Jerzego Pińkowskiego, Jana Szydłaka i Tadeusza Wrzaszczyka.

Str. 432.

Cena F. 180,00.

TOM 416 — LEOPOLD UNGER

### ORZEŁ I RESZTA

(Widziane z Brukseli)

Zawsze aktualny wybór esejów naszego stałego współpracownika BRUKSELCZYKA, w 8-miu częściach: *Na Zachodzie bez zmian*, *Dziury w przedmurzu*, *Spadek po Jalcie*, *Krótki kurs ZSSR*, *A jednak się kręci (Europa)*, *Wieniec bez laurów*, *Ściana płaczu*, *Epilog*.

Str. 388.

Cena F. 150,00.

TOM 417 — ZESZYTY HISTORYCZNE

### ZESZYT SIEDEMDZIESIĄTY SZÓSTY

Zawiera m.in. opracowania: Marszałek Józef Piłsudski: *Strzeżcie się agentur*; Eugeniusz Kwiatkowski: *Józef Beck*; D. Rogoyski: *Pięć inicjatyw wydobycia Józefa Becka z pułapki rumuńskiej*; M. Piłka: *Publicystyka Konwentu Organizacji Niepodległościowych*; J. O. Hłakowicz o *Narodowych Siłach Zbrojnych*; St. Borowicz: *Kluby Inteligencji Katolickiej po sierpniu 1980*; M. Kołodziej: *Wiarygodność informacji prasy podziemnej*; M. Poleski: *Sto dni*; H. Kaden: *Wspomnienia solidarnościowe oraz obszerne działy: OKRUCHY HISTORII, RECENZJE i LISTY DO REDAKCJI.*

Str. 240.

Cena F. 70,00.

## Archiwum polityczne

### Klub niewinnych

WIDZIANE Z BRUKSELI

Motto nr 1: *„Wasz cel polegać powinien na wzięciu w stanie nienaruszonym wszystkiego, co istnieje pod słońcem. W jaki sposób? Pozbawiając przeciwnika nie środków, ale woli obrony”.*

Sun-Cy, filozof chiński, propagator materialistycznej wersji Konfucjanizmu. Żył w latach (ok.) 310-230 przed naszą erą.

Motto nr 2: *„Naszym zadaniem jest penetracja wszystkich możliwych środowisk, objęcie naszą kontrolą artystów i uczonych, sieci kin i teatrów, rozbrojenie całej zagranicy poprzez przekonanie jej o tym, że jesteśmy gotowi wszystko poświęcić aby uratować pokój na świecie”.*

Willi Münzenberg, komunista niemiecki, działacz Kominternu w latach przed drugą wojną światową.

2.200 lat dzieli te dwie wypowiedzi (cytaty są w streszczeniu), ale sens ich jest identyczny: dobra polityka polega na wygraniu wojny bez wojny, na osiągnięciu zwycięstwa najniższym kosztem i przy najniższym ryzyku.

Jest to, jak zawsze w starciu dwóch państw, dwóch bloków albo dwóch ideologii, kwestia stosunku sił. Otóż, żeby to jakoś ująć w przystępnym skrócie, stosunek sił nie sprowadza się wyłącznie do porównania czynników potęgi wojskowej: piechoty, czołgów, samolotów, rakiet... Podstawowym elementem jest także psychologia: siła lub słabość moralna i polityczna przeciwnika. Po to więc, żeby stosunek sił, który zdecydowanie ostatecznie o wyniku zderzenia, przechylić na swą korzyść, trzeba nie tylko starać się o dobrojenie ściśle materiałowe i wojskowe. Pod tym względem zachodnie demokracje, bo o nich będzie dziś mowa,



zrobiły, głównie dzięki Reaganowi, spore postępy i w zasadzie, na ile ocena precyzyjna jest w ogóle możliwa w moim laickim przypadku, dysponują obecnie siłą odstraszania wystarczającą dla uniknięcia losu sierot po Jałcie.

Sprawa jest mniej oczywista na froncie psychologicznym. Jest to ogromny temat, właściwie mało i rzadko poważnie rozważany w literaturze zachodniej, może dlatego, że trudno tu stosować kryteria miary i wagi. Podobnie, jak do niedawna zjawisko szpiegostwa czy rabunku technologii, czym już zajmowaliśmy się na tych łamach, sprawy manipulacji psychologicznej należały do gatunku wstydliwego, a przede wszystkim trudnego. A przecież, podobnie jak szpiegostwo czy transfer technologii, zjawisko „dezinformacji”, które nas dziś interesuje, stanowi część sowieckiej polityki zagranicznej, ma swoją teorię, taktykę i strategię, swe środki, swój personel, swe miejsce w doktrynie i aparacie ZSSR. Nie ma jeszcze poważnej literatury przedmiotu. Zanim otrzymamy opracowania naukowe, *Kultura* raz jeszcze musi podjąć się roli pioniera, dać czytelnikom choćby zarys zjawiska.

Najpierw więc trzy ćwiczenia praktyczne.

#### *Ćwiczenie pierwsze: wtórne dziewictwo*

27 kwietnia 1986 roku CBC, to znaczy rozgłośnia Radia Kanada, w niedzielnym programie porannym nadała audycję poświęconą sprawie *contras*, to znaczy oddziałów walczących przeciw obecnemu ustrojowi Nikaragui. Jako autor i źródło informacji wystąpiła Amerykanka, pani Marta Honey, mieszkająca w San Jose, Costa Rica. Pani Honey (co znaczy miód po polsku) jest żoną pana Tony Avirgana, pisarza z zawodu. Małżonkowie Miód-Avirgan cieszą się na tamtej półkuli już niewątpliwą, choć nie literacką sławą, wnieśli bowiem do sądu sprawę o rekordowe odszkodowanie w sumie... 30 milionów dolarów za zniesławienie: zostali mianowicie posądzeni przez rozmaite zresztą koła w Ameryce Łacińskiej o zwyczajne łganie, polegające na lansowaniu, bez żadnej możliwości przeprowadzenia dowodu, informacji o tym, że CIA i finansowani przez nią przeciwnicy prezydenta Ortegi szykują szereg zabójstw dyplomatów USA, aby sprowokować falę oburzenia i bardziej czynne zaangażowanie się USA po stronie „kontrasów”. Radio CBC nadało tę brednię pani Honey nie tylko z powołaniem się na autorkę, ale nawet udzielając jej anteny, tak aby sama mogła przytoczyć dowody. Nie potrafiła. Główne „źródło” jej rewelacji, niejaki „pułkownik” Turrel, wymyślił to wszystko — według wiarygodnych świadków — w pokoju hotelowym w Hondurasie z przeznaczeniem na ewentualny

scenariusz dla Hollywood. Ale mniejsza o panią Miód. Nie o nią tu chodzi.

29 kwietnia agencja TASS w depeszy datowanej z Montrealu nadała całą tę mrozącą krew w żyłach opowieść o tym, jak CIA morduje dyplomatów USA, z powołaniem się nie na panią Honey o dwuznacznej reputacji, a na CBC, której reputacja (i naiwność) jest nieskazitelna. Reszta była dziecinnie prosta. 7 maja komunistyczna gazeta w USA (jest taka) *Daily World* powtórzyła rewelacje... CBC, dodając od siebie, że martwi dyplomaci amerykańscy dostarczyć mają Reaganowi pretekstu nie do oburzenia, a dla frontalnego zaatakowania Ortegi i jego Nikaragui. Dwa dni później Radio Moskwa cytowało *Daily World*, ale z powołaniem się na CBC, jako podstawowe źródło informacji. W ten sposób zwyczajne kłamstwo nabrało dziewictwa, cech wiarygodności i jako takie poszło w świat.

#### *Ćwiczenie drugie: tureckie kazanie*

W 1975 roku małe piśmiśko tureckie ujawniło treść ultratajnego dokumentu amerykańskiego. Chodziło o rzekomą instrukcję wojskową FM 30-31 B. Podpisana rzekomo przez generała Westmorelanda instrukcja dotyczyła postawy i zachowania się oraz zadań amerykańskich wojskowych za granicą. Dwa punkty zasługiwały na specjalną uwagę. Według instrukcji, wojskowi amerykańscy powinni ingerować w polityczne wewnętrzne sprawy państw w których stacjonują, aby w ten sposób wbudzać nastroje antykomunistyczne i antylewicowe w ogóle, a zarazem kształtować nastroje proamerykańskie. Na razie niby nic strasznego, ale instrukcja ujawniona (na razie) po turecku podkreślała, iż w celu wykonania takiej misji wojskowi USA powinni penetrować środowiska przede wszystkim ultra-lewicowe i inspirować akty gwałtu, porwania i zabójstwa. Takie tureckie kazanie, powiecie. Tylko pozornie. Przez kilka lat był rzeczywiście spokój, nikt tego fałszu nie wziął poważnie. Ambasady sowieckie próbowały go upowszechnić, podrzucając „dokument” na Filipinach i w Japonii, ale nic z tego nie wyszło. Ale KGB, gdzie sfabrykowano instrukcję, znany jest ze swej cierpliwości pod hasłem „na wszystko przyjdzie pora”. I rzeczywiście.

16 marca 1978 roku terroryści ze skrajnej lewicy włoskiej porywają (i mordują, jak się potem okazało) Aldo Moro, jednego z autorów stabilności i demokracji włoskiej. Radio Moskwa nie straciło ani chwili. Najpierw, tak ogólnie, podało, że porwanie stanowiło tylko jeden z aktów „pewnego reakcyjnego mocarstwa zmierzającego do pogorszenia sytuacji we Włoszech”. Tego samego dnia, z powołaniem się na niezawodne źródło, to znaczy

komunistyczną *Humanité* z Paryża, Radio Moskwa uzupełniło swój serwis podając, że „tajne służby związane z bazą NATO w Neapolu” uczestniczyły w porwaniu, dodając sprytnie, już od siebie, że „nie jest dla nikogo tajemnicą, iż CIA panoszy się na półwyspie Apenińskim”. Kropka nad i została postawiona w 48 godzin później. Radiowy redaktor Owsianikow w Moskwie nie zawahał się ujawnić prawdy. „Trzeba nazwać rzeczy po imieniu — powiedział odważnie redaktor. — Agencja, które porwała Moro nazywa się CIA, a mocarstwo, które za nią stoi to USA”. Ponieważ redaktor Owsianikow nie potrafił wytłumaczyć, jaki interes miały USA w mordowaniu Moro, swego najlepszego przyjaciela nad Tybrem, (tak samo będzie kilka lat później po zamordowaniu pani Gandhi, też rzekomo przez CIA), KGB przyszło z pomocą Radiu Moskwa i redaktorowi Owsianikowi. W jaki sposób?

Odswieżyły instrukcję FM 30-31 B, wręczyły instytucji zwanej DGI, to znaczy kubańskiemu KGB, który zajął się resztą. Oficer DGI o nazwisku Verdecia wręczył prasie madryckiej, w największej tajemnicy oczywiście, rzekomy dokument FM wraz z komentarzem podpisanym przez niejakiego Gonzaleza, udowadniającym iż, jak to wykazuje instrukcja, CIA na pewno zamordowała lub zorganizowała mord na Moro. 23 września 1978 roku lewicowy tygodnik hiszpański *El Triunfo* wydrukował artykuł Gonzaleza i fragmenty instrukcji FM.

Moskwa ponownie ruszyła do akcji. W ciągu kilku miesięcy prasa w 20 krajach przedrukowała Gonzaleza, którego nikt nie widział na oczy, i wyjątki z „instrukcji” Westmorelanda. Z powołaniem się, naturalnie, na absolutnie pewne źródła... m.in. na niezależny tygodnik hiszpański.

### *Ćwiczenie trzecie: sławny pseudonim*

Anatola Szczarańskiego trudno jest zaskoczyć. Odsiedział siedem lat w więzieniu i w gułagu, po czym w lutym tego roku wpadł w ramiona aż dwóch ambasadorów amerykańskich, którzy go oczekiwali po zachodniej stronie mostu Glienecke między dwoma Berlinami, zanim nie wpadł w ramiona swojej żony, z którą w Moskwie przeżył tylko 24 godziny i to w 1973 roku. „Kiedy przeszło się przez przesłuchania KGB — powiedział dziennikarzom na Zachodzie Szczarański — nawet najbardziej agresywne wywiady prasowe nie stanowią problemu”. Ale nawet ten „renegat, szpieg, zbrodniarz i zdrajca”, jak go dyplomatycznie scharakteryzował rzecznik Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Moskwie, nie przewidział tego, co go spotkało od razu na wstępie jego drogi poprzez tzw. wolny świat.

16 lutego tego roku, tuż po wpadnięciu Szczarańskiego w rozmaite objęcia, kilka absolutnie wolnych gazet zachodnich, a m.in. *Le Journal du Dimanche* w Paryżu i *Corriere della Sera* w Mediolanie, wydrukowały prawdziwy *scoop*: ultra-tajny raport, jaki rzekomo Szczarański przekazał rządowi izraelskiemu na temat sytuacji więźniów politycznych w ZSSR, a zwłaszcza warunków więziennych i gułagowych. Były „zek” miał więc być zdania, że „przeniesienie z więzienia do obozu pracy to prawdziwy cud”, że codzienne obozowe menu składało się „z chleba, mięsa, ryżu i herbaty”, że „można telefonować raz w tygodniu do rodziny w ZSSR”, że „należy podkreślić uprzejmość strażników, którzy dają więźniom dodatkowe koce, kiedy ci skarżą się na mrozy w zimie”. Bełkot jest tak oczywisty, iż można, naturalnie, wyrazić zdziwienie, że poważne gazety potraktowały go poważnie, ale ponieważ nie należy się całe życie dziwić, więc powiedzmy tylko, iż trzeba było kategorię *dementi* Szczarańskiego aby skompromitowane gazety przywróciły prawdę, wydrukowały sprostowania itd. I na tym można by aferę zakończyć: jeszcze jeden fałsz zdemaskowany i po krzyku.

Ale coś mnie tknęło... postanowiłem pójść nieco dalej i sprawdzić, jak do tego doszło. Daleko nie zaszedłem, ale oto mój skromny przyczynek do historii dezinformacji. Tekst „raportu Szczarańskiego” istniał, był wydrukowany na firmowym papierze angielskiej agencji „London News Service”, która go zaproponowała, *en exclusivité* naturalnie, kilku dziennikom europejskim. Poszedłem śladem agencji. Pierwsze spostrzeżenie: w środowisku dziennikarskim nikt nie znał takiej agencji. Spostrzeżenie drugie: jej numer telefonu (278.5661) figurował jednak na papierze firmowym. Spostrzeżenie trzecie: ktoś odpowiedział na mój telefon. Nazwisko nie do odtworzenia, ale na pewno Anglik. A oto streszczenie mojej rozmowy:

JA: — *Wasz raport, to fałsz.*

AGENCJA: — *Nasz raport jest autentyczny, prosto z Jerozolimy.*

JA: — *Skąd go macie?*

AGENCJA: — *Od znanego dziennikarza nazwiskiem Nicolas Benedict.*

JA: — *Jak to znanego? Nikt go nie zna.*

AGENCJA: — *Jest bardzo znany, ale Benedict to pseudonim.*

JA: — *A po co pseudonim, jeżeli raport jest autentyczny, a dziennikarz taki znany?*

AGENCJA: — *Aby nie ujawniać jego kontaktów na wysokim szczeblu w Jerozolimie.*

JA: — *Czy mógłbym także dostać, odpłatnie naturalnie, pełny tekst raportu?*

AGENCJA: — Naturalnie, już wysyłamy, wraz z listem z wyjaśnieniami.

Nigdy raportu nie dostałem, ani wyjaśnień. Zresztą telefon także już albo nie odpowiadał, albo ktoś mówił, że London News Service nie jest mu znany. To zresztą nieważne, raport i tak napisany był w Moskwie. Gdyby nie było awantury, to raport Szczarańskiego, tak jak rewelacje pani Miód i instrukcja FM 30-31 B, zrobiłyby zawrotną karierę światową i kursowałyby po gazetach z powołaniem się nie na mityczną agencję londyńską, a na wielkie gazety zachodnioeuropejskie.

*P o c o ?*

Ćwiczeń praktycznych nie należy mnożyć, zebrałoby się z tego spore *dossier*, które zresztą Departament Stanu USA stara się na bieżąco prowadzić, a nawet publikować i kolportować, bez większego sukcesu jeżeli chodzi o prasę zachodnią (może powinien udostępnić go przez jakąś mityczną agencję w postaci tajnego raportu *en exclusivité*?). Bardziej interesujące jest, wydaje mi się, określenie celu, a przede wszystkim techniki operacji dezinformacyjnej.

Nie ma — jak powiedziałem — opracowanej poważnie teorii tej branży sowieckiej polityki zagranicznej. Podobnie jak w dziedzinie szpiegostwa czy w transferze technologii, przestępstwa dezinformacyjne znane są *po*, a nie *przed* faktem. Riposta jest jednak trudniejsza, Zachód nie zna tej kategorii przestępstwa, nie karze za dezinformację, nie ma jej w kodeksie karnym, często w grę wchodzi raczej moralna i zawodowa odpowiedzialność, a czasem zwyczajna głupota dziennikarza czy polityka, niż jego zła wola czy wyraźne nadużycie, nie mówiąc naturalnie o działalności płatnych agentów, zawodowców informacyjnego oszustwa.

Cel operacji „dezinformacja” można by w skrócie ująć w dwóch punktach.

Po pierwsze, chodzi o psychologiczne osłabienie państw i społeczeństw demokratycznych, rozbicie ich woli oporu poprzez:

a) wzbudzenie wątpliwości co do wartości demokracji i osłabienie gotowości jej obrony (skrajnym przykładem jest tu „hasło” *besser rot als tot*, które — tak jakby nie było innego wyboru — zrobiło piękną karierę zwłaszcza w RFN);

b) wzbudzenie nieufności do przywódców i instytucji takich jak parlament czy wolna prasa itd., a także do koronnych świadków oskarżenia sowieckiego, m.in. emigrantów takich jak Sołżenicyn, czy symboli takich, jak Sacharow czy Wałęsa.

Po drugie, chodzi o sianie nieufności wobec sojuszków i sojuszników, poprzez:

a) kompromitowanie USA i NATO;

b) wykorzystywanie normalnej i ludzkiej tęsknoty do pokoju, a zarazem „sprzedaż” wizerunku Związku Sowieckiego jako nieustrudzonego bojownika o pokój. Moskwa korzysta przy tym z niewątpliwego awantazu, jakim jest dojście do pozycji „decydentów” na Zachodzie, na wszystkich stopniach drabiny społecznej, pokolenia 40-latków, które nie znało ani hitleryzmu, ani stalinizmu (a zwłaszcza sojuszu obu tych formacji), nie ma pojęcia o sowietyzmie, a zna dobrze wszystkie wady kapitalizmu, bezrobocie, wojnę o rynki, nierówności społeczne itp. Wśród tego pokolenia percepcja zagrożenia sowieckiego oczywiście znacznie zmalała, a jeden uśmiech Gorbaczowa czy jego żony wystarczy za trzy tomy „Gułagu”.

Cała ta operacja (definicja nie jest naukowa a dziennikarska) zmierza w skrócie do uzyskania przez ZSSR wpływu na politykę państw demokratycznych i postawę ich społeczeństw, do trwałego zniekształcenia rzeczywistości, do wdrożenia tego fałszywego obrazu w psychikę wolnych obywateli, tak aby uzyskać cele, dla osiągnięcia których nie warto sięgać do środków wojskowych, a jakich nie mogłaby przynieść normalna dyplomacja. W prostym języku nazywa się to „wojną psychologiczną”. W tej wojnie wszystkie środki są stosowane, od jawnej propagandy i tajnej penetracji poprzez prymitywne zawracanie głowy aż po szalenie subtelne infiltrowanie indywidualów i kontrolę organizacji masowych, a nawet prowokację i zabójstwa. Jest to, w doktrynie sowieckiej, wojna jak każda inna, prowadzona jednak przez cały czas, bez zawieszenia broni, specjalnymi środkami i w specjalny sposób.

A oto niektóre z tych środków i sposobów, składających się na arsenał, taktykę i strategię wojny psychologicznej.

*J a k ?*

Zachód nie zdołał jeszcze opracować właściwej i precyzyjnej terminologii w tej dziedzinie wiedzy wojennej. Jeżeli chodzi o czynnik ludzki, to według wspomnianego już w motto nr 2 Münzenberga, mowa tu najogólniej o grupie zwanej „klubem niewinnych”. W ujęciu bardziej przystępnym znawcy przedmiotu Włodzimierza Lenina, chodzi zaś o grupę ludzi określanych pieszczotliwie jako „pożyteczni idioci”. Główny oddział to naturalnie prasa.

a) *za pieniądze*

Stanisław Lewczenko, wysoki oficer KGB opowiadał, po przejściu na Zachód naturalnie, jak to w charakterze korespondenta miesięcznika *Nowe Czasy*, akredytowanego w Tokio, zwerbował i manipulował przy pomocy formuły „kobieta, wino i śpiew” tuzinem dziennikarzy japońskich od lewicy do prawicy, a w tym niejaki „Tomasz”, komentatorem politycznym pisma *Yomiuri*, o najwyższym (9 milionów) nakładzie w Japonii. Żeby wykazać „jakość” usług, wystarczy powiedzieć, że „Tomasz” udostępnił Lewczenko m.in. szczegóły słynnej afery firmy lotniczej Lockheed w Japonii, które przekupiła połowę rządu w Tokyo w zamian za zakup jej samolotów. Lewczenko od razu zrozumiał ogrom afery, przekazał wszystko do Moskwy, ale szefowie w KGB nie chcieli uwierzyć i sprawę utrupili. To jednak nie była wina „Tomasza”. Afera się w końcu wydała, premier i kilku ministrów podało się do dymisji, były procesy, cały *establishment* polityczny Japonii się zatrzęsł, ale można sobie wyobrazić skutki tej bomby, gdyby eksplodowana została przez Moskwę.

Inny przykład, europejski tym razem. Pierre-Charles Pathé, dziennikarz francuski, ze słynnej rodziny filmowców, spotkał na przyjęciu urzędnika UNESCO, obywatela sowieckiego. I tak się zaczęło. Najpierw sowieci spragnieni byli tajnych informacji, których Pathé nie posiadał. Szybko zrozumieli błąd i przekwalifikowali Pathé na to, co Wołkow nazywa *agent d'influence* (nie mam dobrego tłumaczenia na polski). Z takim nazwiskiem, z takimi koneksjami (szwagier minister, kuzyn ambasador itd.) Pathé dokonał wielkich rzeczy. Przy sowieckiej pomocy zaczął wydawać najpierw coś w rodzaju biuletynu, a potem periodyk *Syntezy*, poświęcony polityce międzynarodowej. U szczytu popularności na liście abonentów *Syntex* figurowały nazwiska kilkuset senatorów, posłów, dziennikarzy i ambasadorów. Nie trzeba dodawać, że *Syntezy*, redagowane na podstawie źródeł sowieckich, ani razu nie zaatakowały polityki zagranicznej ZSSR. Pismo korzystało zresztą ze współpracy innych dziennikarzy i, jak się wydaje, miało w pewnym okresie dość istotny wpływ na urabianie opinii niektórych kręgów politycznych Paryża.

b) *„W dobrej wierze”*

Kategoria właściwie bez końca. Nie będziemy się pastwić tutaj nad historycznymi gafami: Bernard Shaw, zakochany w Stalinie, dziekan z Canterbury dający ZSSR za wzór „państwa moralności”,

korespondent *New York Times*'a czy ambasador USA skazujący oskarżonych w procesach moskiewskich: „gdyby byli niewinni, powiedzieli, to Stalin by ich nigdy nie rozstrzelał”, itd., itp. Sojusz Hitler - Stalin otrzeźwił pierwszą linię naiwnych. Druga padła po wojnie dzięki Orwellowi czy Koestlerowi. Trzecia się wykrużyła po Budapeszcie 1956 roku, murze berlińskim 1961 roku, czy Czechosłowacji w 1968 roku. A reszta? Reszta jest nieuleczalna... Dziś już nikt nie może powoływać się na naiwność czy niewiedzę. Dziś już wszystko wiadomo. A przecież...

Jak wytłumaczyć pasję niektórych „kolumnistów” amerykańskich w opisywaniu przywódców sowieckich jako orędowników pokoju? Kto i jak ich przekonał o tym, że Andropow, po 15 latach kierowania, modernizowania i podnoszenia „wydajności” KGB, był „ukrytym liberałem”, amatorem jazzu i whisky, literatury angielskiej (w oryginale), zapatrzonym w Zachód, szukającym możliwości dogadania się z demokracjami?

Kto skłonił niektórych moich kolegów zachodnich do ukazywania Gorbaczowa jako nieustępliwego zwolennika głębokich reform w ZSSR, szukającego pomocy Zachodu w dziele cywilizowania państwa sowieckiego? Kto namówił wybitnego dziennikarza amerykańskiego do ujrzenia na Kremlu frakcji prozachodniej i do stwierdzenia, że to Reagan ją zniszczył przez swą zimnowojenną retorykę? Kto i co kazało wybitnemu sowietologowi amerykańskiemu ogłosić Gorbaczowa prorokiem pokojowego unowocześnienia ZSSR? Kiedy jakoś reformy nie nadchodziły, ów uczonego przeprowadził w dużej gazecie wywód następujący:

- 1) Gorbaczow absolutnie chce reform, ale nie może.
  - 2) Gorbaczow nie może przeprowadzić reform z powodu oporu stalinowców w Biurze Politycznym.
  - 3) A skąd są stalinowcy w Biurze Gorbaczowa?
  - 4) Z powodu nieprzeprowadzenia reform.
- Kółko się zamknęło, profesor zrobił swoje i jest zadowolony.

c) *W imię wolności słowa*

*Bild Zeitung* w RFN korzysta z wyłączności na dostawę filmów video kręconych przez KGB z ukrycia w mieście Gorki z profesorem Sacharowem w roli głównej. *Bild* wie, że to prawdziwy moralny i deontologiczny skandal, że jest to typowa dezinformacja, że Sacharow nie wie o tym, iż jest właśnie filmowany, ale czego się nie robi w imię wolności informacji! *Bild* publikuje zdjęcia i przekazuje video telewizji zachodniemieckiej, mimo tego, że pani Sacharow, kiedy była na Zachodzie, ogłosiła, iż wszystkie te filmy są nadużyciem, że są kręcone przez KGB wbrew woli profesora i nie powinny być upowszechniane.

*Bild* oczywiście nie sprowadza tych video potajemnie, nie uzyskuje ich też żadną nielegalną drogą. Nie, *Bild* ma stałego dostawcę. To bardzo ciekawa postać. Wiktor Louis, dziennikarz, a jakże. Taki można powiedzieć typowy dziennikarz sowiecki. W garażu w Moskwie, pod sześciopokojowym duplexem przy bulwarze Lenina, ma jak każdy dziennikarz sowiecki trzy samochody: Porsche, Mercedes i Land Rover. Ten ostatni do użytku w luksusowej dacy w rejonie Bakówki pod Moskwą, strefie zamkniętej dla obcokrajowców, chyba że na zaproszenie redaktora Louisa. Obok garażu piwnica, znana w Moskwie z dobrych win. Obok dacy kort tenisowy. Na pytanie, w jaki sposób obywatel sowiecki dochodzi do takiej *prosperity*, Louis odpowiada skromnie: „Normalnie, ja jestem zwyczajnym dziennikarzem sowieckim”. W istocie Louis nie jest ani dziennikarzem, ani normalnym, jest natomiast sowieckim. Potomek francuskiej rodziny osiadłej w Rosji w XIX wieku, władający językami Zachodu, Louis zaczął karierę w 1948 roku w... gułagu, dokąd został zesłany, według jego wersji za pracę w charakterze tłumacza w ambasadzie brytyjskiej w Moskwie; według innej wersji, za spekulację walutami, obie wersje zresztą się nie wykluczają. Nie ważne. Ważne, że prosto z gułagu poszedł do pracy w KGB. Bardzo szybko zostaje człowiekiem organów do misji specjalnych, a przede wszystkim do dezinformowania Zachodu.

O, Louis, to nie byle czekista z nożem w zębach. Bywa na wszystkich przyjęciach dyplomatycznych. Odwiedził w charakterze prywatnego turysty, a naprawdę wysłannika organów, takie „normalne” z punktu widzenia Kremla kraje, jak Formoza, Izrael, Afryka południowa, uprzedził jako „korespondent” popołudniówki brytyjskiej *Evening News* kilka godzin przed TASS'em o upadku Chruszczowa czy bojkocie Olimpiady w Los Angeles, przekazał na Zachód w „tajemnicy” odredagowane w KGB pamiętniki Chruszczowa, a nawet zretuszowaną wersję „Oddziału chorych na raka” Sołżenicyna. No i, na tej samej zasadzie, dostarcza video do redakcji *Bild*. Która je upowszechnia... I jeszcze za to płaci.

#### d) *Best-sellery*

Heinz Felfe ma bardzo bogatą biografię. Oficer SS, członek służby bezpieczeństwa Hitlera, przedtem szef policji w... Gliwicach, był jeńcem wojennym w ZSSR, kiedy został zwerbowany — nie pierwszy i nie ostatni — przez KGB. „Udał się” więc do strefy zachodniej, obecnie RFN, gdzie jako fachowiec poświęcił się karierze... policyjnej. Dość szybko, to człowiek zdolny, Felfe doszedł do stanowiska jednego z szefów kontrwywiadu RFN, odpowiedzialnego specjalnie za walkę przeciw szpiegom... sowiec-

kim. Felfe wyrządził kolosalne szkody bezpieczeństwu Zachodu, ale w końcu wpadł. W 1963 roku został skazany na 15 lat więzienia (to i tak dużo jak na Zachód), ale już w 1969 roku został wymieniony, na tym samym zresztą moście co Szczarański.

Minęło 17 lat. Niedawno Felfe odnalazł się w Berlinie Wschodnim, aby przedstawić dziennikarzom zachodnim swą książkę pod tytułem „Na służbie przeciwnika”. Otóż, razem z typowym „truciem” w rodzaju: „nic o Oświećmiu nie wiedziałem” albo „poszedłem na służbę do Rosjan w zemście za zniszczenie przez alian-tów mojego miasta Drezna”, książka Felfe nie zawiera absolutnie niczego godnego uwagi. Zamyka się zresztą na roku 1961, albowiem — jak skromnie zauważa Felfe — „moi byli szefowie odradzili mi ujawnianie faktów bardziej aktualnych”, to znaczy z okresu 1961-1968! Felfe pobiera emeryturę z KGB, ale nadal pracuje. Jest mianowicie profesorem... kryminologii na uniwersytecie w Berlinie Wschodnim. Wykorzystuje więc z pożytkiem dla młodzieży swe kompetencje. I pisze książki. Pytanie tylko, dlaczego to akurat wydawnictwo nie w Dreźnie a w Hamburgu musiało ją wydać?

Inne pytanie z tej samej branży: kto i co skłoniło Michela Hameleta, dziennikarza z *Figaro* do napisania zupełnie śmiesznej apologii Ceausescu, wydawnictwo Nagel do jej wydania, a Alain Pohera, przewodniczącego senatu francuskiego, do napisania do tej bredni przedmowy? W imię jakiej to prawdy informacji i edukacji politycznej społeczeństwa belgijskiego pan Jacques de Lannay, znany historyk, napisał totalnie zakłamaną elegię na temat „Nicolae Ceausescu — walka o rozbrojenie i pokój”, a p. Willy De Clercq, wówczas wicepremier rządu belgijskiego (a obecnie wiceprzewodniczący Komisji Wspólnego Rynku) napisał do tej fantazji przedmowę, pod którą podpis w normalnych warunkach wystarczyć powinien do skompromitowania nawet mniej znanego polityka. Dziwny świat. Dziwny?

#### e) *W walce o pokój*

60 lat temu Otto Kuusinen, z pochodzenia Fin, z ideologii komunista, jeden z przywódców Kominternu, bliski człowiek Stalina, mentor młodego Andropowa, znalazł precyzyjne określenie na mechanizm manipulacji opinii publicznej świata. „Powinien powstać — powiedział Kuusinen — pełny system słoneczny składający się z organizacji i komitetów grawitujących wokół naszej partii komunistycznej”. Nie będę naturalnie obrażać czytelników *Kultury* wspomnianiem Światowej Rady Pokoju, Światowej Federacji Związków Zawodowych, kobiet, młodzieży, dziennikarzy, prawników itp., itd. Muszę jednak donieść o pojawieniu się w

tej konstelacji słonecznej nowej planety, znacznie subtelniej krążącej wokół słońca Kuusinen. Nosi ona długą nazwę „Międzynarodowe Stowarzyszenie Lekarzy dla Przeciwdziałania Groźbie Wojny Atomowej” (w wielkim skrócie MSLPGWA) i weszła do historii w ów jesienny dzień 1985 roku, kiedy dwaj współprzewodniczący MSLPGWA, dr Bernard Lown (USA) i dr Jewgienij Czazow (ZSSR) otrzymali w Oslo Pokojową Nagrodę Nobla.

Kilka okoliczności sprawiło, iż był to dzień wyjątkowy. Po pierwsze, uroczystość odbyła się dokładnie, co do godziny, w 10 lat po wręczeniu, za pośrednictwem jego żony, takiej samej nagrody, Andriejowi Sacharowowi. Tak więc nagrodę pokojową Nobla otrzymywał już drugi po Sacharowie Rosjanin i obywatel sowiecki. Po drugie, dr Czazow zasługuje na naszą specjalną uwagę. Oto dlaczego.

Dr Czazow, wybitny kardiolog, jest także członkiem KC KPZS, członkiem Akademii Nauk, wiceministrem zdrowia, a zarazem dyrektorem departamentu czwartego tegoż ministerstwa, inaczej mówiąc odpowiedzialny jest za opiekę lekarską nad wszystkimi lokatorami Kremla. Dr Czazow znany jest przede wszystkim z podpisów. Po pierwsze, z podpisów pod świadectwami zgonu trzech kolejnych szefów KPZS: Breżniewa, Andropowa i Czerńienki. Po drugie, z podpisu pod listem 24 członków Akademii Nauk protestujących przeciwko „antysowieckiej działalności” Andrieja Sacharowa, listem, który dał sygnał do podjęcia wobec poprzedniego laureata Nobla środków specjalnych, ukoronowanych zesłaniem do miasta Gorki. W charakterze wiceministra zdrowia prof. Czazow, także laureat, jest współodpowiedzialny, jak każdy członek rządu, za całość polityki ZSSR, a specjalnie w dziedzinie zdrowia, to znaczy także za psychiatryczny gułag. Zresztą najbliższym współpracownikiem profesora Czazowa w MSLPGWA jest inny uczonek sowiecki, prof. Wartanian, psychiatra, jeden z filarów sztuki leczenia chorych na opozycję, którego z dużym wzruszeniem rozpoznali przy tej uroczystej okazji jego byli wdzięczni pacjenci Pluszcz i Grigorenko.

Profesorowie Lown i Czazow znakomicie się uzupełniają, albowiem jak to ktoś sprytnie zauważył, prof. Lown ostro krytykuje politykę zbrojeń atomowych rządu Stanów Zjednoczonych, natomiast profesor Czazow *nie* krytykuje polityki zbrojeń atomowych ZSSR, jak zresztą żadnej innej polityki rządu sowieckiego, którego wszak jest członkiem. Nic dziwnego, że przyznanie Pokojowej Nagrody Nobla takiej osobistości wywołało pewne zdziwienie, a nawet oburzenie w „reakcyjnych” kołach Zachodu. Kilku wybitnych lekarzy wystąpiło z MSLPGWA, wiele osobistości i gazet wyraziło wątpliwości, czy dr Czazow powinien figurować na takiej liście. Ale zostali skarceni. Po pierwsze, przypomniano im, i słusznie, że laureatów Pokojowej Nagrody Nobla niełatwo jest

trafnie wybrać (np. Le Duc To i Kissinger za „pokój” w Wietnamie!!!), po drugie, że trzeba zachować równowagę (niedawno dostał ją wszak Lech Wałęsa), po trzecie, że Hitler też protestował kiedy nagrodę dostał Karl von Ossietzki w 1936 roku. Spór o moralność protestu zamknął inny były laureat Pokojowej Nagrody Nobla (1971 r.) Willy Brandt, który uznał, iż jakiś tam podpis prof. Czazowa w sprawie prof. Sacharowa w niczym nie umniejsza jego zasług w dziedzinie zapobiegania wojnie atomowej.

Przy okazji maskarady w Oslo sam prof. Czazow też odniósł się do sprawy Sacharowa. Zaniepokojonym dziennikarzom powiedział mianowicie, iż Sacharow „żyje w znakomitych warunkach w jednym z najpiękniejszych miast ZSSR, w którym on sam (znaczy się Czazow) chętnie osiadłby na starość...”. Dlaczego czekać na starość? Jeżeli jest tam tak pięknie, to prof. Czazow mógłby stamtąd także, nawet może lepiej, bronić świata przed wojną atomową i powinien osiąść tam od razu, w towarzystwie Willy Brandta i komitetu nagrody Nobla. Mógłby nawet zająć mieszkanie profesora Sacharowa, który w zamian chętnie udałby się na kilka dni np. do Oslo.

### Kto?

Oczywiście, ktoś za tym wszystkim stoi, ktoś myśli, w niektórych oknach światło nie gaśnie, po to aby świat mógł spać spokojnie. W oknach na Kremlu, naturalnie. Całość operacji, która pozwala na manipulowanie dziennikarzem w Costa Rica, politykiem w Tokio, senatorem w Paryżu czy komitetem Nobla, akcją przeciw bombie neutronowej, żukowi Colorado w Korei, spiskowi syjonistycznemu wszędzie na świecie, nosi specjalną nazwę, ma swój budżet i swoje kierownictwo.

Nazwa jest dziwna. Po rosyjsku „Aktywnyje Mieroprijatia”, co po polsku byłoby „środki (albo działania) aktywne (albo czynne)”, ale to przecież zupełny idiotyzm semantyczny. Co to w ogóle znaczy? Czy może być środek albo działanie nie aktywne? Ale tak to się, według fachowców, naukowo nazywa. My pozostajmy przy określeniu „dezinformacja” albo „manipulacja”, bo o to przecież chodzi.

Kieruje tym, tak jak wszystkim w ZSSR, na samej górze Biuro Polityczne i sekretariat KC KPZS, a faktycznie departament międzynarodowy KC, który przejął w tej dziedzinie kompetencje i tradycje Kominternu, czyli międzynarodówki komunistycznej. Przez lata całe kierował tym departamentem Borys Ponomariow, obecnie, po zmodernizowaniu aparatu zagranicznego, zajmuje się tym Anatoli Dobrynin, były, przez 23 lata, ambasador ZSSR w Waszyngtonie. Funkcje tego departamentu polegają dziś głównie na koordynacji, albowiem aparat dezinformacji tak się rozrósł,

iz poszczególne agendy, a zwłaszcza „stacje” operacyjne za granicą, mają sporo autonomii w działaniu.

Wszystkie instytucje sowieckie na styku zagranicy są włączone w mechanizm dezinformacji: MSZ i KGB, a przede wszystkim jego wydział „A” (pierwszego dyrektoriatu: specjalność — mokra robota i „fałszywki”), ale także właściwie cała prasa (stąd tylu korespondentów *Nowych Czasów*, którzy nie albo prawie sami nie piszą, a także 130 biur zagranicznych agencji Nowosti), Radio Moskwa, które — nie zagłuszane!!! — nadaje więcej godzin na zagranicę niż Voice, BBC i Wolna Europa razem, Akademia Nauk, Komitet Współpracy (!?) Naukowej z Zagranicą itd., politycy wszystkich zespołów artystycznych na *tournee*, itd. W skrócie mówiąc, jak to ujął historyk E. H. Carr: „Od średniowiecza żadna organizacja polityczna nie miała pretensji do wyrażania prawdy absolutnej. To rząd sowiecki wprowadził pierwszy propagandę jako stały element stosunków międzynarodowych”.

Niewiele, naturalnie, wiadomo o „infrastrukturze” dezinformacji. Niektórzy obliczają stan liczebny kadr pozostających wyłącznie w służbie dezinformacji (nie licząc współpracowników przypadkowych: naukowców na wyjazdach itd.) na jakieś 15.000 osób. Budżet dezinformacji miałby, według tych samych fachowców (głównie Shultza i Godsona) sięgać sumy ok. 4 miliardów dolarów rocznie.

Dużo to czy mało? Trudno powiedzieć, zasięg i rozmiar akcji, jak się starałem wykazać, jest ogromny, ale nie jest łatwo obliczyć, jak się to określa po kupiecku, „stosunek jakości do ceny”. Z wielkich operacji dezinformacyjnych czy manipulacyjnych tylko niewiele, jak np. akcja przeciw bombie neutronowej, naprawdę się udało. Publicystyczne sukcesy są chyba pozorne, niewiele osób — mimo wysiłków części prasy amerykańskiej — uwierzyło w pokojowe posłannictwo Gorbaczowa. Prawie cała tzw. poważna prasa amerykańska była przeciw Reaganowi, a przecież odniósł on kolosalne zwycięstwo wyborcze.

Są także, na szczęście, uciekinierzy, tacy jak Lewczenko czy Czech Bittmann, którzy wnieśli sporo jasności w kulisy dezinformacji, są na szczęście partacze nawet w KGB, popełniający dziecinne błędy. W jakimś rzekomo oryginalnym dokumencie angielskim „mokra robota” była przetłumaczona na *wet affairs*, pojęcie nieistniejące w języku Szekspira, na liście agentów CIA w prasie zachodniej połowa nazwisk miała błędną ortografię i wyraźnie przeniesiona była przez jakiegoś idiotę prosto z cyrylicy bez sprawdzenia francuskiej czy angielskiej pisowni.

Ale nie czas na euforię. Mówić możemy tylko o tym, co wiemy, a przecież w większym nawet stopniu niż w szpiegostwie czy kradzieży technologii, w sferze świadomości są akcje i kampanie, o których nie mamy pojęcia.

Na koniec więc tylko jeszcze rytualne, jeżeli nie retoryczne, pytanie: czy można i trzeba bronić się przed dezinformacją? Tutaj także odpowiedź nie jest łatwa. Zorganizowana obrona jest możliwa, ale tylko do pewnego stopnia. Społeczeństwa demokratyczne są słabe i wrażliwe, bo są łatwe do spenetrowania, otwarte i demokratyczne właśnie. W imię obiektywizmu wolna prasa dopuszcza do druku wszystkie brednie, a wolne państwa akredytują wszystkich „specjalnych wysłanników”, choć już dziś na ogół z góry wiadomo, kto ich wysłał. Ale skuteczna riposta wobec penetracji na taką skalę zakładałaby ryzyko sprzeniewierzenia się zasadzie otwartości, naruszenia demokracji, a tym samym pomagałaby dezinformatorom w ich misji.

Obrona w dziedzinie psychologii jest zapewne trudniejsza niż na innych frontach: wojskowym, szpiegowskim czy technologicznym, a szkody w świadomości są trudniejsze do naprawienia niż braki w arsenale atomowym. Kłamstwo jako system stanowi integralną część sowiezizmu i opór wobec niego, a nawet kontryfensywa (radio, wydawnictwa) musi wejść do arsenału demokracji. Dziś już samo wojsko nie wystarczy, aby ratować wolność.

„Prawda — powiedział Karl Jaspers — potrzebuje swojej własnej propagandy”, a mądry Amerykanin Sydney Hook uzupełnił: „Tak, tylko trzeba jeszcze mieć odwagę jej (prawdy) głoszenia”.

Ano.

Leopold UNGER

Pisane 15 sierpnia 1986

## «Polityka małych kroków»

W obszernym wywiadzie dla węgierskiego radia i telewizji, nadanym 22 lipca, gen. Jaruzelski oświadczył, że „doświadczenia Węgier stanowią dobry przykład, iż *modus vivendi* pomiędzy socjalistycznym Państwem i Kościołem katolickim może być z powodzeniem realizowany dla dobra narodu”. Wprawdzie przyznał, że sytuacja na Węgrzech jest „nieco inna” niż w Polsce, to jednak jest „począjąca” z punktu widzenia koegzystencji i normalizacji stosunków Kościół-Państwo. Zmarły niedawno kardynał Lekai, prymas Węgier, kiedyś powiedział: „Każdy naród ma swoje drogi i modele, których nie krytykuję. My posuwamy się naprzód powoli i cierpliwie”. Ta filozofia życiowa Lekai’a nie jest obca nastawieniu Watykanu, gdzie, w przeciwieństwie do poprzednich pontyfikatów, nie ma dziś jednej, spójnej strategii wobec

krajów komunistycznych. Operuje się raczej zróżnicowaną gamą celów i środków w zależności od sytuacji lokalnych. Tzw. model węgierski zwrócił ponownie uwagę obserwatorów watykańskich w związku z dziedzictwem kardynała Lekai'a, który zasłynął jako autor „polityki małych kroków”. Dzięki tej polityce, ocenianej pozytywnie w Watykanie, Kościół otrzymał gwarancje wolności dla wierzących. Nie oznacza to jednak, by równocześnie posunęły się naprzód, w tym samym stopniu, gwarancje w zakresie wolności obywatelskich. Kościół uzyskał m.in. pozwolenie na budowę trzystu kościołów, na utworzenie nowego zgromadzenia zakonnego, na otwarcie seminariów duchownych. Zatwierdzono statut parafialnych i diecezjalnych rad świeckich. Doszło do podpisania porozumienia w sprawie katechezy oraz zatrudniania świeckich pomocników parafialnych (bardzo ważne z powodu niedostatku powołań kapłańskich). Wobec braku możliwości tworzenia zrzeszeń i organizacji rozwijają się nadal młodzieżowe „wspólnoty podstawowe” (*comunità di base*). Z wyjątkiem kwestionowanej przez episkopat wspólnoty kierowanej przez ojca Bulany działają one w ścisłej więzi z biskupami. Bulany wyłamał się z dyscypliny kościelnej (uważa większość biskupów za kolaborantów), a jego teologiczna prawomyślność wywołała zastrzeżenia i jest obecnie przedmiotem krytycznych badań ze strony Kongregacji Doktryny Wiary.

Kardynał Lekai umarł w czasie przygotowań do międzynarodowego sympozjum w Budapeszcie (od 8 do 10 października) na temat „społeczeństwa i walorów etycznych” pod wspólnym patronatem watykańskiego Sekretariatu dla niewierzących i węgierskiej Akademii Nauk. Wezmą w nim udział intelektualiści katoliccy i marksistowsy z Zachodu i Wschodu oraz przedstawiciele Watykanu. Węgierscy organizatorzy narzekają ostatnio na trudności polityczne, na jakie natrafili w krajach ościennych, na skutek encykliki o Duchu Świętym, która „kładzie kres dialogowi”. Kardynał Koenig, emerytowany arcybiskup Wiednia, wielki pionier watykańskiej „Ostpolitik” i jeden ze „sponsorów” tego sympozjum, określił je jako „znaczące otwarcie, którego nie było za moich czasów” (tzn. kiedy stał na czele watykańskiego Sekretariatu dla niewierzących). „Oczywiście — dodał — musimy mieć na uwadze korzyści jakie z tego wyciągnie rząd węgierski”. Zapytany jak ocenia sytuację na Węgrzech na odcinku stosunków Kościół - Państwo, kardynał Koenig oświadczył, że jest to „przykład interesujący”, ponieważ może stanowić próbnik czy uda się przekonać komunistów, że „również dla nich będzie korzystna redukcja napięcia pomiędzy ateizmem i wiarą”. Jego zdaniem droga podjęta przez kardynała Lekai'a będzie kontynuowana, bo „nie wydaje się, by mógł istnieć inny wybór” (w wywiadzie dla katolickiego tygodnika *Il Sabato*). W Watykanie sądzi się, że po proklamowaniu nowego przewodniczącego episkopatu w osobie arcybiskupa László Paskai'a (kto wie czy nie przyszły prymas po uzgodnieniu nominacji na historyczną stolicę w Esztergom), nastąpi krótki okres wyczekiwania, ale dla „polityki małych kroków” nie ma alternatywy.

Warto jeszcze odnotować, że wypowiadając się na temat planowanych w 1988 roku obchodów tysiąclecia chrześcijaństwa na Rusi (przywłaszczonych — jak wiadomo — przez patriarchat rosyjski, bo dotyczyć powinny w zasadzie Rusi czyli Ukrainy), kardynał Koenig oświadczył dosłownie: „Pomiędzy Rzymem i Moskwą sytuacja pozostaje wciąż bardzo trudna. Problemy wewnętrzne w ZSSR są tego rodzaju, że praktycznie jest niemożliwe, by Watykan w swym podejściu uniknął fałszywych kroków. Każda próba może być przedmiotem krytyki”. Bardzo to znamienne wyznanie, zwłaszcza kiedy się weźmie pod uwagę, że czyni je wytrawny i zasłużony dla Watykanu znawca problematyki wschodniej, założyciel Fundacji „Pro Oriente”.

#### „Nikt ich nie chce” czyli dramat polskiej emigracji

„Do głównych zadań Kościoła w Polsce należy walka z różnymi zjawiskami psychopatii społecznej jak życie według modeli irracjonalnych opartych na iluzjach lub pogoń za mirażem dobrobytu na Zachodzie, co kończy się często piekącymi rozczarowaniami wśród nowej fali polskiej emigracji”. Jest to niedawna wypowiedź wybitnego przedstawiciela episkopatu (nie ujawniam nazwiska, ponieważ nie zostałem upoważniony). Wiadomo, że episkopat polski już od dawna przejmując się rosnącą liczbą uchodźców, zwłaszcza młodych, szukających szczęścia na obczyźnie. Prymas Polski określił tę emigrację zarobkową jako jedną z chorób społecznych, które trzeba leczyć.

Przykrą prawdę o tej chorobie ujawniło pismo *Kronika Rzymska* (wyd. Fundacji Jana Pawła II), którego redaktor, ojciec Konrad Hejmo O.P. (dominikanin) jest kierownikiem ośrodka duszpasterskiego dla polskich pielgrzymów, przybywających do Wiecznego Miasta. Z każdej grupy turystów ubywa kilkanaście a nawet i więcej osób, które deklarują chęć wyjazdu do Kanady, USA lub Australii. Obecnie ponad 2 tysiące Polaków oczekuje w przejściowych obozach w Latina i Capua lub hotelikach rzymskich na wizę do krajów stałego osiedlenia (czas oczekiwania trwa od 6 miesięcy do roku, a nawet dłużej).

„Nowa emigracja i jej dramaty”, brzmi tytuł obszernego materiału dokumentacyjnego na łamach „Kroniki Rzymskiej”. Ojciec Hejmo komentuje: „Przeżywają oni tu okres szoku. Nikt tu na nich nie czeka, nikt ich nie chce. Są tylko tolerowani jako zło, z którym trzeba coś zrobić... Mieszkają w okropnych warunkach. Mają zapewniony dach nad głową i jedzenie — na odzież i kieszonkowe muszą zarobić. Pracują więc gdzie się da. Polscy inżynierowie, lekarze, profesorowie myją okna, malują ściany, pomagają w restauracjach i ogrodach. Czynią to za byle jakie wynagrodzenie. W Polsce nie tknęliby się takich zajęć”.

Włochy — trzeba sprezyzować — są krajem o dużej liczbie bezrobotnych i stałym rezerwuarem emigracji zarobkowej. Nie są skłonni pomagać obcokrajowcom, tym bardziej, że Polacy mają tu fatalną opinię z powodu szerzącego się pijaństwa, kradzieży, nierządu itp. Kapłan, który odwiedza tych uciekinierów



(którzy nie są ofiarami prześladowań, lecz opuścili kraj li-tylko w poszukiwaniu lepszej i lepiej płatnej pracy), ma na ten temat wiele do powiedzenia. O. Hejmo stwierdza dalej, że Polacy popadają tu we frustrację i depresję. Ich odporność psychiczną mąleje, „coraz częściej można spotkać ludzi psychicznie rozkojarzonych i przygnębionych. Niekiedy, ratując się, kłamia 'w żywe oczy', zachwalając wobec przyjezdnych pielgrzymów z Polski uroki emigracyjnego życia. Ale wiadomo, że to nieprawda i po dłuższej rozmowie sami odступują od tej metody”.

Przytaczając wstrząsającą w treści listy z kraju porzuconych i zrozpaczonych osób, które proszą tutejsze czynniki kościelne o interwencję, kierownik ośrodka dla pielgrzymów pisze dosłownie: „wykorzenienie z własnego środowiska powoduje obniżenie działania hamulców opinii publicznej. Anonimowość powoduje obniżenie etosu życia i wyzwala najniższe instynkty”.

„Tragedię nowej emigracji powiększa fakt — stwierdza O. Hejmo — że wiele osób chciałoby wrócić do kraju, ale nie ma odwagi — boi się, mimo, że władze polskie zapewniają, iż nie będą wyciągać żadnych konsekwencji” (kilkadziesiąt osób — b. uciekinierów faktycznie wróciło stąd bezpiecznie do kraju). Analogiczna sytuacja jest w RFN, skąd szereg osób wróciło do kraju lub zamierza powrócić, zwłaszcza, że władze niemieckie robią polskim uciekinierom coraz większe trudności w uzyskaniu prawa stałego pobytu.

Co oznacza przytoczony obszernie i bijący na alarm miarodajny głos kościelny? Świadczy przede wszystkim o tym, że słusznie zrezygnowano z polskiego hasła nawołującego do nieprania publicznie rodzinnych brudów. Czynniki kościelne, zarówno w kraju, jak i w Rzymie, doszły do przekonania, że rozmiary tego polskiego dramatu nie pozwalają dłużej na milczenie. I dlatego decyzyja ujawnienia prawdy — jakże często owijanej w fałszywą, polityczną otoczkę. Zamiast zajmować się przeżuwaniami komunałów o komunistycznych kłamstwach (np. B. Cywiński w *Widnokregu* nr 2), lepiej byłoby pomyśleć jak zwalczać rodzime zakłamanie.

Dominik MORAWSKI

Pisane 4 sierpnia 1986 r.

## Tajemnice władzy komunistycznej

Z Polski wyszedł na świat niezwykle dokument. *Kultura* paryska opublikowała go pod tytułem „Protokoły tzw. komisji Grabskiego”<sup>1</sup>. Komisję powołano w kwietniu 1981 roku decyzją KC

1. Do druku przygotowała i wstępem opatrzyła Grażyna Pomian. Instytut Literacki, Paryż 1986. Str. 430. Cena F.180.

PZPR i polecono jej zbadanie „osobistej odpowiedzialności” kierownictwa partyjnego za kryzys w Polsce. Na czele komisji stanął ówczesny sekretarz KC Tadeusz Grabski. Przesłuchano: byłego pierwszego sekretarza KC Edwarda Gierka, byłych premierów Piotra Jaroszewicza i Edwarda Babiucha, byłego sekretarza KC d/s propagandy Jerzego Łukaszewicza i innych.

„Protokoły” można porównać z wywiadami zebranymi przez Teresę Torańską w książce „Oni”. W obu dokumentach rządzący Polską wodzowie partyjni (z lat 1944-1956 i 1970-tych) starają się wytłumaczyć ze swoich porażek. Różnica polega na tym, że Torańskiej udzielali wywiadów dawno odsunięci od władzy emeryci, że udzielali ich dobrowolnie dziennikarce, z którą mogli się spierać i której mogli nie odpowiadać na podchwytliwe pytania. Przed komisją Grabskiego stawali natomiast ludzie, którzy nie dalej jak poprzedniego dnia pełnili najwyższą władzę w państwie i jeszcze nie zdążyli ochłonąć po upadku, a pytania zadawali im ludzie, którzy dobrze znali upadłych wodzów i nierzadko bywali przez nich upokarzani. Uchylić się od odpowiedzi na ostre pytania nie było łatwo. Jednak starannie dobrani członkowie komisji doskonale rozumieli, że niektórych pytań stawiać nie należy i w niektóre kąty lepiej nie zaglądać.

Protokoły komisji Grabskiego nie zostały nigdy oficjalnie opublikowane. Grabski zresztą nieustannie się bał, że mogłyby się przedostać do wiadomości publicznej i ze zgrozą wykrzykiwał: „W tym gmachu żadnego dokumentu nie udaje się zachować w tajemnicy...”. Gmach o którym mowa to siedziba KC PZPR.

Spełniły się najgorsze przewidywania Grabskiego: protokoły dotarły do wiadomości publicznej. Polacy mogą raz jeszcze przyrzec się żalonym, wystraszonemu, zwalającym na siebie nawzajem winę, zdemoralizowanym i skorumpowanym absolutną władzą partyjnym przywódcom. Były sekretarz KC oraz minister spraw wewnętrznych Franciszek Szlachcic, przywdziewając toż prokuratora (odsunięto go od władzy jeszcze za czasów Gierka, z którym się pokłócił) nie nazywa upadłych przywódców inaczej jak „gangiem” i „mafią”. Przytakuje w pełni tym określeniom, Grabski proponuje, aby w komunikacie dla prasy zastąpić słowo „mafia” wyrażeniem „grupa nieformalna”. Brzmi to szlachetniej. „Protokoły komisji Grabskiego” są bezcennym źródłem dla poznania psychiki przywódców komunistycznych i lekcją pokazową rezultatów specjalnej selekcji kadr kierowniczych, identycznej we wszystkich państwach typu sowieckiego. Główna wartość książki polega jednak na tym, że raz jeszcze dowodzi, iż tajemnice mechanizmu władzy komunistycznej są tajemnicą przede wszystkim dla wykonawców tej władzy. System władzy totalitarnej jest dla przywódców krajów komunistycznych zagadką.

Przysłuchując się mętnym, bełkotliwym, tchórzliwym wyjaśnieniom byłego pierwszego sekretarza, jeden z siedzących na sali członków komisji nie wytrzymuje i zadaje fundamentalne pytanie: „Towarzyszu Gierek, to koniec końców kto jest winien, że w naszym kraju powstał taki burdel?”.

„Kto jest winien?” znaczy innymi słowy: jaki mechanizm wła-

dzy? kto podejmuje decyzje, prowadzące do katastrofy ekonomicznej, politycznej i społecznej? Na XX Zjeździe KPZS w 1956 roku to samo pytanie zadał Chruszczow. Od tamtego roku nie przestano szukać winnych za „burdel” w Polsce, Czechosłowacji, na Węgrzech czy w Związku Sowieckim. Szukając winnego, wszyscy przesłuchiwanie przez komisję Grabskiego odwoływali się do zbawiennej formuły komunistycznej: „Partia przewodzi, rząd rządzi”. Ale nikt z nich nie wiedział, co to znaczy. Nikt nie wiedział, gdzie przebiega granica między kierowaniem a rządzeniem. Tym bardziej, że — jak podkreślali byli premierzy i ministrowie — wszystkie decyzje, nawet najbłahsze, zapadały w Biurze Politycznym. Pierwszy sekretarz KC z kolei podkreślał, że premierzy i ministrowie nie wykonywali decyzji Biura.

Nie ma chyba dokumentu, który by tak obnażał sowiecki system rządów: partia wszystkim zarządza, wszystko kontroluje, ale za nic nie odpowiada. Doskonałym pokazem zalet takiego systemu jest ekspertyza, sporządzona na prośbę komisji przez grupę prawników. Prawnicy ci wyjaśniają, że polskie ustawodawstwo nie przewiduje odpowiedzialności karnej za decyzje kierownictwa partyjnego, niezależnie od ich skutków. Urzędnicy państwowi ponoszą za swoją działalność odpowiedzialność prawną. Funkcjonariusze partyjni nie są jednak — stwierdzają prawnicy — w prawnym sensie urzędnikami państwowymi. Jedyne wyjście, jakie proponują eksperci (z pominięciem prawa), to pociągnięcie przywódcy partyjnego (powiedzmy pierwszego sekretarza KC) do odpowiedzialności karnej „za podleganie do przestępstwa służbowego”. Za samo przestępstwo służbowe może odpowiadać minister (albo premier).

Formuła „partia przewodzi, rząd rządzi” nie budzi wątpliwości ani u członków komisji, ani u przesłuchiwanym. Niejasny jest tylko pierwszy jej człon, „partia przewodzi”. Co to znaczy? Kto jest partią?

Wszyscy znowu są zgodni co do tego, że partia to przede wszystkim pierwszy sekretarz, a potem Biuro Polityczne. Problem, którego komisji nie udało się rozwiązać to metamorfozy pierwszych sekretarzy. Dlaczego świeżo wybrany pierwszy sekretarz wszystkim się podoba, a z czasem robi się coraz gorszy? Franciszek Szlachcic opowiada, jak zmienił się jego były bliski przyjaciel Gierek, wspomina też „mechanizm zmiany”, jakiej ulegli Bierut i Gomułka i zadaje nawet przewrotne pytanie, jak przebiega ta metamorfoza w innych krajach?

Towarzysze Gierka odkryli, że ma on zły charakter, który pogarszał się w miarę, jak rosła jego władza i kult jednostki. Gierkowi zarzucali dwa główne grzechy: fakt, że miał za dużą władzę i fakt, że nie zawsze z niej korzystał. W szczególności zarzucali mu, że zachciało mu się Polski „bez procesów politycznych” i „bez więźniów politycznych”. Są to bardzo poważne oskarżenia, ponieważ „liberalizm” pierwszego sekretarza tłumaczyli jego pragnieniem przyzodobania się Zachodowi.

Pierwsze pytanie komisji brzmiało: kto winien? Odpowiedzi sprowadzały się do jednego: pierwszy sekretarz, który mógł spr-

wować władzę absolutną, ale „nieprawidłowo” i „niedostatecznie” korzystał z tej możliwości („nieprawidłowo”, faworyzując najbliższych towarzyszy i bawiąc się w liberała, a „niedostatecznie”, nie lansując niezbędnych inicjatyw). Drugie pytanie komisji brzmiało po leninowsku — swojsko: co robić? Przesłuchujący i przesłuchiwanie zgodnie twierdzą, że coś trzeba zrobić, żeby przewyciężyć „kryzys” (tym słowem określają pojawienie się „Solidarności”) i równie zgodni są co do tego, że — jak się wyraził były szef propagandy i kultury — nie należy „zmieniać modelu”.

Po oczyszczeniu z piany sowieckiego języka wnioski komisji sprowadzają się do czterech punktów: 1) zwiększyć kontrolę partii nad wszystkimi dziedzinami życia kraju; 2) udoskonalić selekcję i przygotowanie kadr partyjnych; 3) zwrócić uwagę na „sprawiedliwość społeczną”, tzn. zapobiegać nadmiernemu wzrostowi przywilejów kierownictwa partyjnego, który budzi gniew ludu; 4) nasilić walkę z opozycją, czyli przede wszystkim „odciąć się” od „szkodliwej koncepcji” rządzenia krajem socjalistycznym bez procesów politycznych i bez więźniów politycznych. Realizacja tego programu — zapewnia komisja — pomoże partii wyciągnąć Polskę z kryzysu ekonomicznego i politycznego.

Protokoły komisji Grabskiego i wnioski komisji są pouczającym przykładem komunistycznej „analizy”, opartej na dogmacie totalnej, niepodzielnej i niezachwianej władzy partii. Protokoły, same w sobie niezmiernie interesujące i pouczające, nabrały specjalnej wymowy po XXVII Zjeździe KPZS. Wiele wystąpień na moskiewskim zjeździe wskazywało, że sowieccy przywódcy wyciągnęli nauczkę z polskiego „kryzysu”. Zarzuty wytaczane przeciw Breżniewowi bardzo przypominały zarzuty, przedstawiane Gierkowi. Zmarłego generalnego sekretarza KC KPZS oskarżano o te same „błędy” co pierwszego sekretarza KC PZPR: zaniedbanie kontroli, brak aktywności, faworyzowanie swoich, które przekształciło najbliższe otoczenie wodza w gang.

Na moskiewskim zjeździe za winowajców kryzysu uznano — jak w Warszawie — ministerstwa i ministrów. Sekretarz omskiego obwodowego komitetu partii C. Maniakin oświadczył wprost: „Historia nie wybaczy ministerstwu, że doprowadziły do zwolnienia tempa rozwoju ekonomicznego kraju”. Na to Gorbaczow zareplikował: „Historia nie wybaczy, my jednak wybaczymy”. Po czym generalny sekretarz dodał: „Od piętnastu lat się przyglądamy”, na co wybuchły oklaski. Delegaci zjazdu zrozumieli: Breżniew dał ministerstwu wolną rękę, teraz partia znów ujęła cugle. Z polskiego słownika czasu „kryzysu” propaganda sowiecka przejęła termin „sprawiedliwość społeczna”. Nowe kierownictwo sowieckie wyciągnęło ważną naukę: nadmiar przywilejów nomenklatury może wywołać głębokie niezadowolenie. Stąd „walka z korupcją”. Z tego samego powodu Gorbaczow specjalnie podkreśla zasługi „organów”. Przemówienie szefa KGB Czebrikowa nie pozostawia żadnych wątpliwości: także w dziedzinie represji, w której Związek Sowiecki mógłby wszystkim udzielać lekcji, wyciągnięto odpowiednie wnioski. „Będziemy nieugięście zwiększać wydajność naszej pracy” — zapewnił Czebrikow.

Protokoły komisji Grabskiego potwierdziły, że społeczeństwo typu sowieckiego przypomina przechłodzony roztwór, który pozostaje płynny poniżej temperatury zamrażania, jeżeli nie dopuścić do ukształtowania się ośrodków krystalizacji. Powstanie w 1976 roku KOR-u i innych „ośrodków krystalizacji” dowiodło, że — w pewnych warunkach — zaczyna się w społeczeństwie ruch lawinowy. W Moskwie i tej polskiej lekcji nie zapomniano.

Warszawskie protokoły i moskiewskie przemówienia nie pozostawiają wątpliwości. Winnego wszystkich klęsk znaleziono. Jest nim poprzedni sekretarz KC. Znaleziono też panaceum. Jest nim nowy sekretarz KC. Przywódca się zmienił, model pozostał ten sam. Kolejny kryzys jakby zastrzyknął nowe siły wymęczonego budową komunizmu organizmowi. Tajemnica władzy komunistycznej — system totalitarny — wciąż pozostaje tajemnicą. Niewykluczone jednak, że przywódcy krajów „realnego socjalizmu” wolą skrywać swój sekret.

Michał HELLER

**W A W E L**  
**PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA**  
w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Również sprzedaż wysyłkowa.

**POLNISCHE BUCHHANDLUNG**  
**KSIĘGARNIA POLSKA**

1070 Wien, Burggasse 22

Tel.: 0222/93 87 222

GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:

CODZIENNIE / TÄGLICH 10.00 - 18.00

SOBOTA / SAMSTAG 9.00 - 12.00

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND

KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

## Kraj

### Chmura nad Polską

29 kwietnia weszliśmy w świat atomów, świat niepokojący, opisywany pojęciami i liczbami wymagającymi wyobraźni gruntownie odmiennej od tej, jaką posługujemy się w naszym powszednim życiu. Kilka niezręcznie sformułowanych zdań, parę słów, które zabrzmiały jak impertynencja wtajemniczonego wobec profanów, pogłębiło niepokój — i bez tego aż nadto uzasadniony. Pewnego dnia stan zaufania do oficjalnych komunikatów można było w Warszawie zmierzyć bardzo precyzyjnie: przy pomocy wodomierzy w stołecznych filtrach.

Każdy w tych dniach szukał informacji i każdy miał gdzieś swego eksperta. Szukałem i ja. Największym problemem był brak wiedzy. Fachowcy z tej właśnie dziedziny nie chcieli odpowiadać na podstawowe pytania — informacje z komunikatów oficjalnych dla nich nie miały żadnej wartości poznawczej, własne zaś pomiary wycinkowe nie dawały żadnej podstawy do rzetelnych uogólnień. Cytowano nam dwa przykłady katastrof z przeszłości: w elektrowni Three Miles Island pod Harrisburgiem w USA w 1979 roku i w Windscale w Anglii w 1957 roku. Profesor Zygmunt Jaworowski w wywiadzie dla *Życia Warszawy* z 12 kwietnia tę amerykańską nazwał „wielką katastrofą”. Znalazłem doniesienia prasowe z roku 1979:

„PAP. Według ostatnich doniesień skutki awarii systemu chłodzenia elektrowni atomowej w Harrisburgu (stan Pensylwania) okazały się poważniejsze, niż początkowo przypuszczano. Zwiększony poziom radioaktywności wykryto nie tylko w bezpośrednim sąsiedztwie elektrowni, ale nawet w odległości 25 km. Jak oświadczył rzecznik przedsiębiorstwa energetycznego 'Metropolitan Edison Co.', które jest właścicielem elektrowni, ułatwienie się substancji radioaktywnych na zewnątrz trwało przez kilka godzin.

Edison Case, zastępca dyrektora 'Nuclear Regulatory Commission' — agencji federalnej, nadzorującej działalność siłowni jądrowych, oświadczył, że natężenie promieniowania wewnątrz budynku elektrowni mieszczącego reaktor jest tysiąc razy większe od normalnego".

Tamta awaria, choć słusznie zasłużyła wtedy na miano „katakstrofy”, do naszych obecnych doświadczeń nie przystaje. „Lepiej” jest z awarią w Windscale. Znalazłem dane liczbowe dotyczące skażenia terenu (Ryszard Szepeke: „O atomie i technice jądrowej”, Wydawnictwo MON, Warszawa 1982). Skażony teren obejmował 750 km<sup>2</sup>, na mapce oznaczone są skażenia w gradacji od 0,5 do 0,006 mikrokiura na liter (zapewne na liter powietrza — autor tego nie precyzuje). 1 kiur = 3,7·10<sup>10</sup> bekerela. Skażenie terenu wokół Windscale wynosiło więc od ponad 2 mln do 18,5 mln bekereli na metr sześcienny. U nas komisja rządowa podawała maksymalne skażenie jodem 131 na 200 Bq/m<sup>3</sup>. Niczego nie zdołałem się dowiedzieć o medycznych następstwach tamtej angielskiej awarii, ale możemy chyba przyjąć, że gdyby były, wiedziałyby o tym cały świat. W Anglii nie udałoby się tego ukryć.

Nasz niepokój budziło nie tyle to, czegośmy się dowiedzieli, ile to, co przed nami tajono. A że tajono — to widać było z samych komunikatów. Ale przy najbardziej nieżyczliwym dla komisji rządowej założeniu „współczynnika nieufności” różnica między naszą obecną sytuacją a tamtą z Windscale pozwala na zachowanie spokoju i zimnej krwi.

To jednak nie znaczy, że nasze obawy były i są nieuzasadnione. W cytowanym wywiadzie dla *Życia Warszawy* prof. Jaworowski mówił:

„Radioaktywność powietrza ogromnie zmalała. Jest niska w porównaniu z poziomem, który mieliśmy przez kilka dni po katastrofie. Nawet gdyby jednak wzrosła setki tysięcy razy ponad obecny poziom, też nie byłaby niebezpieczna”.

Takich rzeczy lekarzowi-radiologowi mówić nie wolno! Przy takim wzroście skażenia osiągnęlibyśmy, a nawet przekroczylibyśmy skażenie z epicentrum wokół Windscale. Już kiedy prof. Jaworowski, podczas audycji telewizyjnej, *ucieszył się* z deszczu, który spadł na Warszawę 30 kwietnia, ciarki mi przeszły po plecach. A teraz — kilkaset tysięcy razy...

W 1971 roku dr hab. Zbigniew Jaworowski w książce „Radioaktywność a zdrowie ludzkie” (Wiedza Powszechna, Warszawa 1971) pisał o dopuszczalnej dawce promieniowania:

„W różnych tkankach ssaków ilość napromieniowania wywołującego zauważalne zmiany może różnić się o 5 rzędów wielkości

(100.000 razy) ze względu na różną promienioczułość tkanek. Jeżeli założymy, że w danym układzie biologicznym nie zachodzą procesy odnowy struktur uszkodzonych promieniowaniem, to wtedy jakakolwiek, nawet najmniejsza ilość promieniowania wywoła zmiany. Oznacza to, że nie ma jakiegoś 'prog'u' dawki promieniowania, od którego dopiero zaczyna ono być skuteczne. 'Próg' ten byłby jedynie funkcją czułości i doskonałości metod wykrywania uszkodzeń. Sytuację taką obserwujemy w przypadku uszkodzeń genetycznych. Zakładamy więc, że nie ma dawki 'progowej' i nawet znikoma ilość promieniowania może spowodować trwałe zaburzenia w materiale genetycznym. Poza zmianami znaczna większość uszkodzeń popromiennych jest odwracalna, przynajmniej do pewnego stopnia. W materiale niegenetycznym dawką 'progową' wywołującą zaburzenia byłaby zatem najniższa dawka potrzebna do wytworzenia zmian, których dany układ biologiczny nie jest w stanie skompensować”.

Zostańmy więc przy takich ustaleniach: dawka, którą otrzymaliśmy (i jeszcze będziemy otrzymywać) jest znikoma oraz pojęcie „dawki nieszkodliwej” nie istnieje. Od czasu wydania przez dr. Jaworowskiego cytowanej książki stanowisko nauki pod tym względem nie drgnęło.

Wszyscy specjaliści, z którymi udało mi się rozmawiać, byli zgodni: ludzkość takiego doświadczenia jeszcze nie przeżyła. Wydaje się, że i ten pogląd jest dyskusyjny. Przeżyliśmy już okres poważnych opadów radioaktywnych na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, kiedy trwało swoiste „współzawodnictwo” między supermocarstwami w „megatonażu” bomb jądrowych i termojądrowych. Zanotowany wówczas opad radioaktywny w Warszawie porównywalny był z obecnym (ciągle liczę z zachowaniem „współczynnika nieufności”), z tą istotną różnicą, że tamten trwał lata, a obecny w maksymalnym natężeniu kilka dni.

W ocenie obecnej sytuacji musimy przyjąć pewne poprawki. Mamy znacznie bardziej zanieczyszczone środowisko, zdegradowane, zakwaszone gleby. Wszystko to sprawia, że każde dodatkowe zakłócenie równowagi — a takim był opad radioaktywny — szybciej, niż przed ponad dwudziestu laty narusza równowagę. Chmura dymu i pyłów znad Siekierok, Żerania i Huty Warszawa „wymywała” substancje radioaktywne z atmosfery.

Chmura radioaktywna, która ukształtowała się po katastrofie w Czernobylu, tak szybko nie zniknie. Tak się złożyło, że kilka razy nawracała ona nad Polskę i za każdym razem coś po sobie zostawiała. W żadnym więc razie nie można twierdzić, że wszystko już minęło i spłynęło po nas jak woda po gęsi. Będziemy znowu poddani długotrwałemu działaniu bardzo niskich dawek napromieniowania.

Nie wolno też bagatelizować składu opadów, które po awarii

elektrowni atomowej różnią się w sposób bardzo istotny od tych z bomb atomowych. Katastrofa w Windscale kazała zmienić poglądy na gradację szkodliwości izotopów radioaktywnych. Do tamtej awarii za najgroźniejszy uznawano stront 90, po awarii — jod 131, a to ze względu na jego wszechobecność i ruchliwość. W pierwszym okresie największą groźbę niesie rzeczywiście jod 131. W drugim okresie — kiedy już najkrócej żyjące radioizotopy ulegają rozkładowi, największe zagrożenie stanowi właśnie stront 90. I to już w glebie mamy. Gdyby go nie było, byłaby to największa zagadka fizyczna od czasu wykrycia radioaktywności.

Oczywiście nie należy popadać w panikę. Powołam się znów na przypadek Windscale — nasz obecny opad jest nieporównywalnie mniejszy i nie grozi żadnymi konsekwencjami, które w perspektywie kilku lat byłyby w jakikolwiek sposób odczuwalne. Ale też nie wolno w żadnym razie twierdzić, że nic się nie stało, machnąć ręką i wszystko zapomnieć.

Najpoważniejszym źródłem skażenia organizmu człowieka izotopami radioaktywnymi jest pokarm.

„Rośliny ulegają skażeniu albo wskutek bezpośredniego osadzenia się na nich substancji radioaktywnych — pisał dr Jaworowski — albo przez wchłonięcie zmagazynowanych w glebie izotopów. Pomiary aktywności promieniotwórczej gleby nie uprawianej wykazują, że większość radioizotopów zawarta jest w powierzchniowej warstwie o grubości 15 cm. Tak więc prawie wszystkie pyły promieniotwórcze osadzające się na łądzie mogą dostać się do komórek roślinnych. (...) Zwierzęta trawożerne, np. krowy i konie, prawie cały swój pokarm pobierają z pastwisk. Głównym jego składnikiem jest trawa, która stanowi doskonały magazyn cząstek radioaktywnych opadających z powietrza. W ciągu jednego dnia zwierzę zjada trawę z kilkuset metrów kwadratowych pastwiska, co związane jest ze spożyciem pyłów radioaktywnych zawartych w kilku tysiącach metrów sześciennych powietrza”.

I dalej:

„Człowiek skaża się strontem 90 spożywając pokarmy bogate w wapń, a więc przede wszystkim produkty mleczne, ponieważ — podobnie jak w przypadku jodu 131 — również i tu odgrywa rolę mechaniczna kumulacja izotopu przez zwierzęta trawożerne, które zbierają go z dużej ilości pastwisk. Dieta niemowląt i małych dzieci zawiera znacznie więcej przetworów mlecznych niż dieta ludzi dorosłych. Również metabolizm wapnia u dzieci przebiega szybciej niż u dorosłych. W związku z tym poziom strontu 90 w kościach u dzieci był wyższy niż u dorosłych. Badania prowadzone w 1956 roku w Anglii wykazały, że u dzieci w wieku

3 miesięcy do 3,5 lat znajdowało się ok. 13 razy więcej strontu 90 niż u osób między 20 a 65 rokiem życia”.

Od czasu publikacji książki dr. Jaworowskiego poglądy na szkodliwość promieniotwórczości nie uległy zasadniczym zmianom, jeśli nie liczyć stopniowego obniżania dopuszczalnych dawek dla różnych sytuacji. Trzeba po raz kolejny powtórzyć, że nie mamy powodu do większych obaw (współczesne pokolenie dorosłych Anglików nie wykazuje objawów masowych schorzeń), ale też w żadnym razie niebezpieczeństwa nie wolno lekceważyć i zaniedbywać takich działań profilaktycznych, które są w naszym zasięgu. Podstawowym więc zadaniem jest ograniczenie — w miarę możliwości — krążenia radioizotopów w łańcuchu żywieniowym. Krowy w pierwszych dniach mają jadły trawę z bardzo dużą zawartością radioizotopów, nie tylko z jodem 131, lecz również z cezem i strontem. Deszcze zmyły opad radioaktywny z trawy i roślin i przesunęły go do gleby w zasięg korzeni. Przez jakiś czas radioizotopy będą krążyć bardzo intensywnie. Po wtóre — od czasu, gdy mieliśmy najintensywniejszy opad do momentu zniesienia ograniczeń minęły tylko dwa cykle połowicznego rozpadu jodu 131, zostało go więc jedna czwarta pierwotnej ilości. Z powietrza deszcze wymyły go na rośliny i do gleby. W komunikacie ogłaszającym zniesienie wszelkich ograniczeń wypasu krów oraz spożycia mleka i warzyw stwierdzono: „... powietrze, woda powierzchniowa i do picia wróciły praktycznie do stanu sprzed awarii, a dawka promieniowania kształtuje się na poziomie tła”. Nie powiedziano natomiast nic o stanie gleby, co na tym etapie skażenia jest czynnikiem najistotniejszym.

Zniesienie wszelkich ograniczeń było więc przedwczesne. Można oczywiście nie zgodzić się, że dla jasności należy odczekać 10 cykli połowicznego rozpadu — jak to niektórzy zalecają — ale twierdzenie, że po dwóch cyklach, kiedy ilość jodu 131 zmalała do jednej czwartej początkowej ilości, stan wrócił do normy, nie zasługuje w ogóle na dyskusję. Znow zacytuję dr. Jaworowskiego:

„Jesienią 1961 roku brytyjski 'Medical Research Council' opublikował w czasopiśmie *Nature* artykuł w sprawie niebezpieczeństwa radioaktywnych opadów, w którym stwierdzono, że dawka promieniowania od promieniotwórczego jodu 131 do 1960 roku nie przekroczyła 1/4 dawki naturalnej na tarczyce. W artykule tym stwierdzono również, że dopuszczalna dawka promieniowania jodu 131 na tarczycę nie zostanie przekroczona, jeżeli stężenie jodu 131 w mleku nie będzie przekraczać 130 pCi/l (picocurie na litr) w ciągu roku. W następnym roku w czasopiśmie *Science* B. Kahn opublikował wyniki pomiarów zawartości jodu 131 w mleku w Stanach Zjednoczonych, wskazując, że u krów przebywających

na otwartych pastwiskach stężenie jodu 131 wynosiło 270 pCi/1 mleka. Było więc dwukrotnie wyższe od dopuszczalnego”.

130 pCi/1 równa się 3,81 Bq, a owo ponad dwukrotne przekroczenie dawki wynosiło 9,00 Bq. Nie popadajmy we frustrację — obecna norma skażenia w Szwajcarii wynosi 100 Bq/1, a w tym kraju dobrze dbają o zdrowie obywateli. Tymczasem w komunikacie komisji rządowej z 14 maja stwierdzono, że „zanieczyszczenie mleka systematycznie obniża się i maksymalnie nie przekracza 500 Bq/1”. Jest również powołanie się na „normę”, ale *Przegląd Tygodniowy* z 11 maja napisał, jak w „potrzebie” zmieniono normę ze 100 do 1000 Bq/1. To po pierwsze. Po drugie — „norma” dopuszczalnej radioaktywności jest tym, czym „norma” przestępczości. „Norma” dla ludzi zawodowo mających do czynienia z radioaktywnością jest tym samym, co ryzyko zawodowe policjanta ścigającego przestępców, „norma” dla cywiliów — to przypadkowe ofiary terrorysty. Analogia oczywiście jest kulawa, jak wszelkie analogie, ale chyba precyzyjnie tłumaczy pojęcia z dziedziny atomistyki na pojęcia dostępne laikowi. W Paryżu (i świecie) pojawili się terroryści, którzy nie wybierają ofiar, jednakowo są narażeni wszyscy — niezależnie od wieku, płci czy stanowiska. Prawdopodobieństwo „trafienia” kogoś z nas jest takie, jak obawa, że zostanie porażony bombą podłożoną w paryskim metrze. Nie wolno jednak zwiększać tego prawdopodobieństwa przez masowe urządzenie wycieczek do Paryża, zwłaszcza — dzieci. W naszej sytuacji winniśmy robić wszystko, by to prawdopodobieństwo zmniejszyć.

Przy naszych zakwaszonych glebach, kiedy od dziesięcioleci nie wykonuje się koniecznych zabiegów wapnowania, rośliny tym szybciej wysysają radioaktywny stront z gleby. Najskuteczniejszym zabiegiem profilaktycznym byłoby masowe zwapnowanie wszystkich gleb, które tego wymagają już nadchodzącej jesieni. To prawda — koszt tego zabiegu, jak i dalsze ograniczenie spożycia mleka i warzyw przez dzieci, jest olbrzymi. Ale tego wymaga ostrożność zwykła, a co dopiero — jak nas przez wszystkie dni zapewniano — „nadmierna”.

W sytuacji zagrożenia jednym z najważniejszych czynników jest uniknięcie paniki i zachowanie zimnej krwi. Paniki uniknęliśmy, ale zasługi za to na konto komisji rządowej bym nie zapisywał. Z oficjalnych komunikatów można ułożyć księgę sprzeczności i niejasności. To sobie darujmy. Nie można jednak wybaczyć traktowania ludzkich obaw w sposób lekceważący, pogardliwy, przerabiania dramatu na bulwarową groteskę. Nie wolno było lekarzowi (nawet na wysokim stanowisku) zbywać normalnych, ludzkich obaw o chorobę popromienną określeniem „hipochondrii”. Trzeba było spokojnie wyjaśniać, że to pojęcie z zupełnie

innej sytuacji, że nawet w Windscale ta choroba nie wystąpiła wśród ludności „cywilnej”, że mdłości mogły wystąpić wskutek zanieczyszczenia wody pitnej lub kolejnej fuszerki mleczarzy — mało to razy w naszym kraju się zdarzało? Sam wielokrotnie wielu ludziom tłumaczyłem, że swędzenie skóry i pieczenie spojówek nie mają nic wspólnego z radioaktywnością, że jeśli coś takiego wystąpiło u większej grupy ludzi, to spowodowane było najpewniej dymami, dwutlenkiem siarki i tlenkami azotu z Siekierok, Huty Warszawa, Żerania. W dusznej, wilgotnej atmosferze gazy te tworzą „kwaśny deszcz”, a on może spowodować rzeczywiście niemiłe sensacje. Oczywiście — wcześniej należało otwarcie mówić o zanieczyszczeniu powietrza nad Warszawą, wówczas wyjaśnienia łatwiej byłyby przyjmowane.

Trzeba będzie jeszcze długo, żmudnie i spokojnie wyjaśniać, sądzię zresztą, że niektóre autorytety już się do tego zadania nie będą nadawały. Najgorszą z metod postępowania jest w takich razach przemilczanie, zatajanie, bagatelizowanie. Przestrogi komisji rządowej, że „wszelkie informacje czy zalecenia wydawane przez inne źródła — osoby czy organizacje — są niekompetentne i podawane są wbrew interesom obywateli i kraju” na nic się nie zdadzą. Ludzie będą szukać informacji wiarygodnych, a że sąsiadka z tej samej klatki schodowej może być bardziej wiarygodnym informatorem od eksperta — to już kwestia z dziedziny psychologii społecznej, nie atomistyki.

Pytałem w pięć dni po zniesieniu ograniczeń na spożycie mleka i sałaty, jak w moim sklepie z zieleniną idzie interes. Trochę drgnęło — ale raczej dlatego, że ludzie są znużeni stałym ograniczaniem jadłospisu, aniżeli w wyniku ogłoszenia komunikatu urzędowego. Ja sam jadłbym sałatę bez ograniczeń, ale nie mogę ze względu na dzieci — nie wolno ich drażnić, nakładając tylko na nie ograniczenia. Dorośli w ogóle mogą (i mogli) być spokojni. Skutki, jeśli przyjdą, to tak późno, że ja np. nie odróżnię, czym moje zejście jest spowodowane — jedzeniem „promieniotwórczej” sałaty czy też papierosami i pisaniem po nocach. Inna sprawa, gdy chodzi o dzieci.

Jeszcze raz zacytuję dr. Jaworowskiego:

„Napromieniowanie w ciągu dłuższego czasu stosunkowo dużą dawką 1 rada dziennie lub 100 radów jednorazowo powoduje niewątpliwie skrócenie życia. Nie zbadano natomiast bliżej skutków dawek małych, takich jakie człowiek otrzymuje np. z naturalnych źródeł promieniowania. Dziś przyjmuje się, że przeciętne promieniowanie naturalne w 10-20 % jest przyczyną starzenia się organizmu, przy czym odsetek ten zwiększa się wraz ze wzrostem promieniowania (np. na dużych wysokościach)”.

Od czasu wydania przez dr. Jaworowskiego książki sytuacja

w tej dziedzinie niewiele się zmieniła — skutki małych dawk dla bardzo dużych grup ludności ciągle nie są znane. Zostańmy więc przy naszych ustaleniach: nieszkodliwych dawek promieniowania nie ma; promieniowanie, jakiemu zostaliśmy ostatnio poddani i które nas jeszcze czeka nie daje podstaw do obaw; najlepszym sposobem zachowania dobrej kondycji społecznej jest jak najwięcej informacji — skoro dzieci rozumiały, dlaczego nie mogą jeść rzodkiewek, to dorośli rozumieją, jaka jest skala skażenia. Musimy też postulować, by nie zaniedbano żadnego środka zapobiegawczego — lekarz musi tu decydować przed finansistą.

W związku z powyższym mam prywatną prośbę do biskupa Domina: proszę póki co nie odwoływać i nie przeredagowywać swego komunikatu z 12 maja, zwłaszcza zaleceń:

- „W najbliższych tygodniach należy strzec dzieci przed:
  - pićm mleka od krów wypasanych świeżą trawą, czy pojo-nych deszczówką lub wodą z otwartych zbiorników,
  - spożywaniem świeżych jarzyn, owoców, lodów czy świe-żych jaj,
  - zabawą w piasku, na trawie, w kurzu ulicznym czy kąpielą w wodach otwartych,
  - zbliżaniem się do wszelkich zwierząt”.

Leon BÓJKO

Powyższy tekst został zdjęty przez cenzurę i nie mógł się ukazać w *Przeglądzie Katolickim*. Drukujemy go bez wiedzy i zgody Autora.

## Notatki z Polski

(MAJ-CZERWIEC-LIPIEC)

Aresztowanie Zbigniewa Bujaka, X zjazd partii, lipcowa pseudoamnestia — każde z tych wydarzeń mogło istotnie zaważyć na sytuacji politycznej w Polsce. Tymczasem w ostatnich trzech miesiącach nie dało się zauważyć nic takiego, co świadczyłoby o zmianie układu sił między władzą a społeczeństwem, czy choćby stwarzało szansę takich zmian. Polski pat trwa, obie strony blokują się wzajemnie i na tym w zasadzie polega „normalizacja”.

Schwytanie najważniejszego człowieka w podziemiu oraz jego współpracowników Konrada Bielińskiego i Ewy Kulik było nie-

wątpliwym tryumfem władzy i tak też zostało przez nią zdyskontowane. Ogłoszeniu tego faktu towarzyszyła propagandowa wrzawa o ostatecznej likwidacji nielegalnych struktur, rozpuszczanie pogłosek o rozpracowaniu siatki organizacyjnej warszawskiego RKW oraz TTK, a także rozszyfrowaniu komputerowych zapisów znalezionych w mieszkaniu Bujaka. Wreszcie 12 czerwca w wyniku wielkiej „obławy” (27 rewizji) aresztowano w Warszawie sześć przypadkowych osób, które w komunikatach prasowych zostały określone jako „wchodzące w skład kierownictwa RKW” i których wpadka miała być rzekomo konsekwencją aresztowania Bujaka. Tymczasem pospiesznie zrobiony proces, który w zamierzeniu miał być pokazówką, okazał się całkowitym niewypałem: groźne oskarżenia na sali sądowej zostały wycofane i wszystkich (z jednym wyjątkiem) skazano na wyroki w zawieszeniu za posiadanie bibuły.

Dziś już można zaryzykować stwierdzenie, że ukrywające się osoby SB namierzyła zaledwie kilka dni przed aresztowaniem 31 maja i że mogło się ono wiązać z jej zwiększoną aktywnością przed planowanym na czerwiec wielkim zjazdem podziemnych i naziemnych działaczy „Solidarności” z całej Polski. Od mieszkańców obu domów na Górnym Mokotowie, gdzie mieszkali Bujak oraz Bieliński i Kulik, wiadomo, że bloki były otoczone sporymi siłami MO i SB, a zatrzymanych wyprowadzono w kajdankach. Akcja musiała być organizowana w pośpiechu, skoro początkowo nie założono nawet kotłów, a jedyne bezpośrednio związane z tą wpadką aresztowania dotknęły nie współpracowników, łączników czy pozostałych członków RKW, a wyłącznie gospodarzy mieszkań. Sankcja dla Henryka Wujca, zarzut przedstawiony Bronisławowi Geremkowi, przesłuchania Jacka Kuronia spowodowane zostały najprawdopodobniej znaną przy aresztowanych korespondencją.

Przeprowadzane niemal na oślep akcje policyjne nie przyniosły spodziewanych rezultatów, przed zjazdem PZPR nie dało się już uzyskać nic więcej i propaganda — tak rozhuśtana na początku czerwca — od połowy miesiąca zaczęła stopniowo przycichać. Kiedy zawiodły metody policyjne, spróbowano „środków politycznych”. Wiktor Kulerski i Jan Lityński otrzymali od władz propozycję ujawnienia się — bez żadnych warunków czy deklaracji i z gwarancją zachowania wolności.

Już w kilka dni po aresztowaniu Zbigniewa Bujaka okazało się, że i TTK i warszawskie RKW działają nadal. 6 czerwca odbyło się posiedzenie TTK z udziałem dwóch ukrywających się członków oraz przedstawicieli regionów: Gdańska, Małopolski, Mazowsza, Pomorza Zachodniego, Torunia-Bydgoszczy, Wielkopolski i Ziemi Łódzkiej, co było wyjątkowo szeroką reprezentacją podziemnej „Solidarności”. W oświadczeniu — podpisanym również przez Lecha Wałęsę — TTK — oddając hołd aresztowanemu przywódcy — zapowiedziała jednocześnie kontynuowanie swojej pracy. W dwa tygodnie później opublikowała obszerne opracowanie pt. „O poprawę warunków życia i pracy” i wezwała członków „Solidarności” do udziału w zapowiedzianych na wrzesień ak-

cyjach na rzecz podwyżek płac, bhp, zmian w ustawodawstwie pracy.

O sytuacji w warszawskim podziemiu czytamy w oświadczeniu RKW z 9 czerwca: „Mimo ciosu, jaki nas spotkał, RKW i struktury pomocnicze podjęły swoje działania. Sytuacja zmusiła nas do reorganizacji oraz spowodowała opóźnienia niektórych prac. Współpraca z innymi strukturami już jest lub w najbliższym czasie zostanie nawiązana. Do reprezentowania regionu Mazowsze w TKK upoważniony jest Wiktor Kulerski” (obok niego i Jana Lityńskiego w końcu lipca do składu RKW dokooptowano dwie osoby występujące pod pseudonimami). Wszystkie najważniejsze warszawskie struktury „Solidarności” — kilka międzyzakładowych oraz Ursusa, Huty Warszawa i FSO — wspólnie zapowiedziały kontynuowanie działalności.

Miarą tego, że funkcjonowanie podziemia nie zostało zakłócone jest ukazywanie się niezależnej prasy i wydawnictw książkowych — wychodzą one w normalnym rytmie. Odbyły się też — na większą nawet skalę niż w ubiegłych latach — solidarnościowe obchody rocznic Czerwca '56 w Poznaniu i Czerwca '76 w Radomiu i Ursusie. Związek okazał się również zdolny do organizowania akcji propagandowych. Po aresztowaniu Bujaka i przed zjazdem PZPR grupy ulotkowe rozrzuciły w Warszawie ponad 200 tysięcy ulotek. Dało o sobie znać również radio „Solidarności”: m.in. 9 czerwca podczas mundialowego meczu Francja-Węgry na fonii TV w Warszawie można było usłyszeć oświadczenie RKW Mazowsze.

W maju, czerwcu i lipcu Wrocław był widownią licznych spektakularnych akcji w obronie Władysława Frasyniuka (ulotki, transparenty, audycje radiowe, napisy na tramwajach itp.). Od 8 lipca każdego dnia w ruchliwych punktach miasta pojedynczo lub w grupach ustawiały się osoby z plakatami „Uwolnić Frasyniuka” i „Uwolnić politycznych” i stały aż do zatrzymania przez milicję (wszystkie postawiono przed kolegium i orzeczono grzywny, w jednym przypadku — 50 dni aresztu). Po tygodniu akcja została zawieszona do czasu wyjaśnienia, jaki zasięg będzie miała zapowiedziana amnestia.

W całym kraju w lipcu zbierane były podpisy pod listem zainicjowanym wspólnie przez intelektualistów i działaczy związkowych, apelujących o podejmowanie wszelkich możliwych form nacisku dla uwolnienia więźniów politycznych. „(...) Wyrażamy niepokój z powodu mnożących się w ostatnim czasie prób oczerziania w prasie, radiu i tv więźniów sumienia przez przypisywanie im niskich motywów działania i powiązań z obcymi wywiadami. Wyrażamy pełne zaufanie dla postawy obywatelskiej ostatnio uwięzionego Zbyszka Bujaka (...)” — pod taką deklaracją podpisało się do końca miesiąca ok. 30 tysięcy osób. To poparcie i solidarność z aresztowanym przywódcą związkowym manifestowane były już od pierwszych dni po feralnej sobocie. W niedzielę 1 czerwca w Gdańsku, Wrocławiu, Krakowie, Częstochowie tłumy wychodzące po mszy skandowały „Bujak, Bujak”, w Gdańsku przed kościołem św. Brygidy przemawiał Lech Wałęsa. W War-

szawie u św. Stanisława Kostki 9 czerwca, po mszy w intencji przewodniczącego regionu, skandowano nazwiska trojga aresztowanych, rozwinięty został transparent „Zbyszku, jesteśmy z tobą”.

Dopiero z perspektywy dwóch miesięcy można stwierdzić, że ludzie dość szybko otrząsnęli się z przygnębienia, jakie zapawało powszechnie po uwięzieniu Zbigniewa Bujaka. W pierwszych dniach reakcją bardzo wielu osób była rozpacz i poczucie beznadziejności. Zastanawiano się, czy dalsze istnienie TKK ma sens i jaka będzie podziemna „Solidarność” bez swego największego przywódcy. Nie ulega wątpliwości, że są to zasadne pytania: osoba Bujaka — obok Lecha Wałęsy — stanowiła rękojemną ciągłość kierownictwa Związku od czasu jego legalnego istnienia, a niekwestionowany autorytet bardziej niż formy organizacyjne utrzymywał jedność podziemia. Wraz z jego uwięzieniem ten etap bezpowrotnie się zakończył. Nadchodzący okres stawia przed TKK zadanie budowania swojej pozycji w sytuacji, gdy większość jej członków jest anonimowa, a występujący pod nazwiskami byli działaczami szczebla regionalnego. Jednocześnie szczególnie odpowiedzialność przypadnie teraz pozostającym na powierzchni działaczom znanym w skali ogólnokrajowej, od których oczekuje się wspierania TKK i większej aktywności.

Gorączkowa aktywność policji w pierwszej połowie czerwca, nastawiona na pomnożenie sukcesu z 31 maja i złapanie w „czynnie przedzjazdowym” kolejnych ważnych postaci podziemia, niepostrzeżenie przeszła w rutynową akcję prewencyjną. Jednak liczne kontrole samochodów, rewizje, przesłuchania nie przyniosły rezultatów większych niż np. w okresach przed wyborami czy ważnymi rocznicami. (W Warszawie jeszcze w przeddzień zjazdu SB przeprowadziła kilkanaście rewizji). W czasie jego trwania w mieście było aż gęsto od milicji, zwłaszcza w Śródmieściu; osoby pracujące w Pałacu Kultury, gdzie toczyły się obrady, otrzymały specjalne przepustki, prawie w całym centrum obowiązywał zakaz parkowania. Środki ostrożności były posunięte tak daleko, że delegatom w miejscu zakwaterowania założono podsłuchy (wiemy o aparatach podsłuchowych zainstalowanych we wszystkich pokojach hotelu „Polonia”, w całości oddanej na potrzeby zjazdu).

Przedzjazdowe wysiłki propagandowe wypadły blado, gdyż program tv zdominował Mundial (PRL wykupił wszystko, każdy mecz był transmitowany dwukrotnie), zresztą i tak społeczne zainteresowanie partyjnym konwentykłem było minimalne. Warto odnotować, że „Solidarność” podjęła próbę dotarcia do delegatów: wydana została adresowana do nich „Gazeta Zjazdowa”, w której znalazły się m.in. apel o współdziałanie w ratowaniu kraju, analiza stanu reformy gospodarczej, wreszcie materiał o odchodzeniu od zdobyczy IX zjazdu.

Sam zjazd nie przyniósł nic nowego, a jedynie przypieczętował to, co się już w partii dokonało. Obecność Gorbaczowa i



ton jego wystąpien był wyrazem pełnego poparcia dla Jaruzelskiego, który z rozgrywek wewnątrzpartyjnych wyszedł obronną ręką. Wynikiem X zjazdu było również zlikwidowanie pozostłości po IX zjeździe, kiedy to na fali posierpniowych zmian próbowano zdemokratyzować partię. Tak więc np. w wyborach na I sekretarza znowu na liście był tylko jeden kandydat i już nie bezpośrednio delegaci, lecz KC dokonywał jego wyboru. Rola etatowego aparatu, który po 13 grudnia 1981 zaczął odzyskiwać utracone pozycje, uległa dalszemu wzmocnieniu. Wystarczy popatrzeć, jak licznie był reprezentowany wśród delegatów (na 110 z Warszawy było 20 sekretarzy i wyższych funkcjonariuszy PZPR, 12 przedstawicieli MSW, 8 ministrów i wiceministrów) i w nowowybranych władzach (w skład KC weszło np. aż 26 pierwszych sekretarzy wojewódzkich).

Wszystko to mogłoby sprzyjać przyjęciu bardziej sztywnej linii, jednak ani na zjeździe, ani po nim takie tendencje się nie uwidoczniły. W wystąpieniu Jaruzelskiego żadna istotna kwestia nie została przesądzona ostatecznie. Nawet w sprawie tak kluczowej jak reforma gospodarcza nie ustalono jednolitego kierunku: w referacie programowym Jaruzelski mówił o przyspieszeniu reformy w jej obecnym kształcie, natomiast premier Messner forował głównie tworzenie wielkich struktur gospodarczych. Akcentów antysolidarnościowych było stosunkowo mało i — w porównaniu z wcześniejszym wywiadem gen. Kiszczaka z *Polityki* czy wynurzeniami wiceministra MSW gen. Pożogi w *Rzeczypospolitej* — sprawiały one wrażenie raczej rytualnych zakłęb niż zapowiedzi ostrzejszego kursu. Tak ważki problem, jak stosunki państwo - Kościół został całkowicie przemilczany w dyskusji zjazdowej — delegaci musieli otrzymać taką instrukcję, skoro w żadnym z kilkudziesięciu wystąpień nie było ani słowa na ten temat. W sumie referaty i dyskusja zjazdowa nie określiły żadnego kierunku na przyszłość, pozostawiając ekipie Jaruzelskiego możliwość poszukiwania otwarc w różne strony.



Zdawało się, że takim otwarciem może być amnestia, zapowiadana przecież we wstępnym referacie I sekretarza. Obiecywano ją od dawna, zwłaszcza na użytek zagranicy, w nadziei na zyski polityczne i kredyty. Gdy jednak ogłoszono uchwaloną 17 lipca przez sejm ustawę „o szczególnym postępowaniu wobec sprawców niektórych przestępstw” okazało się, że bynajmniej nie jest to oczekiwana amnestia. Wyłączono bowiem duże sprawy polityczne, skrupulatnie wyliczając artykuły, z których więzieni są Frąsiniuk, Lis i Michnik; Bujak, Jedynek, Bielecki i Ewa Kulik; Borusewicz, Bieliński i Wujec; członkowie KPN i uczestnicy Ruchu „Wolność i Pokój”. Co więcej, ustawa ta w ogóle nie jest amnestią, ta bowiem winna szczegółowo określać, kogo obejmuje zbiorowy akt łaski, sądom dając wyłącznie uprawnienia wykonawczo-techniczne. Tymczasem tutaj decyzje o zwolnieniach w całości oddano prokuratorom — przepisy ustawy pozostawiają

im zupełnie wolną rękę. W ten sposób zagwarantowane konstytucyjnie dla Rady Państwa i sejmu prawo łaski sedowane zostało na organy ścigania.

Ustawa zaleca wypuszczanie osób, wobec których istnieją „podstawy uzasadniającego przypuszczenie, że sprawcy tych przestępstw włączą się do czynnego udziału w życiu kraju i nie powrócą na drogę przestępstwa”. Tak subiektywnie sformułowane kryterium zwalniania pozwala zatrzymać w więzieniu praktycznie każdego. Z drugiej strony władza pozostawiła sobie furtkę, umieszczając w ustawie przepis, który pozwala każdego zwolnić. Bowiem „w szczególnie uzasadnionych przypadkach” może to zrobić Sąd Najwyższy na wniosek prokuratora generalnego. Jest to wyraźna zachęta do „handlu żywym towarem”, niedwuznaczna zapowiedź gotowości do przetargów.

Do początku sierpnia z dobrodziejstwa ustawy skorzystało niewiele więźniów politycznych, a ze znaczących działaczy wyszedł z więzienia jedynie Bogdan Lis, który zresztą już w połowie czerwca mógł być wypuszczony po odbyciu dwóch trzecich kary i najprawdopodobniej został celowo przetrzymany, by potem Urban mógł mówić: „Zwolnienia będą miały zasięg szerszy, niż to przewidują zachodni dziennikarze” (konferencja prasowa dn. 29 lipca).

Władza nie potrafiła określić przed posiedzeniem sejmu, jaki ma być zasięg zwolnień. Posłowie nie mogli się połączyć, na co właściwie głosują, ponieważ rozdany im tekst ustawy ulegał jeszcze w ostatniej chwili kilkakrotnym zmianom, sformułowanym nie przez posłów, lecz poza sejmem. Z przecieków z ul. Wiejskiej wiadomo, że były kłopoty z wydrukowaniem uchwalonego już tekstu, gdyż aparat techniczny nie był się w stanie zorientować, które poprawki są aktualne, a które zostały w międzyczasie unieważnione. Minęły już dwa tygodnie od ogłoszenia ustawy, a władza wciąż jest niezdecydowana, kogo wypuścić, a kogo zatrzymać. Świadczy o tym również fakt, że w ostatniej chwili zostały odwołane trzy ważne procesy polityczne zapowiedziane na 29 lipca: Tadeusza Jedyńaka, Jana Borowca i Mariana Terleckiego. Widocznie i w tych przypadkach postanowiono grać na zwłokę.

Ustawę z 17 lipca od amnestii różni też i to, że w czasie jej przygotowywania i realizacji nie zaniechano spektakularnych poczynań represyjnych, choć zwykle był to okres swoistego zawieszenia broni. Tym razem słyssało się o rewizjach, zatrzymaniach i przesłuchaniach: na trzy dni przed uchwaleniem ustawy dostał sankcję Henryk Wujec, a 23 lipca przedstawiono zarzut Bronisławowi Geremkowi. Klimat polityczny tych dni był taki, iż Lech Wałęsa oświadczył dziennikarzom, że jego zdaniem zanosi się na wielki proces polityczny, w którym oskarżonymi byłiby ks. Janowski, Geremek, Mazowiecki, a może i on sam. Nie wydaje się to prawdopodobne, sądzić raczej należy, że stwarzanie przez władze atmosfery napięcia i zagrożenia służyć ma polepszeniu jej pozycji przetargowych.

## «Boże, pozwól, bym potrafił...»

Kiedy przed laty Jan Kelus śpiewał: „Boże, pozwól, bym potrafił, gdy ojczyzna mnie zawoła, zamiast piersi wypiąć dupę, bo ta nafta nie jest moja”, jego piosenka była głosem odosobnionym. Mit munduru funkcjonował w społeczeństwie w najlepsze. Legenda i tradycja spletały się ze skutecznym działaniem wojskowego aparatu propagandowego i jeszcze bardziej skutecznym rygiem wojskowej dyscypliny. Świadomość prostego i niczym nie osłoniętego faktu, iż wojsko stanowi najsilniejszy człon aparatu represji, który w razie konieczności może być skierowany przeciw społeczeństwu, mimo iż pozornie tak oczywista, była ze zbiorowej wyobraźni skutecznie wypierana. Gdy polscy chłopcy w zielonych mundurach wspólnie z odważnymi mołojcami udzielili bratniej pomocy zarażonej ideologiczną herezją Czechosłowacji, poczucie winy szybko utonęło w potoku dowcipów o „Pepikach”. Kiedy w grudniu 1970 roku kolejne pokolenie poborowych wsiadło do czołgów i transporterów, aby wprowadzać ład i spokój w miastach i stocznjach Wybrzeża, snuto domysły, że za stalowymi pancierzami i celownikami karabinów maszynowych siedzą Niemcy, Rosjanie, a w najgorszym razie poprzebierani w wojskowe mundury milicjanci. Podczas szesnastu miesięcy „Solidarności” rozważano nieustannie problem „wejda, nie wejda”, zapominając skrętnie o tysiącach Polaków poubieranych w polskie mundury i przetrzymywanych w koszarach. 13 grudnia udowodnił dobitnie, że wszystko, czego przez lata uczyli oficerowie polityczni o „wewnętrznej funkcji armii w państwie socjalistycznym” jest prawdą. Dopiero ten dowód sprawił, że masowo zaczęto się zmieniać nastawienie do munduru i służby wojskowej. Rezultaty badań socjologicznych wśród młodzieży (chłopcy w wieku 16-19 lat) z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych wskazywały na powszechną, sięgającą 90 % akceptację obowiązku służby wojskowej. Podobne badania przeprowadzone w roku 1984 wykazały, że pozytywnie o konieczności służby wojskowej wypowiada się 47 % młodzieży, zaś co czwarty uczeń odnosi się negatywnie do czekającej go w niedalekiej przyszłości służby.

Te zmiany o szerokiej skali społecznej każą ze szczególną uwagą przyjrzeć się nowemu zjawisku w łonie polskiej opozycji, jakim jest ruch pacyfistyczny pod nazwą „Wolność i Pokój”. W szeregach polskich pacyfistów znalazła swoje miejsce ta część demokratycznej opozycji, która w latach siedemdziesiątych uzewnętrzniała swoje istnienie w Studenckich Komitetach Solidarności a w latach 1980-1981 znalazła się w znacznej mierze w szeregach Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Nie chodzi tu jedynie o to, że wśród sygnatariuszy dokumentów ruchu pokojowego i represjonowanych jego działaczy znajdują się dawni działacze SKS i NZS. Równie ważny, a nawet ważniejszy jest fakt, że ludzie

ci, których można uznać za swego rodzaju formację pokoleniową, wypracowali w rezultacie zdobytych doświadczeń własną i oryginalną na gruncie powojennej opozycji koncepcję ideową. W pewnej mierze jest ona odpowiedzią na ożywienie ruchów pacyfistycznych w Europie Zachodniej. Po części zapewne stanowi też świadectwo zmiany stylu myślenia politycznego i społecznego, jaka dokonana się w Polsce na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Analizował ją ciekawie i szczegółowo Adam Zagajewski, wystarczy więc przypomnieć jego główną tezę, która w uproszczeniu da się streścić w sformułowaniu, że „rząd dusz” w Polsce z rąk „szyderców” przeszedł w ręce „moralistów”. Kierunek tej zmiany dość dobrze wskazuje ewolucja pisarstwa Adama Michnika, który w swych ostatnich szkicach zajmuje się postawami „niezłomnych”.

Aby uwagi te nie były gołosłowne, przytoczmy kilka sformułowań z dokumentów ruchu „Wolność i Pokój”. W deklaracji założycielskiej ruchu, podpisanej w Krakowie 14 kwietnia 1985 roku czytamy, iż podstawowym celem jego działania jest „propagowanie i pozyskiwanie jak największych rzesz Polaków dla prawdziwej, niczym nie zafałszowanej idei pokoju”. Dalej, w tym samym dokumencie jego sygnatariusze deklarują, iż wobec powszechnej instrumentalizacji słowa „pokój”, która sprawia, „że dla coraz większych rzesz ludzkich — także w Polsce — intencje każdego wypowiadającego słowo 'pokój' stają się moralnie podejrzane, a politycznie obce”, pragną „przywrócić moralną i polityczną wartość działalności na rzecz pokoju”. „Warunkiem zaistnienia pokoju w życiu politycznym państw i narodów jest skuteczne zagwarantowanie wszystkim ludziom wolności osobistej”.

Deklaracja ideowa ruchu sygnowana datą 17 listopada 1985 r. i symboliczną nazwą miejscowości Machowa k. Tarnowa, gdzie znajduje się grób dziewiętnastoletniego Austriaka Otto Schimka, żołnierza Wehrmachtu, który został rozstrzelany za odmowę wykonania rozkazu udziału w egzekucji — i którego można uznać za duchowego patrona polskich pacyfistów, zawiera rozwinięcie deklaracji założycielskiej. Określone w tym dokumencie zostały m.in. podstawy ideowe działań ruchu. Są to: 1) „walka o prawa obywatelskie, wolność religijną i niepodległość narodową”, 2) walka z zagrożeniem nuklearnym, militarystycznym i militarystycznym wychowaniem, które to zagrożenia dla ludzkości są w Polsce dość często bagatelizowane, 3) popularyzacja wiedzy, która może ułatwić człowiekowi „odnalezienie sensu życia i swego miejsca w świecie”. Źródła tej wiedzy to „etyka chrześcijańska, psychologia humanistyczna, filozofia Wschodu i inne kierunki myśli ludzkiej, traktujące człowieka podmiotowo”.

Symbolicznym niemal wyrazem tkwiącego głęboko u podstaw aktywności ruchu „Wolność i Pokój” dążenia do przywracania znaczeń słowom zakłamanym i wprzęgniętym w wielostopniową hierarchię zniewolenia — jest sprawa przysięgi wojskowej. Ten ceremoniał, od lat obecny w życiu młodych Polaków płci męskiej i ich rodzin, a zatem niemal całego społeczeństwa, wiąże się z koniecznością wypowiedzenia takich oto słów: „Przysięgam

strzec niezłomnie wolności, niepodległości i granic PRL przed zakusami imperializmu, stać nieugięte na straży pokoju w braterskim przymierzu z Armią Radziecką i innymi sojuszniczymi armiami...". Akt odmowy złożenia takiej właśnie przysięgi przez Marka Adamkiewicza, który ściągnął na niego represję i wyrok więzienia, stał się zarazem początkiem działań polskich pacyfistów, którzy podjęli akcję w obronie aresztowanego.

Słowa i czyny działaczy ruchu „Wolność i Pokój” mają jednak nie tylko wymowę symboliczną i moralną. Mają, podobnie jak sam fakt zaistnienia tego ruchu, konkretną i niebagatelną wymowę polityczną. Przede wszystkim naruszają ostatnie tabu systemu, które pozostawało nietknięte przez całe dziesięciolecie — wojsko. W dziejach PRL opadały kolejne zasłony, łamane były kolejne zmywy milczenia — marksizm przestał być świętością, represje bezpieki przestały być tajemnicą, korupcja i niekompetencja aparatu partyjnego i administracji zostały obnażone, wielokrotnie ukazały swe wykrzywione oblicze propagandowe kłamstwa. Wojsko — instytucja potężna i znana niemal w każdej rodzinie — było traktowane zawsze trochę odmiennie. Przypomnieć wystarczy wypowiedziane dość powszechnie nadzieje związane z premierostwem Jaruzelskiego oraz sławny i osławiony list Wałęsy do tegoż Jaruzelskiego podpisany „kapral Wałęsa”. Jeżeli stan wojenny zmienił w poważnym stopniu stosunek młodzieży do obowiązków wojskowego, tym ważniejsze jest, że wśród opozycji ukształtowała się formacja ideowa, która sprawy militaryzacji stawia w centrum swych działań. Tym samym z komunistycznego molocha zdjęto ostatnią zasłonę. Uwięzieni działacze ruchu pacyfistycznego (za odmowę pełnienia służby wojskowej — Wojciech Jankowski, za odmowę złożenia przysięgi — Marek Adamkiewicz, Tomasz Wacka, Jarosław Wojewódzki, za obronę uwięzionych kolegów i działalność w ruchu „Wolność i Pokój” — Jacek Czaputowicz, Piotr Niemczyk, Andrzej Misk, Grzegorz Surdy) swoją postawą dają świadectwo nieustępliwości w walce, jednocześnie zaś płacą więzieniem za uderzenie w ostatnie nietknięte *residuum* komunistycznego kłamstwa.

Fakt istnienia ruchu pacyfistycznego w Polsce i represjonowanie jego działaczy (podobnie jak istnienie podobnych ruchów w Niemczech Wschodnich, na Węgrzech i w Związku Sowieckim) stanowi też wyzwanie dla zachodnich ruchów pacyfistycznych i utrudnia w pewnej przynajmniej mierze ich instrumentalizację przez Rosjan. Gesty sympatii ze strony zachodnich pacyfistów, zmiana niektórych sformułowań w dokumentach przez nich ogłaszanych (dostrzeganie ogólnoeuropejskiego a nie tylko zachodnioeuropejskiego wymiaru problemu zbrojeń i rozbrojenia), manifestacje (niedawna demonstracja siedmiu obywateli państw zachodnich, w tym deputowanych do parlamentu włoskiego z ramienia partii radykalnej, pod Pałacem Kultury w trakcie obrad zjazdu polskiej partii komunistycznej) — wszystkie te zjawiska wskazują na to, że polski ruch pacyfistyczny może być czynnikiem w ewolucji oblicza ideowego zachodnich ruchów pacyfistycznych.

Pozostają oczywiście liczne pytania. Na ile ruch „Wolność i Pokój” będzie w stanie przetrzymać falę represji? Wydaje się, że władze zdecydowane są prowadzić z nim ostrą walkę. Odpowiedź na to pytanie będzie zależeć po części od wytrwałości samych działaczy, po części od tego, czy ich idee znajdą szerszy oddźwięk w społeczeństwie i spotkają się z jego strony z poparciem. Wiele może również zależeć od stanowiska Kościoła. Przykład Niemiec Wschodnich i Węgier dowodzi, iż poparcie ze strony Kościoła stanowi bardzo istotną pomoc dla pacyfistów w krajach komunistycznych. Najistotniejszy może tu być akt moralnego poparcia, dowód, że pokojowe nauczanie Papieża znajduje swoje odzwierciedlenie w nauczaniu i życiu Kościoła w Polsce. Jak dotąd wypada odnotować jedynie gościnę, jakiej dwukrotnie (w marcu 1985 i w marcu 1986) udzielił głodującym pacyfistom ks. Leon Kantorski w kościele w Podkowie Leśnej. Stanowisko Kościoła wydaje się tym bardziej istotne, że zagadnienie służby wojskowej kleryków było już wielokrotnie przedmiotem sporów między władzami państwowymi a hierarchią kościelną. Podobnie jak sprawa budownictwa kościelnego czy projekt Fundacji Rolnej może być ono wykorzystywane jako narzędzie szantażu ze strony komunistów.

Sporo zależeć też może od reakcji zachodniej opinii publicznej, pacyfistów i nie tylko ich. Moralne poparcie może tu przybrać rozmaite polityczne formy i w konsekwencji okazać się również istotne dla Polski, jak i dla Zachodu.

Najbliższa przyszłość pokaże, w jakim kierunku potoczą się losy polskich pacyfistów, nieco odleglejsza przyniesie odpowiedź na pytanie o ich ideowe i polityczne oddziaływanie. Na dziś wypada stwierdzić, że niezbyt przyzwolita modlitwa Kelusa została wysłuchana. Znaleźli się w Polsce ludzie, którzy odważnie powiedzieli „nie” w sytuacji, w której dotąd wszyscy składali palce na krzyż i powtarzali słowa przysięgi. Zawsze ktoś musi po raz pierwszy powiedzieć „nie”.

Michał OSTROWSKI

## Sami sobie

ROZMOWA Z DZIAŁACZAMI NSZZ „SOLIDARNOŚĆ” URSUS

REDAKCJA: — Na 16 tysięcy złotych ok. 1.500 osób płaci składki. Czy chętnie?

DZIAŁACZ 1: — Różnie. U nas płacą ci, którzy naprawdę wierzą w związek, są mu szczerze oddani.

DZIAŁACZ 2: — Ja myślę, że sporo jest jeszcze takich, którzy by płacili, tylko nie wiedzą komu. Zwłaszcza tam, gdzie wykruszył się dotychczasowy skarbnik i nie ma takiego, który by wzbudził zaufanie.

DZIAŁACZ 3: — Tak, ludzie się wykuszają. Niektórzy mówią tak: ja tu będę chodził, będę zbierał, będę się prasą interesował, a ja nie mam czasu, a ja wolę iść sobie dorobić. No, bo wiadomo — pieniędzy nie ma.

D—1: — Na to kobiety nalegają. Mówią: zobacz, ten tyle zarobił, po godzinach zostawał, a ty latasz, bo ty zbierasz. Ja mówię — pół roku, rok to ludzie robili chętnie. Ale to już tyle trwa i wciąż to samo, i wciąż to samo...

D—2: — Ja nie wiem, czy to nie jest wynikiem tego, że nie ma takich znowu perspektyw. Po prostu ludzie nie czują bliższych skutków swojego oddziaływania.

D—1: — To fakt, ludzie nie czują efektów swojej pracy. Nie widzą, żeby ktoś powiedział: tyś dobrze zrobił... Nie widać efektów czy tu w regionie, czy gdzie. Bo my mamy tak: zbiórkę, prasę, zbiórkę, prasę.

RED.: — *Czyli innymi słowy obrona idei związku to miłość całkowicie bezinteresowna?*

D—3: — Po prostu sytuacja jest taka, że nie Kochamy komunę i wszystko robimy przeciwko niej.

DZIAŁACZ 4: — Każdemu sprawia przyjemność i to dużą, jak czerwonemu na złość zrobi. Wymaluje się ścianę, zamalują, ale i tak napis wyjdzie, bo czerwony. Albo: ulotki latają. Ludzie mówią: zobacz, czerwony zbiera ulotki. To satysfakcja. Czy na ten przykład porucznik stoi pod blokiem i pilnuje, żeby ulotki nie leciały. A tu bach! Paka ulotek jemu na głowę... Zbiera.

## SAMOTNOŚĆ DZIAŁACZA

RED.: — *A czego oczekiwaliście od związku?*

D—3: — Czekamy na przebudzenie przywódców naszych. Ludzie myślą, że już ich w ogóle w kraju nie ma. O Bujaku w ogóle zapomnieli, a Wałęsa traci autorytet, mit przywódcy...

RED.: — *A na czym miałyby polegać to przebudzenie?*

D—2: — Cały problem polega chyba na tym, że ludzie w zakładach czekają, żeby ta góra powiedziała, jak oni mają w tym zakładzie działać.

D—1: — A góra czeka: jak dół zacznie, to my pomożemy.

D—3: — Teraz przykładowo sprawa przed tymi podwyżkami (z marca, — dop. Red.). No, przecież wiadomo było już od kilku dni. I żadnego oświadczenia. RKW się w poniedziałek obudziło i wydało komunikat, który dotarł we wtorek. Czytałem ten komunikat — zupełnie bez sensu. Był całkowicie beznadziejny, bo to już po czasie. I jak zawsze: walczenie o dodatek drożyzniany. Od '80 roku walczymy o to cały czas...

D—4: — Trudno w tej chwili powiedzieć, czego oczekujemy. Najlepiej by było, żeby Bujak przyjechał na stadion do Ursusa i załódze powiedział... Wtedy każdy by się podbudował: jest Zbyszek, idziemy z nim i walczymy!

D—1: — To jest pomysł. Nie musi być tam Zbyszek...

RED.: — *A gdyby puszczone przemówienie Bujaka z magnetofonu?*

D—1: — Nagrane przemówienie? Nie.

D—3: — Dlaczego nie przyjdą? Przyjdą.

RED.: — *A jak sądzicie, co by było, gdyby Lechu przyjechał?*

D—2: — Ale on mówi, że ma tyle zakładów, gdzie jest o wiele gorzej.

D—1: — Jednak to by było bardzo ważne. Na przykład, żeby na którejs mszy pokazał się któryś z naszych przywódców. Żeby było widać jakieś zainteresowanie tej góry. Tak odczuwa ten na dole związkowiec i ja tak samo. Że my tu sobie sami, sami sobie grzebiemy. Do Zbyszka nie mamy dojścia, do Lecha nie mamy dojścia. Sami sobie.

## ZARABIANIE PIENIĘDZY

RED.: — *A poza tym? Czego jeszcze oczekujecie od związku?*

D—1: — Przydałoby się jakieś zbiorowe spotkanie, żeby ludzie wiedzieli, że coś się dzieje. Spotkanie między zakładami.

D—2: — Gdyby KIK organizował jakie wczasy... No, pod patronatem KIK-u. Jakies wczasy dla rodzin, czy co. Mniej odpłatne, oczywiście. Po kilka rodzin z różnych zakładów, z różnych miejscowości. W czerwcu ci, w lipcu tamci. My w swoim zakładzie tego zrobić nie możemy, zbyt szczupłą kasę mamy.

D—4: — Można by jakiś PTTK założyć, np. przy kościele, czy gdzie...

D—3: — Chodzi przede wszystkim o to, żeby była nas grupa.

D—1: — No dobra, byłoby do załatwienia takie coś, ale skąd pieniądze? Bo takie wczasy kosztują.

RED.: — *Znowu pieniądze... Najwyraźniej my, jako Związek, nie nauczyliśmy się zarabiać. Ciągłe krążymy wokół „co łaska”: co łaska ze składek, co łaska z Regionu, co łaska z kościoła. A nikomu nie przychodzi do głowy, jak zarabiać.*

D—4: — Mnie się wydaje, że właśnie dlatego, że jesteśmy w tej piwnicy, to nie możemy zarabiać. Zarabianie, to jest pieniądz, a pieniądz musi być kontrolowany.

D—1: — Można robić cegiełki, znaczki, ale do tego potrzebne są własne maszyny, bo inaczej, to trzeba komuś zlecać, a wtedy trzeba płacić...

RED.: — *Ale można też w inny sposób. Na przykład można założyć jakiś mały warsztat.*

D—3: — Nikt na to nie pójdzie. Taki zakład trzeba zarejestrować, płacić podatki.

D—2: — Eee, to tylko w wyobraźni, na to nas nie stać.

D—4: — Można by zakład stolarski...

D—3: — Ale ten człowiek, który by miał coś takiego prowadzić, to by na to nie poszedł. Bo jeśli on pracuje, to on automatycznie chce zarabiać. Zarabiasz, powiedzmy 50 tys., a dostajesz tylko 30...

RED.: — *Trzeba by było takiego człowieka oddelegować. Dać mu na przykład 10 tys. więcej, niż ma w fabryce, ale oczywiście musiałby być to ktoś odpowiedzialny. Taki zakład byłby zakładem związkowym.*

D—3: — A kto zagwarantuje? Bo trzeba wziąć na siebie taki zakład. I ten człowiek może potem powiedzieć — to jest moje. Czego wy chcecie ode mnie?

RED.: — *Wsad finansowy TKZ-tu byłby przecież pożyczką gwarantowaną prawnie... Zresztą, w tym wszystkim chodzi głównie o to, żeby szukać nowych dróg. Nie tylko zarabiania, ale i działania. Jest takie stare powiedzenie: kto nie idzie do przodu, ten się cofa. A nasz Związek nie może pozwolić sobie na cofanie się. Choćby o milimetr.*

SAMORZĄDNA RZECZPOSPOLITA z 12 maja 1986. nr 24.

**KSIĘGARNIA POLSKA W PARYŻU**  
123, Bld Saint-Germain, 75006 Paris,  
Telefon: 43-26-04-42.

**JANUSZ RAKOWSKI**

**„Z PIÓREM W MUNDURZE”**  
Francja-Szwajcaria 1940-1946.

Dzieje 2 Dywizji Strzelców Pieszych.

Autentyczny pamiętnik pisany w miejscach postoju  
w czasie wojny i na internowaniu.

Stron 240. — Liczne fotografie. — Cena 70 FF.

## Sąsiedzi

### Smutne sprawy w Wilnie

Jest rzeczą interesującą, że Polacy w ZSSR jedynie na Litwie (która, gdy chodzi o liczebność etnicznej grupy polskiej, stoi na trzecim miejscu po Białorusi i Ukrainie) — posiadają pewne, ograniczone zresztą, możliwości zachowania swej kultury, jakkolwiek w jej ludowej tylko formie. Istnieją one w dziedzinie życia religijnego, folkloru, prasy i szkolnictwa. I tak istnieje tu ok. 90 szkół czy klas z polskim językiem wykładowym (szkoły początkowe, ośmioklasowe i średnie), Polski Instytut Pedagogiczny na Uniwersytecie, będący sekcją filologii polskiej, kształcący nauczycieli (kilkanaście osób rocznie), kilka zespołów pieśni i tańca (najważniejszymi są: „Wilia”, istniejąca od 1955 roku i „Wileńszczyzna” od roku 1980) oraz dziennik *Czerwony Sztandar*, będący organem KC KP Litwy.

Szkolnictwo polskie cierpi od lat na brak pomocy naukowych i ciągle się kurczy ze względu na to, iż nie ma należytego dopływu dzieci do klas podstawowych. Zespoły pieśni i tańca, bardzo zasłużone i popularne, borykają się z dużymi trudnościami w zdobywaniu drogich, polskich strojów ludowych i stoją poświęceniem kilku kierujących nimi osób. *Czerwony Sztandar*, martwy zupełnie, gdy chodzi o część urzędową, spełnia jednak pozytywną rolę przez swoją część poświęconą informacjom z terytorium i artykułom historycznym — zresztą rzadkim.

Przejawem polskości, mającym najszerszy zasięg, jest duszpasterstwo, które z całkowicie niegdyś polskiego stało się w ciągu ubiegłych kilkunastu lat, w przeważającej mierze polskojęzyczne jedynie. Lecz i w tej formie nawet ciągle się ono kurczy. I nad tą sprawą głównie chciałbym się tu zatrzymać. Pojawili się bowiem w tej dziedzinie bolesne problemy, których dłużej nie można pomijać milczeniem. Zanim do nich przejdę chciałbym podać dane liczbowe dotyczące kilku głównych grup ludności zamieszkujących Wilno. W ciągu ostatnich 27 lat ulegały one następującym zmianom\*.

\* Por. A. Matulas, *Wilnius dzisiaj*. Kaunas 1985, str. 12.

Narodowość	1959 w %	1970 w %	1979 w %
Litwini .....	33,6	42,8	47,3
Rosjanie .....	29,4	24,5	22,2
Polacy .....	20,2	18,3	18,0
Białorusini .....	6,2	6,5	6,4
Inne narodowości .....	10,8	7,9	6,1
Ogólna liczba ludności Wilna w tys. ....	443	544	620

Pomijam tu analizę i komentarz tego zestawienia, gdyż chodzi mi jedynie o ukazanie faktu, nieznanego ogółowi Polaków w kraju i za granicą, że samo tylko Wilno zamieszkuje obecnie, według oficjalnych danych sowieckich, ponad 100 tysięcy Polaków, nie licząc tych, którzy są zapisani jako Litwini, czy Białorusini, lecz należą do polskiej grupy narodowościowej językowo i kulturalnie. Warto dodać, że jakkolwiek ich procent w stosunku do ogółu ludności Wilna ciągle maleje, to jednak liczba bezwzględnie Polaków nie maleje, lecz wzrasta.

Tadeusz Konwicky nazwał niegdyś Wilno — mając na myśli przede wszystkim Polaków i Litwinów — „wspólnym ogniskiem”. Podobną myśl można odnaleźć w tym co pisał przed laty w *Kulturze* na temat Wilna Litwin, Tomasz Venclowa. To określenie w najgłębszym duchowym sensie można by odnieść do Ostrej Bramy, stanowiącej wspólne sanktuarium religijne o nieocenionym wprost znaczeniu. Dlatego tym bardziej przykre i bolesne są fakty, wskazujące na dążenia niektórych duchownych litewskich do usunięcia z tego miejsca języka polskiego oraz widomej obecności Polaków i zamienienia go na wyłącznie litewskojęzyczne miejsce kultu.

Delikatne i stopniowe, lecz bardzo konsekwentne ograniczanie zasięgu języka polskiego na nabożeństwach odprawianych w kaplicy Cudownego Obrazu Matki Boskiej w Ostrej Bramie stało się widoczne od kilkunastu już lat. Polacy odczuwali to w sposób bardzo przykry, lecz nie mając żadnej instytucji odwoławczej, w milczeniu się z tym godzili. Ostatnio jednak, w ciągu ubiegłego, z górą, roku, przybrały one charakter tak raziący i raniący uczucia religijne ludzi, że nie można dłużej ich przemilczać. Ponieważ tego rodzaju oskarżenia nie mogą być gołosłowne należy podać nazwiska. Otóż zaczęły się one od chwili, gdy stanowisko jednego z dwu wikariuszy parafii św. Teresy (Ostra Brama) objął ks. Kazys Meilius (ur. w 1958 roku) i dotyczą różnych dziedzin jego pracy.

I tak, spowiadający się u niego Polacy słyszą odpowiedzi w języku litewskim. Gdy mówią, że nie rozumieją po litewsku, pada odpowiedź w języku polskim: „Jak nie rozumiesz po litewsku, to jedź spowiadać się do Warszawy”. Polacy z Białorusi, którzy

bardzo często przyjeżdżają do Wilna dla spełnienia praktyk religijnych i udają się do Ostrej Bramy, by zamawiać tu msze św. — na prośbę w języku polskim słyszą odpowiedź po litewsku. Gdy zdziwieni mówią, że nie rozumieją, pada odpowiedź w języku polskim: „Jak się przez tyle lat nie nauczyliście po litewsku, to jedźcie do Polski”. Odchodzą z bolesnym urazem. Bo zmuszeni mówić u siebie w urzędach po rosyjsku, tu przynajmniej chcieli wypowiedzieć się po polsku. W obecności ks. Meiliusa nie można również odzywać się po polsku bez narażenia się na przykrości. Dotyczy to nawet tych osób, które całe życie ofiarnie służyły pomocą w parafii i których taka postawa księdza szczególnie rani i zraża.

Fakty, o których tu mowa mają już charakter nagminny i były powodem skarg kierowanych do wieloletniego proboszcza w Ostrej Bramie, Ks. Prałata Algirdasa Gutauskasa (Olgiard Gutowski), obecnego Administratora Apostolskiego Archidiecezji Wileńskiej, wobec którego Polacy nie mają zarzutów. Odwołania i skargi pozostały jednak bezskuteczne. Tak było również w wypadku zlikwidowania występującego w Ostrej Bramie polskiego chóru młodzieżowego, który uświetniał nabożeństwa polskie.

Przykrości nie omijają Polaków także w kościele św. Ducha, jedynym, w którym nabożeństwa odprawia się wyłącznie w języku polskim. Ich źródłem jest postawa ks. Wacława Aliulisa, który najpierw w 1985 roku, a następnie w roku bieżącym (1986) został przydzielony do pomocy proboszczowi polskiemu. Jedną z metod nawracania Polaków na litewskość jest stosowane przez niego wpisywanie do ksiąg chrzcielnych — bez zgody rodziców i ku ich przykremu zaskoczeniu — litewskich imion chrzczonych dzieci (Jurgis zamiast Jerzy, Antanas zamiast Antoni, Marite zamiast Maria itp.), jakkolwiek przy chrzcie były one wymawiane w brzmieniu polskim.

Na z górą 40 parafii polskich wokół Wilna, jeszcze tylko 8 obsadzonych jest przez księży Polaków. Pozostałe objęli młodszy księża litewscy. Przy ich słabej zwykłe, a niekiedy żadnej, znajomości języka polskiego, jest to dla ludności polskiej bardzo ciężka próba wiary. A przecież Polacy stanowią — według polskiej i litewskiej opinii — najbardziej ofiarną część wiernych. Niezwiązani, w przeciwieństwie do Litwinów, z aparatem administracji i władzy, nie obawiają się, tak, jak ci ostatni, utraty stanowisk, czy narażenia się na przykrości. W sporach z władzami oni też wysuwani są przez Litwinów na pierwsze miejsce.

W ogłoszeniach wywieszanych na drzwiach kościołów w Wilnie można było w latach siedemdziesiątych (być może i obecnie) czytać charakterystyczne informacje: „Nabożeństwo dla ludności mówiącej po polsku”... itd. Był to wyraz znanej nie od dziś opinii niemałej części kilku już pokoleń duchowieństwa litewskiego, że ludność polska na Litwie to jedynie spolszczeni Litwini, którzy powinni wrócić do litewskość. Opinia ta jest ideowym uzasadnieniem ograniczeń językowych, tak boleśnie dotykających obecnie Polaków na Litwie na terenie kościelnym. Nie służą one ani

Litwie, ani Kościołowi katolickiemu. Przeciwnie, przynoszą wielką i nierzadko niepowetowaną stratę.

Nie można tu pominąć innych przykładów usuwania dowodów polskości, dotyczących takiej instytucji religijnej, jaką są dawne cmentarze wileńskie. Otóż w ostatnich latach ogromnie wzrosła liczba przypadków niszczenia nagrobków z napisami polskimi. To samo dotyczy cmentarza ewangelickiego na Pohulance na historycznym cmentarzu Rossa. Płyty marmurowe i inne, często o wartości historycznej, są wywożone przez niezanych sprawców, rozbijane, polewane żrącymi płynami, które powodują ich zniszczenie się i zacieranie napisów w języku polskim. Łatwo dostrzec, iż chodzi tu o planowe działanie mające na celu zacieranie śladów kultury polskiej w Wilnie, zacieranie w tym wypadku barbarzyńskie, na wzór sowiecki. Władze patrzą na to przez palce. W maju ub. roku *Czerwony Sztandar* wileński opublikował na ten temat artykuł pt. „W obronie zabytków”, lecz pozostało to bez echa, podobnie, jak i kilka listów do redakcji w tej samej sprawie.

Trudno jest pisać o wymienionych wyżej faktach. Lecz też nie można o nich milczeć właśnie dlatego, że w interesie Litwinów i Polaków leży zrozumienie wzajemne i przyjaźń. Nie można jej jednak budować na przemilczaniu tego co w nią uderza i służy wzbudzaniu wrogości. Bo choć jest to dziełem ludzi o ograniczonych umysłach, u których motywacja etniczna góruje nad etyczną, to jednak rzutuje to na całość obu społeczności, litewskiej i polskiej. Katolicy litewscy zyskali sobie sympatię w świecie dzięki swej odwadze w obronie praw ludzi wierzących. Działania, o których była tu mowa sympatię tę podważają, nie tylko wśród Polaków. Służą też nie dobru Litwy i Kościoła katolickiego w tym kraju, lecz polityce kogoś innego, kto po mistrzowsku stosuje zasadę *divide et impera*.

Józef MIRSKI

P.S. Żagiell w swojej kronice litewskiej (*Kultura* nr 4 z 1986 r.) zaliczył Polaków żyjących na Litwie do „cudzoziemców”. Ciekawe, jakie w tym wypadku zastosował kryterium. Czy może być cudzoziemcem człowiek, którego rodzina od pięciuset lat żyła na Litwie i, choć jego przodkowie byli może Litwinami czy Białorusinami, on sam uważa się za Polaka?

J. M.

## «Widnowa»

W październikowej *Kulturze* z ub. roku omówiłem 3-ci numer monarchijskiego czasopisma *Widnowa*, poświęcony „zagadnieniom stosunków polsko-ukraińskich”. Numer 4-ty tego pisma (zima

1985 / wiosna 1986) jest w całości poświęcony „Ukrainie i polskiej opozycji”. Redaktor naczelny pisma, Jarosław Pełenśkyj, pisze w artykule wstępnym: „Jedyną korzystną formą dyskusji może być tylko jawny i szczerzy dialog. Bez takiego dialogu nie można oczekiwać rzeczywistej normalizacji stosunków polsko-ukraińskich... Ukazanie się dwóch kolejnych numerów naszego pisma poświęconych stosunkom polsko-ukraińskim oraz wydanie traktatu Kazimierza Podlaskiego staną się — mam nadzieję — tym pierwszym krokiem ze strony ukraińskiej do nowego dialogu polsko-ukraińskiego, którego celem jest współpraca polsko-ukraińska”.

Numer 4-ty *Widnowy* zawiera ponadto obszerny fragment traktatu Kazimierza Podlaskiego „Białorusini, Litwini, Ukraińcy to nasi wrogowie czy bracia?” (traktat ten *Widnowa* wydała osobno), szereg recenzji z książek, szkic Konstantyna Zełenki poświęcony zmarłemu przed kilkunastu miesiącami wybitnemu historykowi angielskiemu Hugh Seton-Watsonowi. Ten szkic na tle bogatego tematycznie numeru ma raczej charakter marginesowy, ale jest ciekawy dlatego, że większa część historycznej twórczości Watsona jest poświęcona Europie Wschodniej i jej najważniejszym zagadnieniom\*. Jest dowodem, że znany uczyony zajął się tematem tak mało interesującym przeciętnego czytelnika jak historia różnych — naturalnie poza rosyjskim — narodów Europy Wschodniej.

Numer podzielony jest na szereg działów, z których na największą uwagę zasługuje dział zawierający artykuły obrazujące stanowisko różnych działaczy opozycji politycznej wobec zagadnień polsko-ukraińskich; komentarze dotyczące sytuacji Ukraińców przebywających w kraju, przyczynki do powstania i rozwoju „Solidarności”, omówienie nagród im. Janiny Ławruk oraz Łesi i Petra Kowalewych oraz dział literacki. Dział ten zawiera tłumaczenie opowiadania Włodzimierza Odojewskiego, w którym autor opisuje śmierć starego nauczyciela, Nikodema Burdy, w (założonym przez 2-gi Korpus) wojskowym szpitalu w Teheranie — przed wojną czynnego komunisty w kresowym miasteczku, deportowanego do kopalni złota na Kołymie, który — tak jak wielu innych — całkowicie zmienił swoje przekonania. W tym dziale znajduje się również IV akt dramatu Dmytra Nykołoszyna pt. „Marta”. Główny bohaterem jest Roman Zawojski, syn Polaka

\* Najważniejsze prace Hugh Seton-Watsona: „Wschodnia Europa między dwiema wojnami” („Eastern Europe between the Wars, 1918-1941”, Cambridge 1946); „Rewolucja wschodnioeuropejska” („The East European Revolution”, London 1959); „Od Lenina do Malenkowa: historia światowego komunizmu” („From Lenin to Malenkov: The History of World Communism”, New York 1953); „Ani wojna ani pokój — Walka o władzę w powojennym świecie” („Neither War nor Peace — The Struggle for Power in the Postwar World”, New York 1960); „Imperium rosyjskie 1801-1917” („The Russian Empire, 1801-1917”, Oxford 1967) i wreszcie praca może najbardziej ambitna: „Narody i państwa: studia o początku narodów i o polityce nacjonalistycznej” („Nations and States: An Enquiry into the Origins of Nations and the Politics of Nationalism”, Boulder, Colorado, 1977).

i Ukrainki. Postacie tego dramatu bardziej utożsamiają się z reprezentowanymi przez nie ideologiami, niż uosabiają żywych ludzi; akcja toczy się w małym miasteczku wschodniogalicyskim.

W dziale recenzji Mychajło Demkowycz Dobrianskyj omawia szczegółowo książkę Iwo Werschlera pt. „Z dziejów obozu belwiderskiego. Tadeusz Hołówko — życie i działalność”, wydaną w Warszawie w 1984 roku przez PWN. Recenzja ta zawiera szereg informacji o życiu i tragicznej śmierci Tadeusza Hołówki, pochodzenia polsko-ukraińskiego. O Hołówce pisano rozmaicie: „Encyklopedia ukraińska” ogranicza się do rzeczowej informacji: „Został zabity w Truskawcu przez ludzi z OUN, która go oskarżała o moralne rozbrajanie społeczeństwa ukraińskiego”; Petro Mirczuk i Stepan Prociuk oskarżali Hołówkę o pacyfikację Galicji wschodniej i o wrogość do narodu ukraińskiego. Według Mirczuka wyrok wydało trzech działaczy OUN — Gabrusewycz, Szuchewycz i Kossak, a wykonali Biłas i Danyłyszyn — później aresztowani w związku z zamachem na urząd pocztowy w Gródku Jagiellońskim. Autor recenzji podaje, że Werschler pisze o Hołówce i w ogóle o „piśsudczykach” jak „prawdziwy historyk-badacz, tj. obiektywnie i bez wrogiego nastawienia”. Nie można tego powiedzieć o autorach ukraińskich, którzy pisali o Hołówce. Prociuk posunął się tak daleko, że napisał: „Bliski przyjaciel i zaufana osoba białych emigrantów rosyjskich...”. Znaczyło to, że Hołówko jedną ręką pisał antyrosyjskie artykuły, a drugą ścisłał się z białymi emigrantami. Gdyby tak było, to musiałby być swego rodzaju publicystycznym prowokatorem. Od początku, wbrew wersji podanej przez Mirczuka i Prociuka, mówiono że morderstwo zostało zaprogramowane przez czynniki pozaukraińskie. Opinia polska przypisywała to morderstwo inspiracji niemieckiej; Matczak, jeden z współtwórców Ukraińskiej Organizacji Wojskowej — inicjatywie polskiej policji; Cat-Mackiewicz w wileńskim *Słowie* uznał morderstwo za prowokację sowiecką, podobnie zresztą jak lwowskie *Diło*; autor recenzji zaś podaje opinię wybitnego działacza OUN: „Hołówko zginął, aby nie doszło do złagodzenia walki polsko-ukraińskiej”. Demkowycz Dobrianskyj nie wspominał jednak o stanowisku zajęтым przez Wacława Zagórskiego, redaktora *Jutra pracy* — głównego czasopisma Legionu Młodych — który był zdania, że była to prowokacja polskiej policji, która posłużyła się wykonawcami ukraińskimi. Jeśli istotnie tak było, to ani jedna ani druga strona nie wyszły z tej sprawy z czystymi rękami.

Druga recenzja, napisana przez kanadyjskiego profesora Petro Poticznego, omawia książkę Edwarda Prusa, również wydaną w Warszawie, pt. „Rozmowa o arcybiskupie Andrzeju Szepcykim”. Prus od kilkunastu lat uprawia publicystykę na styku polsko-ukraińskim. Jest ona zdecydowanie dla Ukraińców wroga, kłamliwa i paszkwilancka. Posługując się określeniem niemieckiego dziennikarza Hansa Jakoba Stehle, Prus nazywa Metropolitę „świętym awanturnikiem”. Z książki Prusa wynika, że Szepcyki uprawiał politykę proniemiecką, a zatem pominięte zostały opinie świadczące, że było inaczej. Książka ta powstała na pograni-

czu propagandy sowieckiej i PRL-owskiej, więc jej antyukraiński charakter nie powinien nikogo dziwić.

Wspomnianą na wstępie pracę Podlaskiego — która zasługiwałaby na osobne omówienie — uzupełnia kilka prac polskich autorów. Najciekawszy z nich jest krótki tekst, zamieszczony pod pseudonimem Rif (którego autor nie ustrzegł się jednak kilku błędów rzeczowych). Cytuje on słowa Jacka Kuronia, zwrócone do studentów Uniwersytetu Warszawskiego: „Wolna Polska nie może istnieć bez wolnej Ukrainy”. Artykuł Rifa ukazał się w nielegalnym czasopiśmie *Robotnik*; *Widnowa* zamieściła go w przekładzie ukraińskim.

W tymże numerze redakcja *Widnowy* ogłosiła ankietę zawierającą dziewięć pytań oraz dwie odpowiedzi — członka redakcji niezależnego (czytaj: nielegalnego) czasopisma *Obóz*, oraz wybitnego historyka — Janusza Radziejewskiego, specjalizującego się w dziejach Ukrainy i stosunków polsko-ukraińskich. Najważniejsze pytanie dotyczyło przeszkód na drodze do porozumienia polsko-ukraińskiego i sposobu ich usunięcia (zarówno w kraju, jak i na emigracji). W odpowiedzi na to pytanie zwrócono uwagę, że w zainteresowanych krajach (w Polsce i na Ukrainie) akcja taka natrafiłaby na wielkie trudności; Radziejewski wręcz oświadcza, że Ukraińcy w Polsce nie posiadają najmniejszej możliwości zabrania głosu w jakiegokolwiek sprawie, a cóż dopiero takiej, która by naraziła ich na represje ze strony reżymu komunistycznego. Pozostaje więc jedynie emigracja.

Władysław Serczyk pisze w *Widnowie* na temat bodaj najtrudniejszy, mianowicie o Ukrainie w świetle historiografii polskiej XIX i XX wieku. Jako historyk zainteresował się głównie omówieniem dziejów Ukrainy w wieku XX, a zwłaszcza po drugiej wojnie światowej. Po jej zakończeniu — stwierdza autor — sprawa ukraińska zniknęła całkowicie z prasy i wydawnictw książkowych. Zaczęto o niej pisać dopiero po wydarzeniach jesieni 1956 roku, kiedy do władzy doszedł Gomułka. Nadzieje w nim pokładane nie sprawdziły się, ale wyłom, raz zrobiony, pozostał na stałe. Stopniowo zwiększał się zakres tematyczny i pogłębił metody badawcze. Głównym ośrodkiem badań historycznych w tym okresie stał się Uniwersytet Jagielloński w Krakowie. Praca historyków polskich jest niezmiernie trudna, gdyż często nie mają dostępu do dokumentów, znajdujących się w archiwach Związku Sowieckiego. Zdarzało się, że pewnych dokumentów w ogóle im nie pokazywano twierdząc, że zostały zagubione, co było nieprawdą. Ponadto badania historyków natrafiają na daleko idące trudności i ograniczenia spowodowane cenzurą. Pewnych tematów w ogóle poruszać nie wolno.

Gdy Niemcy hitlerowskie kończyły eksterminację narodu żydowskiego, nie brakowało wśród Polaków ostrzegawczych głosów, że obecnie nadchodzi czas na identyczną eksterminację narodu polskiego. Niewątpliwie doszłoby do tego, gdyby Trzecia Rzesza miała więcej czasu. Ale wojna już była przegrana, choć Niemcy rozpaczliwie starali się ją przedłużyć w nadziei na zdobycie owych „tajemnych broni”, które miały im dać zwycięstwo.



Do tego na szczęście nie doszło, ale niebezpieczeństwo zagłady nie zniknęło, z tym że metody sowieckie są z natury rzeczy całkowicie odmienne i kolejność jest inna. Możemy się pocieszać, że mamy znacznie więcej czasu od Ukraińców, ale to byłaby postawa ludzi niegodnych życia w wolności. Nie wolno nam oczekiwać bezczynnie, aż zdarzy się coś, co da nam tę upragnioną wolność, podczas gdy inne narody, bardziej od nas zagrożone, zaczęły być wykreślane z grona żywych. Mówi się, że narody historyczne nie mogą zginąć, nie mogą być skazane na śmierć. Historia przeczy tej lekkomyślnej opinii.

Babilonia — to tylko jeden przykład — miała wszystkie cechy narodu historycznego, a jednak przestała istnieć i o jej zamierzonym istnieniu świadczą jedynie ruiny archeologiczne. Jeden ze współczesnych historyków określa śmierć narodu punktami, a mianowicie: „Gdy z zewnątrz został narzucony ustrój polityczny nie mający nic wspólnego z osobowością danego narodu; gdy następuje okupacja terytorium narodowego przez siły obce; i wreszcie — gdy następuje wysiedlenie albo eksterminacja narodu”. Jak widzimy, tylko spełnienie tych trzech warunków może spowodować śmierć narodu. Najważniejszy jest wypadek trzeci. W Polsce nastąpiła realizacja dwóch pierwszych warunków. Dotknęły one również Ukrainę i to od dawna, trzeci punkt został zastosowany jedynie częściowo, podobnie jak w trzech krajach bałtyckich. A oto sowiecki wynalazek, którego wyżej wspomniany historyk nie uwzględnił, ponieważ nie poznał go w swoim życiu. Mam na myśli odebranie narodowi jego mowy ojczystej i zastąpienie jej językiem zdobywcy. Jednak ten ostatni sposób też nie jest doskonały; wystarczy przykład Irlandii, która utraciła swój język celtycki na rzecz angielskiego, a jednak nadal jest żywym narodem. Ale Irlandia jest wyspą i to prawdopodobnie zdecydowało.

Należy tu wprowadzić istotną poprawkę. Jeśli nastąpiła utrata języka, to eksterminacja całego narodu nie jest konieczna — wystarczy fizyczne zniszczenie warstwy kulturalnie świadomej i reprezentującej osobowość narodową. Tak właśnie, na początku lat trzydziestych, rozpoczęła się walka z narodem ukraińskim. Ale akcji nie dokończono, gdyż po prostu nie wszyscy Ukraińcy znajdowali się pod panowaniem sowieckim, a ponadto — jak wynika ze świadectwa Chruszczowa — Stalin powiedział z żalem: „Było ich o wiele za dużo”.

Otóż, gdyby Stalin żył, miałby więcej podstaw do powtórzenia swojego westchnienia. Po wyrównaniu ciężkich strat wojennych Ukraińców jest zapewne nie mniej, niż za jego życia, ponadto doszli Ukraińcy zachodni, narody bałtyckie oraz wielomilionowa masa Polaków. Bolszewicy uważają, że mają dość czasu i że wobec obojętności Zachodu mogą sobie pozwolić na stopniową i metodyczną akcję. Tu popełniają największy, moim zdaniem, błąd. Nie pierwszy i nie ostatni. Afganistan jest tego skrajnym przykładem. Zmusza ich do tego materialistyczna doktryna, która każe im zapominać o imponderabiliach, a w najlepszym wypadku mylnie je interpretować. Nie brakuje wydarzeń historycznych,

wobec których każdy marksista staje najzupełniej bezradny. Nie mieszczą mu się w jego interpretacji klasowej i gospodarczej, więc po prostu omija je, nie mając pojęcia od czego zacząć.

Sołżenicyn rzucił kiedyś uwagę, że Stalin włączając Ziemię Czerwieńską i Wołyń do Związku Sowieckiego zrobił zły interes. W tym stwierdzeniu rosyjskiego nacjonalisty była spora garść prawdy. Żelazna kurtyna na Zbruczu była o wiele skuteczniejsza niż na Sanie. A ponadto ustrzeliłby od razu dwa ptaki: wzmocniłby nienawiść polsko-ukraińską i podnieciłby nadzieje tych Polaków, którzy wciąż się łudzą: „Mimo wszystko z Rosjanami można będzie dojść do porozumienia”. Ale stało się i nikt tego nie odrobi.

Samobójczy konflikt polsko-ukraiński wdarł się nawet do gastronomii. Zajadałem się zawsze pierogami z serem, zwanymi w Polsce przez setki lat ruskimi. Gdy w 1953 roku przyjechałem po raz pierwszy do Londynu, znalazłem w jadłospisie „Ogniska” pierogi białoruskie, co stanowiło rzadki dziwolak. Zwróciłem na to uwagę i za następnym razem były już „pierogi małopolskie”. To samo, tylko o wiele bardziej patriotycznie!

Wracając do tematów poważnych należy stwierdzić, że wszystko co w przeszłości dzieliło obydwa narody nie ma większego znaczenia wobec wspólnego celu, jakim jest odzyskanie niepodległości państwowej i wolności osobistej każdego obywatela. Jeśli nie zdobędziemy się na wspólne działanie, dając właściwy przykład wszystkim innym narodom, uciemżonym przez tego samego sowieckiego wroga, to walka nasza będzie znacznie dłuższa i trudniejsza, niż zespolonymi siłami. *Widnowa* jest poważnym krokiem na najwłaściwszej drodze, jaką nasze narody powinny wybrać i kontynuować z całą świadomością.

Józef ŁOBODOWSKI

## W sowieckiej prasie

Lato 1986 było okresem burzliwej, gorączkowej działalności Michaiła Gorbaczowa, który bezustannie rozjeżdżał, wygłaszał niekończące się przemówienia, rozmawiał z klasą robotniczą, udzielał wskazówek pisarzom, wprawił w zachwyt prezydenta Francji swoimi planami (Mitterrand nazwał go „najnowocześniejszym człowiekiem naszej epoki”), oświadczył w Warszawie, że granice obozu sowieckiego są nienaruszalne, a we Władywostoku, że „ZSSR jest krajem obejmującym Azję i Ocean Spokojny”.

Pod koniec lipca Gorbaczow przyjechał na Daleki Wschód. Przemawiając we Władywostoku i Chabarowsku podsumował wyniki swej półtoraletniej działalności u steru i naszkicował perspektywy

przyszłości. Zbytecznie mówić, że prasa światowa nie poskąpiła mu jak najzycielszych na ogół komentarzy. Dawno już przestałem się temu dziwić, pomny, co świetny rosyjski satyryk Sałtykow-Szczedrin napisał na temat oczekujących nowego naczelnika miasta mieszkańców Głupowa: „Nikt z nich jeszcze na oczy nie widział nowo mianowanego burmistrza, a wszyscy już opowiadali o nim anegdoty i nazywali go 'czarującym' i 'mądrym'”. Czytając liczne komentarze zachodnich dziennikarzy, odnosi się wrażenie, że granice miasta Głupowa niezmiernie się poszerzyły.

Ośmieszylbym się, polemizując z przypisywanymi Gorbaczowowi pewnymi cechami osobistymi, mającymi wzbogacić znany od 70-ciu lat wizerunek sowieckiego wodza. Wypada natomiast odnotować, że po powołaniu do KC grupy prawdziwych znawców Zachodu, a głównie Stanów Zjedn., w tym przede wszystkim Anatola Dobrynina, który przez ćwierć wieku był ambasadorem ZSSR w Waszyngtonie, Gorbaczow umiejętnie steruje zachodnimi środkami komunikacji masowej w potrzebnym mu kierunku. Zwraca też uwagę, że nikomu z jego poprzedników nie udało się tak szybko zostać jedynowładcą. Historycy pamiętają, jak długo towarzyszył Stalin piął się ku szczytom po trupach towarzyszy. Nie zatarły się jeszcze w pamięci podróże Nikity Chruszczowa, który przez długi czas musiał taszczyć ze sobą Bułganina, lub rozjazdy Breżniewa w asyście Kosygina albo Podgornego. Gorbaczow jeździ sam: on jeden reprezentuje władzę. Tego lata zaczęły się ukazywać w gazetach niezwykle fotografie. Fotografowie spotkali generalnego sekretarza z zagranicznymi gośćmi lub ludem przestrzegali przez dziesiątki lat tego samego ceremoniału: długi stół — po lewej *genssek* i jego doradcy, po prawej goście. Teraz topografia się zmieniła: na lewej kolumnie widnieje osobno fotografia samotnego Wodza, na prawej — zdjęcie stołu, przy którym siedzą wszyscy pozostali. Nowością jest też obecność małżonki generalnego sekretarza, która nie towarzyszy po prostu mężowi, lecz dzieli z nim tron. Na początku sierpnia TASS poinformował, że Raissa Gorbaczowa została mianowana członkiem „sowieckiego funduszu kultury”, nie istniejącej dotychczas organizacji, mającej — sądząc po nazwie — zarządzać kulturą. Od dawna wiadomo, że Raissa interesuje się kulturą i ma po temu dane: w 1967 roku uzyskała tytuł kandydata nauk filozoficznych na podstawie dysertacji na niezmiernie aktualny w filozofii temat „Pojawienie się zarysu przemian w życiu kołchozów (na podstawie badań socjologicznych w rejonie Stawropola)”.

„Zarys przemian” szczególnie wyraźnie widać na obliczu generalnego sekretarza przy okazji niewymuszonych, swobodnych spotkań z prostym ludem sowieckim na ulicach Władystoku, Komsomolska nad Amurem czy Chabarowska. Gdyby wydać dialogi między Wodzem i narodem w osobnej książeczce, nie ustępowałaby ona wielu opowiadaniom Zoszczenki. Nabywcy w sklepach zapewniają wysokiego gościa, że zawsze jest taki duży wybór towarów jak w chwili, kiedy on tu zajrzał, z tłumu przez cały czas dobiegają okrzyki „Pracować trzeba!”, „Porządki trzeba zaprowadzić!”, a Michaił Gorbaczow wspomina swe komsomolskie lata,

kiedy „wszyscy pracowali z entuzjazmem i krytykowali niedostatki”. Te szczęśliwe wspomnienia związane są z ostatnią stalinowską pięciolatką, to wtedy było tak dobrze. „A ostatnimi laty — ze smutkiem stwierdza Wódz — wielu ludzi uległo duchowi konsumpcji... Zaczął się upadek moralności”.

O moralności Gorbaczow mówił także w Chabarowsku. Przemówienie dotyczyło sytuacji w kraju: minionej i przyszłej. Gorbaczow otwarcie przyznaje, że było źle. Lista błędów — bezmyślne planowanie, wieloletnie opóźnienia w budownictwie, niewykorzystane moce przedsiębiorstw budowlanych, nadmierna centralizacja — jest dziś wszystkim znana i nie budzi zdziwienia słuchaczy, którzy to wszystko wiedzą, a poza tym wiedzą wiele innych rzeczy, których nie wie Gorbaczow. Słuchaczy interesuje, co robić. Na to generalny sekretarz odpowiada: przebudować. Jest to najmłodniejsze dziś słowo. Po raz pierwszy użył go Lenin w 1921 roku w artykule „Z okazji czwartej rocznicy Rewolucji Październikowej”: „Zaczęliśmy już niezbędną przebudowę naszej polityki ekonomicznej...”. Gorbaczow nalega na „przebudowę” przebudowy, która trwa już od sześćdziesięciu pięciu lat (choć trzeba przyznać, że robi postępy). Przyznając, że słowo „przebudowa” jest bardzo często używane, Gorbaczow dopuszcza zasadnicze pytanie „a co to takiego?”, na które odpowiada nieoczekiwaną formułą: „Postawiłbym znak równości między słowami 'przebudowa' i 'rewolucja’... Jest to prawdziwa rewolucja całego systemu stosunków społecznych, umysłów i serc ludzi, psychologii i rozumienia współczesności i przede wszystkim zadań, zrodzonych burzliwym postępem naukowo-technicznym”.

Kiedy bohater powieści Zamiatina „My” usłyszał, że w Jedy-nym Państwie szykuje się rewolucja, zdumiał się z całego serca: „Jak to rewolucja?! Przecież rewolucja już była!”. W Związku sowieckim były nawet dwie rewolucje, w październiku 1917 i w styczniu-lutym 1930. Wydawało się, że po kolektywizacji, którą Stalin nazwał „rewolucją odgórną”, potrzeba rewolucji zniknęła z Jedy-nego Państwa Dojrzałego Socjalizmu na zawsze. Gorbaczow podkreśla, że chodzi o rewolucję „odgórną”, „wytyczoną w uchwałach kwietniowego plenum KC KPZS i XXVII Zjazdu”. Mimo to wybór słowa, mającego określić naturę nowej epoki, nie jest przypadkowy. sowieckim wodzom wiele można zarzucić, ale nie przypadkowy wybór słów.

Gorbaczow wybrał najstraszniejsze słowo z sowieckiego słownika politycznego, aby wstrząsnąć słuchaczami: występując przed aktywnym partyjnym Chabarowska, przypomniał mimochodem, że wkrótce powstanie centralny komitet do spraw polityki kadrowej, czyli głowy poleca. Swoim zwyczajem Gorbaczow postępuje się terminologią stalinowską: wiele razy wraca do potrzeby „krytyki i samokrytyki” i każe nie bać się, że wykorzysta ją wróg. Niemal dosłownie cytuje słowa Stalina: „Nie możemy bez samokrytyki... Bez niej nie ustrzeżemy się stagnacji, gnicia aparatu, wzrostu biurokratyzmu, skrępowania twórczej inicjatywy klasy robotniczej”. W rękach Stalina „krytyka i samokrytyka” była straszną

i potężną bronią przeciwko wszystkim, którzy nie dość skwapliwie realizowali „generalną linię”.

Na wszystkich fotografiach z podróży Gorbaczowa na Daleki Wschód widzimy z jednej strony Wodza, a z drugiej tłum, masę, naród. Między nimi nie ma nikogo. W rzeczywistości Gorbaczowa oddziela od narodu mur aparatu, niezbędnego do funkcjonowania dojrzałego socjalizmu. Ale mur ma drżeć przed Wodzem, związanym bezpośrednio z narodem.

Drugim ważnym słowem w słowniku Gorbaczowa, powtarzanym dziesiątki razy w każdym przemówieniu, jest „czynnik ludzki”. Zwrot ten, który zastąpił stalinowską formułę „najważniejsze są kadry”, oznacza po rozszyfrowaniu, że duchowy kryzys osiągnął w Związku Sowieckim niebywałe rozmiary. Gorbaczow stwierdza: jest źle, trzeba przebudować, nie mówi natomiast, jak to zrobić (chyba że uznać za wskazówkę dziwny i niespodziewany apel do „sumień”). Dlaczego tak źle pracujecie? — pyta Gorbaczow. — Sumienia nie macie?

Kiedy w żagrach sowieckich żadna siła nie mogła skłonić więźniów do wykonania jakiejś ciężkiej roboty, bezradny naczelnik błagał: ludzie, miejcież sumienie! Na co zazwyczaj padała standardowa odpowiedź: tam, gdzie było sumienie, dawno już... wyrósł.

Może nie tak obrazowo, ale jeszcze bardziej przekonywująco odparli na apel do sumień kierownicy robót w Czernobylu. *Prawda* z 9 sierpnia doniosła, że prezes Rady Ministrów Ryżkow i przewodniczący KGB Czebrikow odkryli podczas inspekcji w Czernobylu, że spalony reaktor jeszcze ciągle nie został zabetonowany, bo nie dowieziono betonu, domy dla wysiedleńców nie zostały wybudowane z braku gwoździ, itd., itp. Zwróćmy uwagę, że na inspekcję miejsca katastrofy udał się przewodniczący KGB: jest to niewątpliwym znak, że do radioaktywnej strefy skierowano więźniów. Teraz rzeczywiście można ją nazwać „strefą wyższej świadomości”, jak zatytułował pierwszą powieść o Czernobylu Władimir Jaworowski. Innym przykładem „sowieckiej świadomości” są wiersze Jewtuszenki, radośnie obwieszczającego, że ci, którzy gasili pożar czernobylski, własnym ciałem — jak w 1941 — uratowali cały świat od katastrofy nuklearnej. Wybuch w Czernobylu stał się w ten sposób kolejnym przykładem sowieckiej „miłości człowieka” (*Literaturnaja Rossija*, 20 czerwca 1986).

Gorbaczow uprzedza: przebudowa nie od razu wyda owoce, na polepszenie trzeba kilka lat poczekać. Póki co należy iść za partią i Gorbaczowem.

Porównując przemówienie o polityce wewnętrznej w Chabarowsku z przemówieniem o polityce zagranicznej we Władywostoku, trudno nie dotrzeć, jak niezdarnie Gorbaczow odpowiadał na najważniejsze pytania w pierwszym przypadku, a jak zręcznie, chytrze i sprytnie w drugim. We Władywostoku po raz pierwszy w dziejach Związku Sowieckiego tak zdecydowanie i twardo wyjawiał sowieckie pretensje do wejścia na wody Oceanu Spokojnego. Kraj, wymagający „przebudowy” i „rewolucji wewnętrznej” dla zapewnienia ludności chleba i mieszkań (o czym była

mowa w Chabarowsku) oznajmia, że od Indonezji do Republiki Vanuatu, od Nowej Zelandii do Wysp Malediwskich, nie mówiąc już o Filipinach, Malezji itp., bez Związku Sowieckiego się nie obejdzie. Zadowolony z sytuacji w Europie po konferencji helsińskiej, Gorbaczow proponuje zwołanie analogicznej dla państw azjatyckich rejonu Oceanu Spokojnego, aby i tam oddzielić terytory, które już na zawsze weszły w posiadanie Związku Sowieckiego od tych, które na razie jeszcze nie weszły. Na znak dobrej woli generalny sekretarz oświadczył, że gotów jest do ustępstw: wyprowadził sześć sowieckich pułków z Afganistanu (ok. 6.000 żołnierzy, w tym około połowa z artylerii przeciwlotniczej, i tak niepotrzebnej, bo partyzanci nie mają samolotów) i zgadza się definitywnie ustalić granicę sowiecko-chińską w środku rzeki Amur. Prawo międzynarodowe uważa środek rzek za naturalną granicę między państwami. Związek Sowiecki zawsze twierdził, że granica znajduje się na chińskim brzegu Amuru. W 1969 roku walki na wyspie Damangdao dotyczyły właśnie tego sporu pogranicznego. Ustępstwo nie ma żadnego istotnego znaczenia, ale jako symbol i posunięcie dyplomatyczne warte jest uwagi.

Problemy wewnętrzne, kryzys duchowy, z którego nie widać wyjścia odzwierciedlają się w literaturze. Pisałem już kiedyś o „Pożarze” Rasputina i „Smutnym detektywie” Astafiewa. W maju 1986 roku ukazał się w piśmie *Nasz sowriemiennik* cykl opowiadań Astafiewa „Miejsce akcji”. Astafiew pyta: „Co się z nami stało? Kto i za co wpędził nas w otchłań zła i nieszczęść? Kto zgasił w naszej duszy światło dobra?... Dlaczego wszystko to nam ukradli i nie dali niczego w zamian, jak tylko niewiarę, powszechną niewiarę we wszystko? Do kogo się modlić?...”. Odwieczna starucha pisarzy syberyjskich żali się w opowiadaniu: „Boga nie ma, cara nie trzeba, przeżyjemy na byle kępie! I zostaliśmy więc na kępie!”. Świadom niewiary i „otchłani zła”, pisarz szuka winnych i znajduje ich w mieszkańcach miast, ubranych w „dżinsy z niezrozumiałą nalepką na pośladku”, w Mongołach, którzy trzysta lat temu zmienili cerkwie w stajnie, w Gruzinach, którzy nie spodobali się Astafiewowi, kiedy ich odwiedził. Na zjeździe pisarzy nawet Siergiej Michałkow skrytykował opowiadanie „Połów piskorzy w Gruzji”, twierdząc, że „obraźliwie i nietaktownie rani uczucia bratniego narodu”. Także gruziński pisarz Georgij Cicziswili o tym mówił.

Zdaniem Astafiewa źródłem wszystkich nieszczęść są mieszkańcy miast, Mongołowie, Gruzini i inni *nacmeni*. Zdaniem Czingiza Ajtmatowa źródłem nieszczęść jest Zachód. W dwóch powieściach Ajtmatowa „Dyby”. Trudno ją zaliczyć do arcydzieł literatury, nawet sowieckiej, choć nie ulega kwestii, że dostarcza informacji, której nigdzie dotychczas oficjalnie nie podano — mianowicie o tym, że w ZSSR istnieje narkomania. O narkomanii w ZSSR dużo się mówi i dużo wie, ale zjawisko nie istnieje, dopóki za zezwoleniem cenzury nie napisze się o nim czarno na białym. To, o czym pisze Ajtmatow, bohater książki nazywa „katastrofą społeczną”, dorzucając: „nawet katastrofy mamy najlepsze”.

Tematem powieści jest podróż młodego dziennikarza Awdija Kallistratowa, byłego zakonnika, z grupą „gońców”, którzy w kazachskich stepach kupują „trawę”, jak nazywa się marihuanę. Pisarz szczegółowo opisuje organizację handlu narkotykami: ze wszech stron kraju jeżdżą do Moskwy „gońcy” — pod koniec maja kwitną w stepach Azji Środkowej konopie. Narkomani, zorganizowani na ogół w duże grupy przestępcze, dojeżdżają do węzłowych stacji kolejowych i stamtąd wędrują do upraw konopii. Ajtmatow opisuje, jak się zbiera pył kwiatowy i „robi z niego wyciąg, który można ssać, żuć, zagryzać pod wódkę, zamiesić z mąką na chleb”.

„Trawa” jest w powieści Ajtmatowa nie tylko rozprzestrzeniającym się coraz szerzej po Związku Sowieckim narkotykiem, ale też symbolem zła, które trawi całe społeczeństwo sowieckie, nie tylko narkomanów. Najlepsze strony powieści poświęcone są masowemu wybijaniu stepowych antylop w imię wykonania „planu mięsnego”. Dziesiątki tysięcy antylop wybito przy pomocy najnowocześniejszej techniki — helikopterów, wozów terenowych, automatów. Zarząd obwodu oznajmił przecież, że „plan zostanie w stu procentach... Mamy uzupełniające rezerwy...”.

W powieści Ajtmatowa dochodzi do starcia między szefem organizacji narkomanów, przedstawionym jako diabeł, i byłym seminarzystą Awdijem, który stara się apelować do ludzkich sumień. Druga część powieści kończy się tym, że Awdija zakuwają w dyby. Aby alegoria była jaśniejsza, Czingiz Ajtmatow przytacza ostatnią rozmowę Chrystusa z Piłatem. Autor „Dybów” bez żenady czerpie nie z Ewangelii, ale z „Mistrza i Małgorzaty” Bułhakowa. Nie w tym jednak rzecz, a w tym, że Bohater Pracy Socjalistycznej, członek sekretariatu zarządu Związku Pisarzy Sowieckich, laureat wszelkich nagród i orderów twierdzi, że bez Boga nie można żyć. A ponieważ pisarz zajmuje w sowieckiej nomenklaturze tak poczesne miejsce, pozwolono mu pisać Boga z dużej litery. Co też robi. Ale Bóg Ajtmatowa jest Bogiem sowieckim. „Metafizyczność” Ajtmatowa, o której tak chętnie piszą krytycy sowieccy, polega na tym, że komunizm wydaje mu się połączeniem władzy sowieckiej z Bogiem.

Podobnej odpowiedzi udzielił Astafiew, a także malarz Ilja Głazunow. Moskiewska wystawa jego 600 płócien stała się głównym wydarzeniem kulturalnym tego lata. Występując 4 lipca w radio, Ilja Głazunow powiadomił słuchaczy, że pośrodku ogromnej sali wystawowej ustawiono jego ogromne płótno, przedstawiające Lenina, Swierdłowa i Dzierżyńskiego. Postacie te, objaśnił artysta, wyrażają jego myśli i uczucia, zrodzone z lektur „mojego ulubionego pisarza i myśliciela, F.M. Dostojewskiego”. Miłość do Dostojewskiego i przedstawianie Lenina-Swierdłowa-Dzierżyńskiego jako rosyjskich bohaterów są wymownym wyrazem kryzysu duchowego w ZSSR.

Kryzys, poszukiwania wyjścia, ślepe uliczki wynikają z tego, że nie można — albo nie chce się — dostrzec prawdziwych przyczyn obecnego stanu „dojrzałego socjalizmu”. Kolejnym dokumentem „chaosu i zagubienia” jest apel „do obywateli Związku Sowiec-

kiego”, podpisany przez „Ruch odnowy socjalistycznej”. Radio Wolna Europa zaczęło audycję o tym dokumencie słowami: „Redakcja londyńskiego *Guardiana* zdołała uzyskać pełny dramatycznych akcentów manifest...”. Brzmi to pięknie, ale wymaga komentarza. Określenie „*Guardian* zdołał uzyskać” sugeruje, że z trudem zdobył. Tymczasem wiadomo, że korespondent gazety przywiózł go z Moskwy bez żadnych przeszkód ze strony celników. A dlaczego „pełny dramatycznych akcentów manifest”?... Ja w nim niczego dramatycznego nie dostrzegłem, może dlatego, że jestem uodporniony: wszystko to już wiele razy było mówione.

Dokument wzbudził niemało komentarzy w prasie zachodniej. Aby zainteresowanie nie ostygło, przedstawiciel sowieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych nazwał go na konferencji prasowej „antysocjalistycznym”.

Komentatorzy nie są zgodni co do źródeł i celów manifestu. Jedni nazywają go wykładnią poglądów „lojalnej opozycji”, inni uważają za produkt KGB, jeszcze inni za dzieło sowieckich emigrantów. Po przeczytaniu pełnego rosyjskiego tekstu (22 strony) odnosi się wrażenie, że został napisany przez wierzących komunistów, przejętych kryzysem systemu sowieckiego. O „lojalnej opozycji” nie może być mowy: lojalność nie ulega wprawdzie wątpliwości, ale brak opozycji.

„Grupa sowieckich obywateli, dysponujących obiektywnymi informacjami” — jak nazywają samych siebie autorzy „Apelu” — za punkt wyjścia przyjmuje istnienie kryzysu. Na czym polega ich zdaniem kryzys? Na zapóźnieniu ekonomicznym, na tym, że „rzeczywisty parytet zbrojeniowy wypada na korzyść USA”, na „rozpadzie światowego systemu socjalistycznego”. Autorzy przytaczają cyfry, świadczące o całkowitym rozkładzie gospodarki sowieckiej, i gorzko ubolewają nad tym, że „obóz socjalistyczny przestał być niepodzielnym, monolitycznym związkiem bratnich państw”. Zwróćmy uwagę na to „przestał być”. Znaczy, że kiedy był, wszystko było dobrze?! Mało tego, rwą sobie włosy z głowy autorzy „Apelu”: „KPZS przestała być uznanym przywódcą światowego ruchu komunistycznego i robotniczego”. Znowu „przestała być”... Dalej czytamy, że „sowiecka polityka zagraniczna doznała poważnych porażek w byłych krajach uzależnionych i kolonialnych”, a miliardy włożone w Indonezję, Egipt, Algierię, Libię i Irak „nie przyniosły Związkowi Sowieckiemu ani politycznych, ani ekonomicznych korzyści”. A gdyby przyniosły? Jak na przykład w Etiopii albo Jemenie Południowym? Autorzy łąą jak prawdziwi komuniści, twierdząc, że „niewypowiedziana wojna w Afganistanie” to „pierwsza w historii państwa sowieckiego niewypowiedziana wojna”.

Cel „Apelu” jest oczywisty: Związek Sowiecki musi znowu stać się potężnym, bogatym mocarstwem światowym. W pierwszej części, w której autorzy wyliczają wady sowieckiej gospodarki, nie znajdziemy niczego nowego. Wiele z ich twierdzeń wypowiedali przed nimi akademicy Aganbegian i Zasławskaja, wiele mówili partyjni przywódcy od Chruszczowa do Gorbaczowa.

Najciekawsza jest część druga — „środki polityczne”, jakie

należy zastosować celem unowocześnienia systemu sowieckiego. Pierwszy „środek” to wolność prasy, co postulował już Lenin (w tekście odpowiedni cytat). Autorzy nie tłumaczą, dlaczego Lenin sam jej nie wprowadził. Drugi „środek” ma polegać na „zaprzestaniu prześladowań za przekonania polityczne i religijne i zagwarantowaniu wolności słowa”, co pozwoli „umocnić jedność moralno-polityczną narodu sowieckiego i będzie sprzyjało wychowaniu ludzi sowieckich w duchu prawdziwego patriotyzmu i miłości ojczyzny”. Trudno się sprzeciwić zaprzestaniu represji, ale słownictwo autorów „Apelu” i sztampy, bez których nie potrafią się obejść dowodzą, że nie są oni w stanie myśleć inaczej niż w kategoriach ideologii sowieckiej. Trzeci „środek” jest najradzykalniejszy: „konstytucyjnie zapewnić możliwość ewentualnego powstania w kraju alternatywnych organizacji politycznych”. Podkreślmy: autorzy nie mówią o partiach, ale o „organizacjach politycznych”, po czym dodają: „stawiających sobie za konieczny cel zbudowanie w kraju społeczeństwa socjalistycznego”. W gospodarce autorzy „Apelu” zalecają powrót do leninowskiego NEP-u.

Najważniejsze w dokumencie jest uznanie sowieckiego systemu za najlepszy na świecie, a ZSSR za „socjalistyczne państwo ogólnonarodowe”, które dopuściło się pewnych odchyień od leninowskich norm. Autorzy zalecają powrót do Lenina i uprzedzają, że „na zachodzie i wschodzie kraju powstały potencjalne ogniska zagrożenia wojennego. Po raz pierwszy od zakończenia wojny szereg krajów otworzył zaczęło zgłaszać pretensje terytorialne do Związku Sowieckiego (RFN, Chiny, Japonia)”. Jest to kolejny dowód złej wiary autorów: RFN nie zgłasza żadnych pretensji, Japonia od 1945 roku prosi o oddanie jej choćby dwóch małych wysepek, a spory z Chinami datują się od XIX wieku. Ale to są szczegóły.

Tekst „Apelu” jest niewątpliwie skierowany do Zachodu. Zawiera on program, który Gorbaczow może przyjąć, pod warunkiem, że Zachód mu pomoże. „Apel” jest jeszcze jednym dowodem, że na Kremlu świetnie znają psychikę zachodnią. Od siedemdziesięciu już lat Zachód marzy o tym, by sowieckie państwo stało się potęgą, aby jego gospodarka funkcjonowała jak japoński zegarek, aby ludzie sowieccy jednomyślnie stali za partią i rządem, a obóz socjalistyczny rozwijał się i krzepił.

Dlaczego Zachód o tym marzy, nie należy do dziedziny polityki, a raczej do dziedziny psychopatologii.

Chciałoby się zakończyć ten przydługi przegląd optymistycznym akcentem. VIII Zjazd pisarzy sowieckich, który obradował w Moskwie pod koniec czerwca, przyjął uchwałę, która budzi nadzieje. Można ją zresztą uznać za model rozwiązania wszystkich problemów sowieckich. Pisarze stwierdzili, że literatura sowiecka stanowi — poza nielicznymi wyjątkami — potok szarej, niezdarnej, serwilistycznej mazi. Celem poprawy sytuacji postanowiono przemianować byłego pierwszego sekretarza zarządu Związku na prezesa (G. Markow), wybrać nowego pierwszego sekretarza (W. Karpow), biuro sekretariatu zarządu w liczbie ósmiora osób oraz sześćdziesięciu czterech sekretarzy zarządu.

Sześćdziesięciu czterech. Stefan Kisielewski lubi cytować słowa poety „*Achtundachtzig Professoren, Vaterland, du bist verloren*”. Ojczyzna się waliła, bo było za mało *Professoren*. Pod okiem sześćdziesięciu sześciu sekretarzy sowiecka literatura rozkwitnie tak, że wszyscy pisarze wszystkich literatur świata pozienienią z zazdrości.

Adam KRUCZEK

14 sierpnia 1986

## Kronika niemiecka

Tegoroczna czwarta z kolei wymiana wakacyjna dzieci i młodzieży Polski i NRD objęła 300 tys. uczestników, 160 tys. z PRL i 140 tys. z Niemiec Wschodnich. Młodzież od lat 15 i studenci musieli w tym okresie pracować. Polacy byli zatrudnieni przy odnawianiu różnych zabytków w Berlinie Wschodnim w związku z 750-leciem tego miasta, przypadającym na rok przyszły. ■ Aresztowani w RFN PRL-owscy agenci podlegali mieszczącej się w Szczecinie komórce wywiadu wojskowego. W pracy pomagali im przedstawiciele placówki dyplomatycznej PRL w Kolonii. Jeden z nich, Ryszard Dziśniński, został przyłapany *in flagranti*. Zaraz go jednak wypuszczono, bo miał status dyplomaty. Natychmiast opuścił RFN, ale do więzienia powędrowali jego najbliżsi współpracownicy: 31-letni Piotr Bartwiński i 33-letni Alfred Balcerowicz (podawali się za handlarzy skórami, lecz główną ich misją było zbieranie informacji natury ściśle wojskowej). Kontrwywiad RFN ujawnił, że tylko w okresie ostatnich miesięcy wykryto 11 wypadków prowadzenia działalności szpiegowskiej przez agentów wywiadu wojskowego PRL. ■ Na Żeraniu zaprezentowano samochód osobowy FSO 1500 z dieslowskim silnikiem *Volkswagena*. Auto będzie dostępne jedynie w eksporcie wewnętrznym (tzn. za dewizy). ■ Ze 130 umów kooperacyjnych, jakie Polska miała z zachodniemieckimi firmami w końcu lat 70-tych, pozostało zaledwie 20. Niemiecki przemysł, według krajowej *Polityki*, wykazuje rezerwę wobec nowych polskich projektów: „Wynika to przede wszystkim z naszych kłopotów finansowych, wskutek czego strona polska chce swoje zobowiązania spłacać towarami, nie zawsze na jakościowym poziomie niemieckiego rynku”. Niemcy stale przypominają o realizacji reformy gospodarczej, decentralizacji zarządzania („dobrze współpracować mogą tylko samodzielne przedsiębiorstwa”) i o właściwej interpretacji PRL-owskiej ustawy o spółkach z kapitałem mieszanym. Głos z Bonn: „Skończyły się już czasy wielkich projektów z lat 70-tych, potrzebna jest praca u podstaw”. ■ Nakładem *Insel-Verlag* we Frankfurcie n/Menem ukazała się książka pt. *Lem o Lemie. Rozmowy*, której współautorem jest Stanisław Beres. Przekład dokonali Edda Werfel i Hilde Neuerenberger. ■ Na zaproszenie monachijskiego *Instytutu Filologii Słowiańskiej* przebywał w stolicy Bawarii prof. Tomasz Weiss z *Uniwersytetu Jagiellońskiego*. Wygłosił odczyt pt. *Inscenizacja biografii w formie poetyckiej na przykładzie życiorysu St. Przybyszewskiego*. Było około 30 osób, przeważali docenci. Wykład był starannie i ciekawie przeprowadzony. ■ Remont 20 starych samolotów ze zbiorów krakowskiego *Muzeum Lotnictwa i Astronautyki* ma zostać przeprowa-

dzony w Berlinie Zachodnim za cenę pozostawienia ponad połowy z nich w tamtejszym *Muzeum Komunikacji i Techniki*. Dwa zabytkowe samoloty już pojechały do Berlina. ■ Współpraca Polski i RFN w dziedzinie transportu: czynione są starania nad uruchomieniem połączenia kolejowego na trasie Warszawa-Monachium. Obecnie między PRL i RFN oraz w tranzycie kolej krajowa przewozi rocznie ok. 2 mln ton towarów, a żeglugą śródlądową transportuje w sumie ok. miliona ton ładunków. Sporo przesyłek przewożonych jest ciężarówkami PKS; z powrotem do Polski zabierają one dary zachodnioniemieckich organizacji charytatywnych. ■ Willy Brandt, przewodniczący SPD, gościł w Bonn Barbarę Jaruzelską, germanistkę, żonę PRL-owskiego dyktatora. Jaruzelska, podobno zatrudniona na *Uniwersytecie Warszawskim*, została zaproszona do RFN przez *Fundację im. Alexandra von Humboldta*, za oczywistym wstawiennictwem Brandta. ■ Przed konsulem sowieckim w Hamburgu oblał się benzyną i podpalił 26-letni Polak, Marek Kucal. Lekarze stwierdzili zgon młodego Polaka. Kucal miał przy sobie w momencie samobójstwa paszport i Biblię. ■ Nakładem zachodniobermberskiego wydawnictwa *Pogład* ukazała się w języku polskim głośna książka Witolda Wirpszy — *Polaku, kim jesteś?* ■ Delegacja złożona z przedstawicieli wszystkich frakcji wchodzących w skład komisji szkolnej *Izby Deputowanych* w Berlinie Zachodnim bawiła z wizytą w Warszawie. Niemiecy politycy oświadczyli po powrocie, iż strona polska zasadniczo nie odrzuca propozycji wymiany uczniów ze szkołami Berlina Zachodniego, jak również intensyfikacji kontaktów sportowych. ■ Seria polskich filmów w I programie zachodnioniemieckiej TV: *Kanał* (1956) i *Popiół i diament* (1958) Andrzeja Wajdy, *Eroica* (1957) Andrzeja Munka, *Pierwszy dzień wolności* Aleksandra Forda, *Nóz w wodzie* Romana Polańskiego, *Do widzenia do jutra* Janusza Morgensterna. Podczas *Międzynarodowego Festiwalu Filmowego* wyświetlono filmy: *Jestem przeciw* Andrzeja Trzosa-Rastawieckiego i *Paradygmat* Krzysztofa Zanussiego. ■ Katolicka organizacja *Pomoc księżom Wschodu* — *Kościół w potrzebie* z siedzibą w Königstein k/Frankfurtu pomaga od lat materialnie *Episkopatowi Polski*. Dotacje finansowe są przeznaczone głównie na odnawianie kościołów i klasztorów (pokryto częściowo ogromne koszty budowy kościoła w Nowej Hucie). Podobno wysokość finansowego wsparcia dla Kościoła w Polsce sięga od 10 do 12 mln marek rocznie. Szczegółowe informacje dotyczące tej pomocy podamy niebawem. ■ Na *Uniwersytecie* w Giessen odbyła się uroczystość wręczenia Igorowi Newerlemu *Międzynarodowej Nagrody im. Janusza Korczaka*. Nagroda ta przyznawana jest corocznie przez zachodnioniemieckie *Towarzystwo Korczakowskie*, z siedzibą w Giessen, za szczególne zasługi na polu krzewienia nowych metod i programów pedagogicznych lub za osiągnięcie w dziedzinie literatury, powstałe w duchu korczakowskim. Przypadła ona w tym roku polskiemu pisarzowi za jego książkę pt. *Żywe wiązanie* — *rzec o Januszu Korczaku*. ■ Rarytasem minionego sezonu nazwał recenzent *Westdeutsche Allgemeine Zeitung* przedstawienie *Króla Rogera* Karola Szymanowskiego w dortmundzkiej operze. Scenografia, dekoracje, kostiumy i reżyseria Andrzeja Majewskiego i Laco Adamika. W roli głównej rewelacyjny Węgier — Peter Kovacs. Muzycznie operę przygotował Robert Satanowski. ■ Zadłużenie PRL: RFN — 3,6 mld dolarów, USA — 2,7 mld, Wielka Brytania — 1,6 mld, Związek Sowiecki i kraje RWPG — 2,3 mld, kraje Ameryki Łacińskiej i Azji — 2,3 mld, kraje arabskie — 0,7 mld. Drugie tyle to zaległe odsetki i kredyty krótkoterminowe. ■ Na łamach *Deutscher Ostdienst*, organu *Związku Wypędzonych*, Joachim G. Görlich stwierdza autorytatywnie, że londyński *Dziennik Polski* czyta „większość 300-tysięcznej Polonii zamieszkałej w Republice Federalnej”. Piszący *Kronikę* ocenia liczbę polskich prenumeratorów *Dziennika* w RFN na 800-900 osób. ■ Główna Komisja *Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce* wydała zbiorową pracę pt. *Stosunki Międzynarodowo-Prawne PRL-RFN i NRD-RFN* pod redakcją Jana Barcza. Są to materiały

z konferencji polsko-NRD-owskiej, która odbyła się w 1983 roku w Kazimierzu n/Wisłą. ■ 40 polskich inżynierów korzysta ze stypendiów *Fundacji im. Alexandra von Humboldta* (Bonn). ■ Polska apteka (*Aesculap*, Ostwall 97, D-4150 Krefeld) wysyła wszystkie lekarstwa z RFN do PRL na podstawie recepty wystawionej przez polskiego lekarza. Ceny są 20 % niższe niż w innych aptekach zachodnioniemieckich. Informacje podajemy na podstawie rozsyłanego przez *Aesculap* ogłoszenia. ■ Prof. Władysław Bartoszewski wygłosił odczyt na *Uniwersytecie* w Moguncji (*Instytut Historii Europy Wschodniej*) pt. *Polskie państwo podziemne 1939-1945*. Z okazji otwarcia wystawy *Warszawskie Getto 1941* — *fotografowane przez Joe J. Heydeckera* w *Bibliotece Uniwersytetu* w Bambergu odbył się odczyt prof. Bartoszewskiego — *Warszawskie Getto, jakie było naprawdę. Relacja świadka-chrześcijańca*. Natomiast w *Colloquium Politicum Uniwersytetu* w Augsburgu Bartoszewski mówił o *Tradycji ruchu oporu w najnowszej historii Polski*. W auli *Katolickiego Uniwersytetu* w Eichstätt polski historyk i publicysta wygłosił prelekcję pt. *Stosunki polsko-niemieckie w obecnym okresie. Bilans, stan i perspektywy procesu porozumienia*. Szkoda, że inni polscy naukowcy i publicyści, zapraszani na różne stypendia do RFN nie wykazują, nawet w przybliżeniu, podobnej aktywności. ■ Kardynał Henryk Gulbinowicz, metropolita wrocławski: „Niemiecka tradycja Kościoła wrocławskiego odeszła wraz z ludźmi na Zachód. Pozostało ich bardzo niewiele. Ostatnio np. próbowałem — z wiadomych powodów — ustalić, ilu mamy na terenie naszej archidiecezji katolików czujących się Niemcami. Doliczylismy się zaledwie ok. tysiąca osób. Przy czym tylko połowa z nich regularnie uczęszcza na Msze św. do czterech ośrodków w naszej diecezji — we Wrocławiu, Wałbrzychu, Świdnicy i Klodzku, gdzie prowadzone jest duszpasterstwo w języku niemieckim, założone przez sp. kard. Bolesława Kominka. (...) Jeśli zaś chodzi o Warmię, gdzie pracowałem w latach 1959-1970, to spotkało się tam w oym czasie więcej różnic niż na Śląsku. Były tam dwie grupy. Jedną stanowili Warmiacy autochtoni katolicy, zaś drugą Warmiacy autochtoni protestanci. Protestantom mamy również na Dolnym Śląsku, ale jest ich niewiele (ok. 5 tys. osób)”. ■ *Wieczór o Bujnym i tragicznym życiu Marka Hłasli* odbył się w polskiej księgarni *WAWEL* w Kolonii. Wyświetlano telewizyjny film dokumentalny *Temidy Stankiewiczówny*. Fragmenty utworów (*Następny do raju. Piękni dwudziestoletni*) czytał Grzegorz Nurkowski. ■ Księgarnia polska w Berlinie Zachodnim — *STODIECK* — urządziła wieczór poetycki *Zdzisława Jaskuły* (Łódź). Jaskuła był współzałożycielem *PULSU* i współpracował z *ZAPISEM*. Jednocześnie księgarnia wystawiała prace malarstwa i grafiki Macieja Dziedzela (Gdańsk), artysty-plastyka osiadłego w Berlinie Zachodnim od 1981 roku. ■ Jaga Żeleszkiewicz i Waław Stawinny (zachodniobermberska radiostacja *RIAS*) przeprowadzili obszerny półgodzinny wywiad z red. Jerzym Giedroyciem z okazji 40-lecia *Kultury*. Wywiad był również nadany przez radiostację w Kolonii i Hamburgu. ■ *Zamek Królewski* w Warszawie otrzymał cenny dar przekazany przez rząd Badenii-Wirtembergii. Jest nim portret arcyksiężniczki austriackiej, Konstancji (1588-1631), od 1605 roku drugiej żony Zygmunta III Wazy. ■ W pierwszym półroczu bież. roku ambasada RFN w Warszawie wydała 164 tys. wiz. W porównaniu z rokiem ubiegłym oznacza to wzrost liczby wyjazdów o 7 %. Zaledwie 0,5 % wniosków odrzucono. ■ W pierwszym programie zachodnioniemieckiej TV nadano trzygodzinny film *Das Attentat (Zamach z 13 maja 1981 roku na placu św. Piotra w Rzymie)*. W niemieckojęzycznej wersji wziął udział polski pisarz i publicysta Tadeusz Nowakowski, który ten wielki europejski spektakl prowadził i komentował. Scenariusz *Zamachu* napisali Włosi Sandro Petraglia i Stefano Rulli, reżyseria — Giuseppe Fina. W głównej roli Ali Agcy wystąpił Christopher Buchholz. Film oglądało ok. 9 mln widzów w RFN i Austrii. ■ *Fundacja im. Maksymiliana Kolbe* z siedzibą we Fryburgu (Breisgau) pomogła polskim b. kacetcom i ich

rodzinom w ub. roku zasiłkami pieniężnymi i sprzętem medycznym o łącznej wartości 2,8 mln marek. ■ Herbert Hupka prawdopodobnie straci status deputowanego do *Bundestagu*, gdzie posłuje od 1969 roku. *CDU* zaoferowała Hupce — beznadziejnie — 44 miejsce na liście (Północna Nadrenia-Westfalia). Natomiast Czaja otrzymał mandatowe miejsce w Badenii-Wirtembergii, ale szanse przejścia nie są duże. Hamburgska *Die Zeit* twierdzi, iż w ten sposób kanclerz Kohl pokwitował żenujący slogan Hupki — *Śląsk pozostanie nasz*.

Andrzej J. CHILECKI

## ORBIS BOOKS (LONDON) LTD.

NAJSTARSZA  
KSIĘGARNIA POLSKA W LONDYNIE

66 Kenway Road, London SW5 ORD

Telefon: 01-370 2210

Książki polskie — wydawnictwa emigracyjne i krajowe — oraz w języku angielskim (również wydawnictwa amerykańskie) dotyczące spraw polskich i Europy Wschodniej. Wydawnictwa zachodnie w języku czeskim, rosyjskim i ukraińskim.

Prowadzimy dział antykwaryczny książek polskich — wydania przedwojenne i emigracyjne. Wykazy wysyłamy na żądanie. Prosimy o nadsyłanie dezyderatów.

Słowniki — książki dla dzieci — płyty i kasety.

Wykonujemy zamówienia pocztowe. Przyjmujemy karty kredytowe ACCESS, VISA, AMERICAN EXPRESS, EUROCARD, MASTERCARD.

Nasz biuletyn informacyjny *NOWE KSIĄŻKI* ukazuje się 3 razy do roku.

Prenumerata roczna: £ 3.00; \$ 5.00 — dla stałych klientów bezpłatna.

## KONTAKT

Miesięcznik redagowany przez członków  
i współpracowników NSZZ „Solidarność”

Adres Redakcji: 152, rue St-Maur, 75011 Paris.

Zamówienia i czeki prosimy kierować bezpośrednio na adres Redakcji. Należności wysyłane pocztą przekazywać na konto pocztowe CCP Paris 351140 E.

Cena egzemplarza F. 28; Roczna prenumerata F. 300;  
półroczna F. 155.

## Sprawy i troski

### Australijska polityka imigracyjna

(Z PROFESOREM JERZYM ZUBRZYCKIM ROZMAWIA  
MIECZYŚLAW GÓRSKI)

MIECZYŚLAW GÓRSKI: — *Jakie założenia teoretyczne, jakie przesłanki polityczne i filozoficzne legły u podstaw australijskiej polityki imigracyjnej? Jak kształtowała się historycznie zarówno myśl teoretyczna, jak i polityka imigracyjna?*

JERZY ZUBRZYCKI: — Spróbujmy zacząć od definicji polityki imigracyjnej. Definiuję ją w dwojaki sposób. Po pierwsze jest to zbiór przepisów i ustaw administracyjnych i wymagań jakie trzeba spełnić, aby uzyskać dostęp do kraju (kogo się wpuszcza, kogo się nie wpuszcza, w jakich ilościach, jakie kategorie zawodowe, etniczne itd.).

Drugi wymiar polityki imigracyjnej dotyczy tego, co robi się z ludźmi po przyjeździe. Po angielsku określa się to terminem *settlement*. Moja specjalność dotyczy tej drugiej kategorii, mianowicie tego, jak się tworzy z imigrantów nowy naród. To jest chyba kluczowy punkt polityki imigracyjnej.

Powiem jednak najpierw o pierwszym aspekcie polityki imigracyjnej. Australia w roku 1945, pod koniec drugiej wojny światowej, stanęła w obliczu ogromnego zagrożenia inwazją japońską. Japończycy bombardowali Australię, próbowali zdobyć ten kontynent. Ogrom nieszczęścia, jakie mogło ich spotkać, otworzył Australijczykom oczy na to, że jest za mało ludzi, którzy by tego kraju bronili. Wówczas powstało pytanie: co zrobić? Dylemat oznaczony angielskimi słowami *populate or perish*, czyli „zaludniaj lub zgin”.

W tym czasie na szczęście znaleźli się u steru rządu federal-

nego ludzie zupełnie wyjątkowej miary. Należeli oni do gabinetu labourzystów, który objął władzę w Australii w drugiej połowie okresu wojennego. Ludzie ci powzięli decyzję, całkowicie sprzeczną z dotychczasowymi zasadami polityki ich partii. Zdecydowali, że imigracja powinna stać się najważniejszym punktem polityki tego kraju. Że trzeba robić wszystko, aby dostępnymi środkami, za pieniądze podatników, środkami państwowymi, sprowadzać imigrantów, osiedlać, dawać im możliwości stworzenia sobie nowego życia.

Tak się stało. Labourzyści potrafili przekonać związkę zawodową, do tej pory bardzo nieprzychylną tej myśli, i w roku 1946 i 1947 program imigracyjny został ogłoszony przez Parlament Federalny.

Był to moment przełomowy. Program zrywał z dotychczasowymi zasadami rządzącej partii labourzystowskiej i otwierał przed Australią zupełnie nowe możliwości. Przewidywał on, że ludność Australii będzie wzrastała co roku o 2%. Połowę tego wzrostu miał stanowić przyrost naturalny, a drugą połowę przyrost uzyskany przez imigrację. Od tej chwili program ten stał się polityką obu partii politycznych, wyszedł poza ramy rozgrywek międzypartyjnych. Został przyjęty jako obowiązujący wszystkich Australijczyków, i kolejne rządy, labourzystowskie i konserwatywne, go realizowały.

Przewidywano wtedy (jakże naiwnie, jak się okazało), że na dziesięciu przybywających imigrantów dziewięciu przyjedzie „ze starej macierzy”, tzn. z Wielkiej Brytanii, a jeden z innych krajów.

Stało się prawie odwrotnie. Okazało się, że nie było Brytyjczyków, którzy chcieliby tu przyjechać. Tam wtedy — a sam wówczas mieszkałem w tym kraju jako student — panowało ogromne zapotrzebowanie na pracę. Nie było w ogóle kandydatów na emigrację, nie było zresztą środków do przewożenia ludzi, nie było statków do tego przystosowanych.

Natomiast w Europie Środkowej było w tym samym czasie bardzo dużo ludzi, którzy po drugiej wojnie światowej znaleźli się tam jako uchodźcy i nie zostali objęci falą repatriacji do własnych krajów — przeważnie Polaków, Czechów, Ukraińców, Rosjan. Było ich w tym okresie blisko miliona, powstał więc plan, ażeby tych ludzi tutaj przywozić w dużych ilościach. Australia przystąpiła do *International Refugee Organisation* (IRO) i ta organizacja objęła pieczę nad ludźmi siedzącymi w obozach na terenie Niemiec i Australii. Zorganizowała masową ewakuację w warunkach bardzo prymitywnych, statkami handlowymi, przystosowanymi do transportu ludzi. W ciągu trzech lat przybyło do Australii blisko 200 tysięcy imigrantów, wśród nich tylko około

10% Brytyjczyków. Proporcje były więc odwrotne niż przewidywano.

Taka sytuacja trwała do wczesnych lat 50-tych, kiedy to ilość Brytyjczyków zwiększyła się. W tym czasie rozpoczęła się również imigracja z Południowej Europy, szczególnie Włochów, nieco później Greków. Napłynęła również dosyć duża fala z przeludnionej Holandii. Było to bardzo ciekawe zjawisko. Trwało krótko, ale Holendrów przyjechało wtedy chyba około 150 tysięcy. Holendrzy nigdy przedtem do Australii nie emigrowali. To był dla nich zupełnie nowy kraj. Można to częściowo wyjaśnić faktem, że gdy dawne Indie holenderskie — Indonezja — odzyskiwały niepodległość, duża ilość Holendrów tam zamieszkałych postanowiła nie wracać do Holandii i uciec do Australii. Była to specyficzna emigracja czasów dekolonizacji.

Takie więc były początki imigracji. Skutek jest taki, że ludność Australii wzrosła z niespełna siedmiu milionów w roku 1947 do blisko szesnastu milionów obecnie. Trzy czwarte tego przyrostu stanowią imigranci i ich dzieci.

M.G.: — *Czy istnieje na świecie precedens tak szybkiego wzrostu ludności w oparciu o imigrację?*

J.Z.: — Nie, nie istnieje. To jest bardzo ważne, słusznie pan to zauważył, nigdy i nigdzie nie było tak szybkiego skoku i to trwającego przez trzy dziesiątki lat. Do Ameryki Północnej był duży napływ emigrantów, ale proporcjonalnie do ilości ludzi już mieszkających na kontynencie północno-amerykańskim tamte fale emigracyjne nie były wcale takie duże.

Rozwijająca się imigracja do Australii zmuszała do obmyślenia całościowej koncepcji osiedlenia tej wielkiej ilości ludzi. Pierwsze założenia były bardzo proste. Mówiły, opierając się o doświadczenia Wielkiej Brytanii, że ci ludzie się tutaj zaasymilują, z dnia na dzień tracą swoją osobowość etniczną, szybko wsiąkną w nowy grunt, a już szczególnie miało to dotyczyć ich dzieci.

Z takiego założenia wychodziły obie partie polityczne, popierane w tym zakresie przez wybitnych polityków i uczonych. Dziś, z perspektywy trzydziestu kilku lat, widać, jak bardzo założenia te były naiwne. Myśleć wtedy inaczej było jednak bardzo trudno, a może nawet niemożliwe. Jedynym przykładem, z którego można było czerpać doświadczenia była Ameryka. Amerykańska ideologia „wrzącego tygla”, w którym wymieszają się różne kultury, języki i religie, aż powstanie z nich nowa jakość, wydawała się w Australii mało realna i mało przydatna. Nie sprawdziła się zresztą również w Ameryce. Pozostała więc tylko polityka asymilacyjna. I to był model, który wówczas zaakceptowano.



Prowadzono więc w tym zakresie politykę całkowitej bierności. Po prostu nie robiono dla imigrantów właściwie nic. Przyjeżdżali, jakiś czas spędzali w obozach przejściowych, następnie szli do pracy. I zapominano o nich zupełnie. Nie stwarzano im żadnych możliwości uczenia się języka angielskiego, nie uczono ich historii i geografii Australii, tak jak nie uczono oczywiście społeczeństwa australijskiego historii i kultury krajów, z których przybywali imigranci, nie uczono współżycia z „obcymi”.

Imigranci nie otrzymywali żadnych świadczeń społecznych, które by im pozwalały na stopniowe, rozsądne przejście do nowego klimatu, do nowych warunków społecznych, do innej kultury.

Powtarzam: polityka asymilacji była polityką bierności. Mówię o latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Kiedy w Europie zaczynało się myśleć o polityce imigracyjnej w zupełnie innych kategoriach, Australia tkwiła jeszcze ciągle w polityce asymilacji. Na wszystkich odcinkach: w polityce zatrudnienia, oświacie, opiece zdrowotnej, opiece społecznej.

Dopiero w późnych latach sześćdziesiątych pojawiły się głosy krytyczne. Mam prawo sądzić, że mój głos był w tym czasie najważniejszy, najdonioślejszy. Moje poglądy i propozycje, jak i głosy kilku innych uczonych, oparte były o poważne studia i badania.

Wychodziłem z założenia, że nie można pod groźbą bardzo poważnych konsekwencji nadal prowadzić takiej polityki. Podkreślałem, że Australia traci ważną możliwość uzyskania z wielkiej fali imigrantów tych wartości, które mogą ją wzbogacić. To było założenie pierwsze.

Założenie drugie: nie ucząc języka angielskiego dzieci, które przyjeżdżają do Australii, tworzy się getto dzieci drugiej kategorii, a zarazem rezygnuje się z talentów i zdolności, jakie z sobą przywożą. Te dzieci, które przyjeżdżały do Australii w wieku dziecięciu i więcej lat z trudem, albo i wcale nie kończyły szkoły, nie zdobywały więc dobrych zawodów, nie szły na uniwersytety. Obliczyłem kiedyś, że w latach sześćdziesiątych Australia zrezygnowała z kształcenia prawie pół miliona utalentowanej młodzieży.

W tym czasie pojawiło się także inne zjawisko. Wskazywali na nie ludzie nauki, politycy, prasa. Znaczną część ówczesnych imigrantów stanowili Turcy z Anatolii, włoscy robotnicy rolni, niewykwalifikowani robotnicy arabscy. Te mniejszości zaczęły na dość dużą skalę tworzyć getta etniczne. Dotyczyło to szczególnie np. Melbourne i Sydney. Żyli we własnym świecie, nie kontaktując się niemal z resztą społeczeństwa, skazani na dożywotni los niewykwalifikowanej siły roboczej, nie mając możliwości zapewnienia innego startu swym dzieciom. Było to całkowicie sprzeczne z australijską ideologią *fair go*, dania każdemu możliwości

awansu i kariery, z ideologią równości społecznej. Było to sprzeczne z australijskim etosem opartym na tym założeniu.

Ten wyraźny, można powiedzieć dramatyczny kontrast między etosem australijskim a brutalną rzeczywistością wytworzoną przez bierną politykę asymilacyjną ułatwiał jej pryncypialne kwestionowanie.

W tych okolicznościach pojawiła się w Australii koncepcja najpierw pluralizmu kulturowego, a później wielokulturowości. Było to w roku 1968. Byłem pierwszym człowiekiem w Australii, który w styczniu 1968 roku opublikował całościową koncepcję takiej polityki. Następnie wystąpiłem z nią i w jej obronie na wielkim zgromadzeniu — Australijskiej Konwencji Obywatelskiej — w stolicy Australii, Canberze. Reprezentowani tam byli politycy, związki zawodowe, Kościoły, uczeni. Uważano wtedy, że swymi poglądami i propozycjami zrzuciłem na Australię bombę.

W skrócie: proponowałem odejście od polityki asymilacji we wszystkich dziedzinach życia politycznego, ekonomicznego, kulturalnego, oświatowego itd. Nową filozofię polityki imigracyjnej nazwałem *pluralizmem kulturowym*. Dowodziłem, że w kraju, który w coraz większym stopniu opiera się w swym rozwoju na imigrantach, należy stworzyć sieć usług, które zagwarantują im wszechstronną pomoc przy starciu w nowym kraju. Pomoc socjalną, materialną, w nauce języka, w możliwości zrozumienia zasad, na jakich funkcjonuje w Australii jednostka i społeczeństwo, i zapewnić im zarazem pełnię praw obywatelskich. Podkreślałem też, że imigranci muszą mieć prawo pielęgnowania swoich wartości kulturowych, swojej literatury, języka. Na koszt podatnika, na koszt państwa. Dowodziłem, że trzeba im stworzyć szerokie możliwości awansu społecznego i zawodowego. Wymagało to oczywiście całkowitej zmiany polityki oświatowej. Domagałem się szerokiego programu nauczania o imigrantach, pokazywania jakie wartości wnoszą do społeczeństwa australijskiego. Było bowiem oczywiste, że tylko pod tym warunkiem można prawidłowo sterować polityką kulturowego pluralizmu.

W rok później zostałem przez rząd australijski zaproszony do udziału w Australijskiej Doradczej Radzie Imigracyjnej. Byłem pierwszym nie rodowitym Australijczykiem w tej radzie.

M.G.: — Czy istnieje pojęcie nacjonalizmu australijskiego? W Europie polityka wielokulturowości rodzi często nie tylko sprzeciw wynikający z przesłanek ekonomicznych, ale także z przesłanek politycznych, wynikających z ksenofobii społeczeństw przyjmujących emigrantów. Czy tego typu opory były i są właściwe społeczeństwu australijskiemu?

J.Z.: — Sądzę, że nacjonalizm australijski istnieje, ale poza nielicz-

nymi zjawiskami nie wydobyl z siebie ksenofobii. Tu podkreśla się raczej, że tworzy się nowe pojęcie narodowości. Australijski nacjonalizm — to paradoks — jest dziś także wielokulturowy. Jedną z moich prac, ta która nosi tytuł „Wielokulturowość dla wszystkich Australijczyków”, stała się podstawą australijskiej polityki wielokulturowości. Jej tytuł daje pewną odpowiedź na postawione pytanie.

Wyszliśmy z założenia — i jak sądzę, jest ono realizowane w praktyce — że w oparciu o wielokulturowość kształtuje się nowe pojęcie narodowości australijskiej i australijskiego nacjonalizmu. Taka polityka i taka postawa wykluczają nacjonalistyczną ksenofobię.

Są oczywiście przejawy ksenofobii wśród przeciwników takiej polityki. Ale to są głosy sporadyczne i reprezentują niewielką część opinii publicznej.

Główny nurt stanowi zdecydowanie polityka wielokulturowości. Gdy trzeba ją było ukształtować, rząd federalny mianował mnie przewodniczącym Podkomitetu Planowania Społecznego. W jego skład wchodziłi przedstawiciele najważniejszych organizacji politycznych i społecznych. Szczęśliwie się złożyło, że byli to ludzie wielkiej miary, m.in. dzisiejszy premier Australii pan Howk, który wówczas był przewodniczącym Centrali Związków Zawodowych w Australii.

Przygotowaliśmy dla rządu kilkanaście raportów, przedstawiając w nich program odejścia od polityki asymilacji we wszystkich dziedzinach życia i program budowania polityki wielokulturowej zarówno w nowej filozofii myślenia, jak i w praktycznym działaniu, w konstruowaniu nowych wzorców polityki społecznej na przyszłość. W 1977 roku powstało nowe ciało: Australijska Rada do Spraw Etnicznych. Zostałem także przewodniczącym tej rady. Rząd powierzył jej opracowanie całościowej koncepcji polityki wielokulturowej w Australii. Owocem tych prac był powstały w błyskawicznym tempie — w ciągu sześciu miesięcy — dokument pt. „Australia jako społeczeństwo wielokulturowe”. Dokument ten sformułował trzy podstawowe zasady wielokulturowości:

1. Spójnia społeczna. Nie wolno robić niczego — dowodziłiśmy — co naruszałoby spójnię społeczną.

2. Uznanie tożsamości kulturowej jako czegoś, co definiuje jednostkę i podtrzymywanie tych wartości kulturowych przez szereg pokoleń.

3. Równość społeczna. Równość w dostępie do dóbr materialnych i dóbr kultury.

Te trzy wskaźniki określały całą koncepcję. Dokument ten, przedstawiły kolejno obu izbom parlamentu australijskiego, został uznany za model układu wielokulturowego. Było to w roku 1978. Następstwa tego były bardzo szybkie i duże. Następnie

powołana została komisja pod przewodnictwem znanego prawnika p. Franka Galibally, która w ciągu kilku miesięcy opracowała raport wskazujący, jakich świadczeń socjalnych potrzeba, aby koncepcję wielokulturowości wprowadzić w życie. Propozycje filozoficzno-polityczne przełożone zostały na język praktyki prawa. Rząd przyjął te propozycje. W parę miesięcy później w nowym budżecie przeznaczono na realizację tej polityki pierwsze 50 milionów dolarów. Zaczęto konstruować i wprowadzać w życie rozległą siatkę usług dla imigrantów.

Przedłożenie tego dokumentu parlamentowi związane było z pewnym precedensem. Został on złożony w parlamencie nie tylko w języku angielskim — jak wszystkie dotąd projekty ustaw — ale także w dziesięciu językach imigrantów. Był to jak gdyby symbol nowej polityki.

W budżecie państwa zagwarantowano imigrantom pomoc w nauce języka, świadczenia w zakresie opieki społecznej, subsydia dla szkół etnicznych, usługi tłumaczy i wiele innych. Rozpoczęto dość energiczne odrabianie zaległości wielu lat. Wszystko to odbywało się w latach 1978-1982.

Narastał jednak jednocześnie pewien ferment filozoficzny i polityczny. Wielu krytyków polityki wielokulturowości powiadało, że taka polityka nie doprowadzi do powstania nowego narodu, ale do skonsolidowania się różnych gett etnicznych i narodowych żyjących obok siebie. Ferment ten przybierał na sile wśród polityków, w kołach uniwersyteckich, w związkach zawodowych, w prasie, w opinii publicznej. Ówczesny minister d/s imigracji zaproponował więc, aby Rada do Spraw Etnicznych, której przewodniczyłem, ponownie zbadała problem wielokulturowości i przedstawiła wizję nowego narodu, jaki ma powstać w wyniku tej polityki za lat np. dwadzieścia.

Podjęliśmy tę pracę, trwała ona półtora roku. Odbyliśmy wiele konsultacji publicznych. Jeździliśmy ze stanu do stanu, z miasta do miasta. Spotykaliśmy się i dyskutowaliśmy z setkami ludzi różnych stanów, różnych zawodów i poglądów politycznych. Naszym zadaniem było skonfrontowanie demokratycznej opinii społecznej z dotychczasową polityką i jej wynikami. Powstały w wyniku tej pracy dokument potwierdzający słuszność prowadzonej polityki i umacniał m.in. bardzo prawa Aborygenów, uprzednio upośledzonych.

Istotą tego dokumentu było żądanie, aby polityka wielokulturowości dotyczyła wszystkich Australijczyków, a nie tylko mniejszości etnicznych. Wielokulturowość nie dotyczy 60 % ludności, ale całego społeczeństwa. Był to koncept zupełnie rewolucyjny. Podkreślaliśmy, że nowe społeczeństwo ma powstawać nie w oparciu o brytyjski nacjonalizm i brytyjską tradycję, ale w oparciu o wielokulturowość.

M.G.: — *Jak ta nowa polityka miała się do otwarcia Australii dla nowych imigrantów?*

J.Z.: — Opracowałem dokument dotyczący także tego problemu. Nazywa się on „Wielokulturowość i polityka imigracyjna w Australii”. Także ten dokument został przedłożony parlamentowi australijskiemu. Prezentujemy w nim stanowisko, że w interesie polityki wielokulturowej leży okrzepnięcie różnych grup etnicznych. Musi to oznaczać prawo do łączenia się rodzin. Każdy kto otrzymuje prawo pobytu w Australii ma demokratyczne prawo domagania się przyjazdu tu swej rodziny.

Muszę tu podjąć trudne problemy, jakie stwarza imigracja do Australii ludności z krajów azjatyckich. Początkiem Australii jako niezależnego państwa federalnego w roku 1901 było ustawodawstwo, które zabraniało przyjazdu do Australii ludziom innym niż biali. Była to tzw. „polityka białej Australii” — *White Australia Policy*. Jedną z pierwszych ustaw uchwalonych przez australijski parlament federalny była ustawa o restrykcjach w sprawie imigracji Azjatów do Australii. Wizja „białej Australii” przetrwała do lat powojennych. Utrzymywały ją powojenne rządy labourzystów i konserwatystów.

Konieczności polityczne zmusiły jednak Australię do rewizji tych poglądów. Zaczęło się to we wczesnych latach sześćdziesiątych. W tym czasie grupa ludzi związana z uniwersytetami w Melbourne, Canberra i Sydney zaczęła wydawać broszury, które kwestionowały zasady polityki „białej Australii”. Mówiły — bardzo jeszcze wówczas nieśmiało — że w obliczu bliskiego sąsiedztwa z krajami Azji polityka ta pozbawiona jest racjonalnych podstaw. Podkreślały, że Australia zarówno geograficznie, jak i politycznie jest coraz bardziej częścią Azji, że nie wolno nam odcinać się od kultur azjatyckich. Musimy więc dopuścić do imigracji ludności z krajów azjatyckich.

Zaproponowaliśmy — byłem współautorem tych pierwszych broszur — aby Australia ustanowiła pewną coroczną kwotę imigracji z krajów azjatyckich. O nieśmiałości tych propozycji świadczy fakt, że proponowaliśmy rocznie kwotę 300-400 osób o najwyższych kwalifikacjach. Mimo to zostaliśmy ostro zaatakowani przez prasę i polityków. Wszyscy byli nam przeciwni. Zarzucano nam, że naszych propozycji nie opieramy na żadnych realnych, racjonalnych przesłankach. Twierdzono, że są one nie do przyjęcia.

Rzeczywistość wyprzedziła nasze ówczesne nieśmiałe propozycje. Już kilka lat temu zaczęło tu przyjeżdżać rocznie około 20 tys. Azjatów.

Zmiana polityki zaczęła się od przyznawania stypendiów stu-

dentem azjatyckim. Następnie konflikt w Indochinach i uczestnictwo Australii w tej wojnie, a później klęska i upadek Południowego Wietnamu uświadomiły Australijczykom — a poległo ich w Wietnamie kilka setek — że mają wobec tego kraju olbrzymie zobowiązania, że tym, z którymi walczyli razem przeciw wspólnemu wrogowi nie mogą odmówić pomocy i prawa do imigracji.

Kiedy w Malezji i w Syjamie zaczęły gromadzić się w obozach dla uchodźców znaczne ilości Wietnamczyków, musieliśmy odpowiedzieć sobie na pytanie: czy i w jakiej ilości możemy ich przyjmować? Opinia publiczna w przeważającej większości odpowiedziała się za tym, że powinniśmy i musimy ich przyjmować. Ogromną i pozytywną rolę odegrał tu zarówno parlament australijski, jak i ówczesny rząd konserwatywny. Decyzje te miały ogromne poparcie ówczesnego przewodniczącego związków zawodowych, a dzisiejszego premiera labourzystowskiego, pana Hawka. W tym czasie byliśmy obaj członkami Rady do Spraw Uchodźców. Wspólnie byliśmy autorami raportu, który stwierdzał, że Australia musi przyjmować emigrantów z Azji.

Wkrótce zaczęły do północnej Australii, do Darwinu, przybijać łodzie z uchodźcami wietnamskimi, którzy długie tygodnie podróżowali przez ocean małymi łodziami, bez słodkiej wody, bez wystarczającego pożywienia. Pierwszy raz zjawiał się w Australii ktoś bez selekcji i zezwolenia, bez wizy. To było kiedyś nie do pomyślenia. Otworzyło to Australijczykom szerzej oczy na ogrom dziejącej się tragedii, jak i na fakt, że chcą czy nie chcą, są jednak częścią Azji i muszą uczestniczyć w jej problemach.

Oczywiście wszyscy przybywający w ten sposób otrzymywali azyl. Nikogo nie odesłano. A było ich bardzo wielu i wywoływało to wielkie zaniepokojenie. Postanowiono więc przyjmować uchodźców wietnamskich przebywających w obozach, głównie w Syjamie, i tam dokonywać wyboru tych, którzy uzyskają zezwolenie imigracji do Australii. Był to moment przełomowy, moment otwarcia Australii, moment obalenia teorii i praktyki „białej Australii”. Zmieniło to oczywiście wizję Australii przyszłości. Ustawiło ją jako kraj, który jest częścią Azji.

Przyjazd ogromnej ilości ludzi reprezentujących inną kulturę, inne religie, inne obyczaje zmienił perspektywy przyszłości, uświadomił, że Australia nie jest małą emanacją Wielkiej Brytanii czy Europy, ale politycznie i geograficznie częścią Azji. Nie odbyło się to oczywiście bez wielkich wstrząsów i protestów. Wielu ludzi, nawet wielkiej miary, wstrząśniętych było tym, że nagle zmienia się skład etniczny i rasowy Australii i że wszystko to odbywa się bardzo szybko.

Kiedy byłem w Szwecji w 1985 roku gościem rządu szwedzkiego, dyskutowaliśmy o tych problemach m.in. z Jonasem Widgre-nem i Tomasem Hammarem. Wiem, że Olof Palme nie chciał,

aby w Szwecji polityka imigracyjna była przedmiotem kampanii wyborczej i kontrowersji między partiami politycznymi. Także my w Australii staraliśmy się, aby polityki imigracyjnej nie uczynić przedmiotem rozgrywek politycznych między partiami.

Oczywiście nie, o czym tu mówimy, nie o byciu się bez walki. Jednak zgoda między partiami została w tej sprawie osiągnięta. Był to bardzo ważny czynnik, umożliwiający opracowanie tej polityki i jej realizację. Zarówno konserwatyści, jak i labourzyści zaakceptowali politykę wielokulturowości. Obie partie zobowiązały się do kontynuowania tej polityki. Elita, która to zaakceptowała, nie ma ciągle jeszcze poparcia ogółu. Ciągłe są wypadki rasistowskich wystąpień, szczególnie w tych rejonach Australii, gdzie są większe skupiska emigrantów azjatyckich. Sądzę, że rozmiary tych problemów nie są jednak tak ogromne, jak np. w Niemczech Zachodnich, a nawet w części Szwecji czy szczególnie w Anglii. Uważamy, że zakres napięć społecznych w Australii na tle problemów imigracji jest mniejszy niż we wszystkich innych krajach imigracyjnych z Kanadą włącznie.

Naszą politykę wielokulturowości konstruowaliśmy niestety bez żadnych wzorców zagranicznych, w oparciu o dorobek małej grupy ludzi, która nad tym myślała. Kiedy w jakiś czas później byłem w Szwecji, dowiedziałem się, że szwedzka komisja parlamentarna w swoim raporcie zaproponowała zasady bardzo podobne do naszych. Kiedy przekonałem się o tym w rozmowach z Tomaszem Hammarem, powiedziałem, że nie widzę innego wyjaśnienia jak tylko to, że zarówno Australia jak i Szwecja są dziećmi Wielkiej Rewolucji Francuskiej.

M.G.: — *Jak można zdefiniować teoretyczne podstawy australijskiej polityki wielokulturowości?*

J.Z.: — Wielokulturowość to filozofia tworzenia nowej spójnej społecznej, opartej na poszanowaniu wkładu poszczególnych wzorców kulturowych, które wchodzą w społeczeństwo drogą imigracji. Musi to być podtrzymywane daniem poszczególnym osobom, rodzinom i grupom społecznym dostępu do wszystkich dóbr materialnych i usług, które istnieją w tym społeczeństwie.

Australia jest najbardziej kosmopolitycznym społeczeństwem na świecie, bardziej nawet niż USA. Taka właśnie wizja społeczeństwa australijskiego jest konsekwencją szeroko pojętej demokracji. Jest to oczywiście wizja ciągle w trakcie stawania się. Wielokulturowość demograficzna ma się wyrażać również w przyjęciu wzorców filozoficznych, modelu pracy, modelu myślenia, które określa moja teoria wielokulturowości.

M.G.: — *Jak wyobraża sobie Pan Australię przyszłości? Jaka*

*filozofię proponuje Pan społeczeństwu australijskiemu na nadchodzące dziesięciolecie?*

J.Z.: — Wielokulturowość będzie, jak sądzę, dla nowych pokoleń czymś znacznie bardziej naturalnym niż dla pokoleń dziś już dojrzałych. Na przyszłość widzę Australię jako społeczeństwo politycznie i kulturowo znacznie bliższe tworzącej się dziś trzeciej sile. Wydaje mi się, że w XXI wieku obecny dwubiegunowy układ: Stany Zjednoczone Ameryki — Rosja Sowiecka, straci swoją wagę. Wielką rolę zaczną odgrywać wielka siła Chin i wielka siła ekonomiczna rozwijających się krajów południowo-wschodniej Azji. To będzie siła ważniejsza niż Wolny Rynek Europejski. Rozwijające się kraje południowo-wschodniej Azji, coraz prężniejsze ekonomicznie, wypłyną razem z Chinami jako wielka siła polityczna. O układzie politycznej równowagi decydować więc będą trzy, a nie dwie siły na świecie. Będzie odgrywać bardzo ważną rolę fakt, że Australia utrzymuje z tymi krajami bardzo bliskie stosunki ekonomiczne, polityczne, a także coraz bardziej stanowi ich naturalne zaplecze emigracyjne.

M.G.: — *Czy koncepcja asymilacyjna jest już dziś martwa?*

J.Z.: — Jako polityka bierności, jako polityka oparta na przekonaniu, że imigranci dziesiątków różnych narodowości przemienią się w Anglosasów — tak!

Natomiast jeśli myślimy o asymilacji jako o procesie, do którego dojść musi, to oczywiście, że asymilacja jest procesem nieuniknionym. Ja sam jestem zaasymilowanym Australijczykiem w sensie przywiązania do instytucji australijskich, które jednak nie są już brytyjskie, ale wielokulturowe. Jestem obywatelem tego kraju i jestem z niego dumny, ale jednocześnie w układzie wielokulturowym nie jestem wynarodowiony. Jestem w dalszym ciągu Polakiem, tak jak i moje tu urodzone dzieci. To jest ogromna zaleta wielokulturowości, że otwiera człowiekowi obie możliwości, wzbogacając społeczeństwo i kulturę australijską. Można być Australijczykiem, zachowując swoje korzenie, tradycję i świadomość. W przemówieniach naszych ministrów, naszego premiera stale powtarza się wątek: zachowujcie swoje korzenie, będąc Australijczykami.

M.G.: — *Jest Pan profesorem twórcą Państwowego Instytutu Spraw Wielokulturowości. Czy mógłby Pan powiedzieć, jakie są jego rola i zadania?*

J.Z.: — Instytut ten powstał na podstawie decyzji parlamentu australijskiego w roku 1978. Ma on za zadanie prowadzenie badań nad realizacją polityki wielokulturowości. Przeprowadzili-

my np. duże badania dotyczące sytuacji ludzi starych (a także ludzi młodych), na tej podstawie przedłożyliśmy wnioski co do zakresu i form pomocy materialnej, jakich grupy te potrzebują. Zatrudniamy także np. dziennikarzy piszących różnego rodzaju publikacje przeznaczone dla kształcenia młodzieży, nauczycieli, przygotowujemy odpowiednie audycje dla radia i TV (radio i TV mają specjalne tzw. kanały etniczne, nadające programy we wszystkich językach grup narodowościowych) a nawet produkujemy własne filmy. Oczywiście podstawową naszą działalnością są wspomniane na wstępie badania naukowe. Mamy własną bibliotekę, dużą płytotekę. W sumie pracuje tu ok. czterdziestu osób. Zespół jest bardzo dobry, dynamiczny i zyskał w społeczeństwie należną mu rangę.

*Rozmowę przeprowadził Mieczysław GÓRSKI*

## **DOM POLSK W LOURDES**

Polska Misja Katolicka w Paryżu z okazji 150-cioletniej rocznicy swego założenia otworzyła w Lourdes pięknie położony „Dom Pielgrzyma”, do którego zaprasza wszystkich Polaków odwiedzających Lourdes. Dom prowadzą Siostry Nazaretanki, które udzielają wszelkich bliższych informacji.

Adres:

**La Maison de la Mission Catholique Polonaise  
„Bellevue”, Route de Bartrès, 65100 Lourdes  
(à côté du Centre de Dialyse). Tel.: 62-94-91-82.**

## **Ci, co odeszli**

### **Profesor Edward Lipiński**

#### **WSPOMNIENIE O PROFESORZE LIPIŃSKIM**

13 lipca 1986 roku zmarł w Warszawie Profesor Edward Lipiński, przeżywszy lat 96. Zналиśmy go i przyjaźniliśmy się z Nim od dawna. Zanim opublikujemy o Profesorze większe studium zamieszczamy poniżej fragmenty pięknego przemówienia Jacka Kuronia, nie wygłoszonego na pogrzebie Profesora, a które zostały wydrukowane w numerze 177 *Tygodnika Mazowsze* z dnia 30 lipca bież. roku.

**REDAKTOR**

„W KOR-ze mówiliśmy o nim Profesor, choć przecież nie był jedynym profesorem wśród nas. Trochę tak jak w szkole, kiedy wśród nauczycieli znajdzie się ktoś, kto uczy nie tylko przedmiotu, ale i życia. A był Profesor naszym mistrzem życia, tyle że my nie byliśmy klasą szkolną.

Ludzie, którzy rozpoczęli akcję pomocy represjonowanym robotnikom Ursusa i Radomia, szybko uznali, że powinni mieć przedstawicielstwo występujące publicznie. Potrzebowali więc osób o znanych w kraju nazwiskach, które byłyby na takie wystąpienie gotowe. A zdawało się ono wtedy beznadziejne. Mówiono: jeśli podpiszecie deklarację założycielską KOR w 14 osób to jedyny wasz sukces będzie polegał na tym, że w Polsce będzie o 14 więźniów politycznych więcej. — I to rzeczywiście będzie nasz sukces — powiedział Profesor — 14 intelektualistów, którzy na ochotnika zgłoszą się siedzieć z robotnikami więzionymi za strajk i demonstrację! Pewnie jeszcze niejeden z nas się wahał, ale tym zdaniem Profesor przesądził sprawę. KOR powstał, skupił wielu wybitnych, obdarzonych autorytetem ludzi, różnych pokoleń i orientacji ideowo-politycznych.

To nie była klasa szkolna, a przecież On był naszym Profesorem. W marcu 1979 po napadzie bojówek na moje mieszkanie, w którym prowadziłem wykłady w ramach TKN-u, gdy dotkliwie pobito moją żonę i syna, zawiesiłem wykłady. — Dlaczego Pan

to zrobić? — skoczył mi do oczu Profesor. — Przecież Pan wie, że jak im się ustępuje, to oni zwiększają nacisk. Odpowiedziałem, że boję się robić wykład u siebie, a skoro tak, to nikogo o mieszkanie nie mogę prosić. — Proszę to zrobić u mnie — odpowiedział. Wyobraziłem sobie kruchego, małego Profesora wśród dzieł sztuki, do których był tak przywiązany. A wiedział przecież, na co się decyduje. I przypomniałem sobie znamiennej scenę z pamiętników Krzywickiego: któregoś dnia w końcu lat trzydziestych w gmachu Szkoły Głównej Handlowej było zadziwiająco pusto i tylko w środku holu samotnie stał nieduży profesor Lipiński. Okazało się, że na ten dzień zapowiedziały swój napad bojówki ONR-u. — I co Pan profesor tu robi? — pyta Krzywicki. — Jak to co? — dziwi się Lipiński — przecież trzeba dać im odpór. — Myślę że ten opis jest najkrótszym możliwym streszczeniem całego życia Profesora: stanąć naprzeciw ciemnym mocom i nie ustąpić, samotnie — jeśli tak wypadnie (...).

Na zebraniach KOR-u, które odbywały się w mieszkaniu Profesora, on sam siedział w fotelu z dłonią przy uchu i w skupieniu słuchał każdego zabierającego głos. Kłóciliśmy się ostro, a on, taki wiekowy i wielki — rzeczywiście wielki i od najmłodszego z nas, Piotra Naimskiego, starszy o 60 lat — tyle razy ustępował z nas, Piotra Naimskiego, starszy o 60 lat — tyle razy ustępował w poszukiwaniu kompromisu i tyle razy dał się przekonać (...).

Swoje wystąpienie na I Zjeździe Solidarności Profesor zaczął tak: „Pierwsze przemówienie wygłosiłem na wiecu w 1904 roku — mówiłem o związkach zawodowych. Być może ostatnie wygłaszam do Was”. To nie najważniejsze, że to pierwsze przemówienie było tak dawno — długowieczność nie od nas zależy. Wielu ludziom zdarza się przeżyć wielkie dni — nieść pochodnię oporu, świecić w ciemności, siać ziarno pod przyszły plon przez rok czy parę lat. Ale nasz Profesor całe swoje bez mała 100 lat żył tak właśnie. (...)

W czasie jednej z moich ostatnich wizyt u Profesora rozmawialiśmy o tym, czy socjalizm jako ład sprawiedliwości społecznej jest w ogóle możliwy. Mówiliśmy o doświadczeniach samorządu pracowniczego w Jugosławii i o tym, czy można pogodzić rynek z planowaniem. Była to smutna rozmowa ludzi lewicy. Nagle Profesor z dawną zapalczywością powiedział: — Najważniejsze jest, żeby nigdy nie uznać żadnej formy ładu społecznego za zadowalającą.

Był naszym Profesorem, jest i będzie, bo jego życie było wyzwaniem. Nikt, kto go poznał, nie może już usprawiedliwiać swojej bierności ani zmęczeniem, ani starością, ani tym, że już swoje zrobił. Ze współpracy z Profesorem w KOR-ze wynika dla nas, o tyle od Niego młodszych, nakaz podjęcia sztafety. Biegającej przez pokolenia sztafety ludzi niepokornych i nieustępliwych wobec tyranii, ale gotowych do ustępstw w dyskusji, w poszukiwaniu kompromisu. Ludzi, którzy samotnie będą stać naprzeciw ciemnym mocom, samotnie — jeśli tak wypadnie”.

## Kronika kulturalna

### Genet — śmierć Boga i człowieka

#### I

Kim był Jean Genet? Wielkie dzieło krytyczne Sartre'a nosi tytuł „Święty Genet, aktor i męczennik”. Amerykański krytyk V. S. Pritchett powiedział o nim „nadęty dziwak”, a „Murzynów” nazwał „pretensjonalną retoryką”. Dla Lechonia pojawienie się Geneta i zachwyt nad jego pisarstwem dowodziły „kloaczego smrodu kultury francuskiej”. Gombrowicz — przeciwnie. Witał w nim „wielkiego twórcę i być może największego artystę francuskiego”. I... miał mu w cichości za złe, że w ogóle zaistniał, gdyż od razu dostrzegł bratnią duszę, pisarza, który odebrał mu monopol na „nizszość” i „gębę”. Aby pogodzić tego rodzaju przeciwne sądy zwykło się używać przymiotnika „kontrowersyjny”. Wydaje się jednak, iż najtrafniej powiedział Peter Brook: „sto sprzeczności w jednej osobie”.

Urodził się w Paryżu w 1910 roku. Porzucony przez matkę, wychowywany był do dziesiątego roku życia przez wieśniaków z Morvan. Przyłapany tam na kradzieży trafił do domu poprawczego w Mettray. Wspominając dzieciństwo pisze o sobie, że był naturą „leniwą i marzycielską” i dotkliwie przeżywał los „upokorzonego dziecka”. Odrzucenie przez matkę, co wspominał przez wiele lat, było dlań ogromną krzywdą. Próbował ją odszukać, często o niej myślał, wyobrażając sobie kobietę równie jak on niskiej kondycji społecznej, nędzną i upadłą żebraczkę. Lektura „Dziennika złodzieja” nie pozostawia wątpliwości, że te dwa wydarzenia wczesnej młodości — porzucenie i skazanie przez sąd — były wstrząsami, które ukształtowały jego osobowość. Po ucieczce z więzienia dla młodocianych Genet zaciągnął się do Legii Cudzoziemskiej. Raz odrzucony, pragnął zostać powtórnie przy-

jęty; był jeszcze chłopcem spragnionym więzów z ludźmi, przyjaźni, uczestniczenia w „normalnym” świecie. W „Journal du voleur” wspomina: „Poznałem wreszcie radość przyjęcia do ludzkiej wspólnoty”. Ale wytrzymał w wojsku zaledwie kilka miesięcy. Znowu zaczął kraść. „Gwałtem pokonałem pokusę plugawego koleżeństwa, zrodzonego przez naturalne skłonności, i stwierdziłem ze zdumieniem, iż zyskałem przez to siłę”. Z dziwną lubością bliską masochistycznemu samoudręczeniu i myślom o przyznaniu się do występku obserwuje reakcje okradzionych z ostatnich groszy biedaków. I stwierdza: „Twarz okradzionego to rzecz ohydna”. Decydując się na ucieczkę z Legii, okrada kilku oficerów. Ścigany za dezercję, w latach 1930-1940 przemierza wiele krajów Europy, prowadząc życie włóczęgi, żebraka, złodzieja i pederasty. Był w Hiszpanii, Belgii, Albanii, Jugosławii, Włoszech, Austrii, Czechosłowacji i w Niemczech. Zawędrował również do Polski. „Kiedy przechodziłem granicę między Czechosłowacją a Polską było południe, lato. Idealna linia przecinała pole dojrzałego żyta o barwie podobnej do jasnych włosów młodych Polaków, którzy mają w sobie tę jakąś maślaną łagodność Polski. Wiedziałem o niej, że przez wieki kaleczono ją i litowano się nad jej losem. (...) Posuwałem się powoli, spokojnie, pewien, że jestem postacią heraldyczną, wokół której uformowało się naturalne tło: błękit, złote pole, słońce, lasy. Moja prywatna symbolika wzbogaciła się o symbolikę polską. — W południowym niebie powinien tu szybować niewidzialny, biały orzeł”.

O pobycie w Polsce Genet pisze niewiele. Wiadomo, że za wprowadzanie do obiegu fałszywych pieniędzy przesiedział kilka miesięcy w katowickim więzieniu. Zanotował o policji: „Wewnętrzne niepokoje, wynikające może z bezładnej polityki, narzucają krajom Europy Środkowej policję o przytłaczającej doskonałości. Mówię oczywiście o szybkości działania. Ma się wrażenie, że dzięki denuncjacji przestępstwo znane jest policji, zanim jeszcze zostanie popełnione”.

Po powrocie do Francji Genet zostaje policyjnym szpiclem, denuncjując kolegów-złodziei. Ta zdrada, ujawnienie tajemnic złodziejskiego środowiska coraz bardziej utrudnia mu życie na wolności. Zaczyna odczuwać wokół siebie pustkę, również jako homoseksualista, ponieważ mówiono, że okrada przygodnych kochanków. Niewykluczone, iż sam padł ofiarą donosu. Aresztowano go na gorącym uczynku, podczas próby włamania, i jako niepoprawnego recydywistę skazano na dożywocie. W więzieniu zaczął pisać. Najpierw poematy, które nazwał „śpiewem”, potem prozę i dramaty. Jego pierwszy utwór, elegia „Skazany na śmierć”, napisana jest nieskazitelnym aleksandrynem i poświęcona pamięci zgilotynowanego mordercy Maurice’a Pilorge. Wkrótce powstają

„Notre-Dame-des-Fleurs” i „Miracle de la Rose”. Wbrew religijnemu tytułowi, „Notre-Dame-des-Fleurs” to przydomek mordercy i homoseksualisty, trudniącego się prostytutką. Język i atmosfera tej powieści zapowiadają już pisarza dojrzałego, autora niewiele późniejszych „Pompes funèbres” („Uroczystości żałobne”), gdzie w opisach namiętności homo-erotycznej, biologicznego seksualizmu i głodu erotycznego przekroczone zostały dotychczasowe bariery obyczajowe i tabu. Tabu także polityczne, ponieważ w postaci jednego z bohaterów, młodego esesmana-homoseksualisty Erika, zawarta jest szokująca fascynacja hitleryzmem jako zjawiskiem estetycznym. Oczywiście Genet nie poczuwał się do żadnych powinowactw ideologicznych z faszyzmem; w ogóle obce mu było wówczas rozpatrywanie świata w kategoriach politycznych. Przeciwnie: o Niemczech hitlerowskich, dokąd wybrał się uprawiać złodziejski preceder, pisał z nieukrywaną niechęcią. Ale wtedy, w roku 1945, mówienie o nazizmie inaczej niż było przyjęte wywoływało rozdrażnienie. Nie mieściło się w tuż-powojennym stylu życia Francji, zwycięskiej ale pamiętającej o niedawnym upokorzeniu. Sympatia i fascynacja, z jaką Genet opowiada o Eriku, mogły wydawać się apoteozą niemieckich zbrodni. W książce tej bluźni się zresztą przeciwko wszystkiemu i wszystkim: religii i Kościołowi, normom moralnym i obyczajowym, narodowi, ojczyźnie, patriotyzmowi i panującemu porządkowi politycznemu. Nic zatem dziwnego, że ta brutalna i obsceniczna powieść szokowała, skoro powiadało się w niej, iż prawdziwych wartości życia szukać należy w doświadczeniu rzeczy uznanych za amoralne. Toteż „Pompes funèbres” czekały kilka lat na wydawniczą nobilitację. Najpierw ukazały się we fragmentach w *Temps Modernes*, redagowanych przez Sartre’a. W latach 1947 i 1948 powieść opublikowano sumptem przyjaciół pisarza, a dopiero w roku 1953 wydał ją Gallimard w serii „Dzieła wszystkie”.

Również w więzieniu powstają „Pokojówki” i „Ścisły nadzór”. Ten pierwszy utwór sceniczny jest kameralnym dramatem, rozgrywającym się między trzema osobami i zapowiada to, co szczególnie wyraźnie będzie fascynować pisarza w „Balkonie” i „Parawanach”: wzajemne przenikanie dwóch światów, prawdziwego, rzeczywistego i świata pozorów, fałszu, wyobraźni. „Pokojówki”, wystawione na paryskiej scenie Athenée jeszcze podczas pobytu autora w więzieniu, przyniosły Genetowi popularność; w roku 1947 został laureatem nagrody literackiej Prix de la Pléiade. Pisarze francuscy, między innymi Cocteau, Sartre i Malraux, wszczynają głośną kampanię na rzecz jego uwolnienia. Rok później prezydent Republiki ułaskawia głośnego już pisarza i Jean Genet opuszcza na zawsze mury więzienia. Jest odtąd tylko pisarzem, ale nigdy nie będzie starał się ukrywać swojej przeszłości. Przeciwnie, jak w „Journal du voleur”, uczyni ją materiałem do

skonstruowania swoistej filozofii, według której złodziejstwo i zdrada pozwoliły mu zdobyć poczucie tożsamości, prawdę o świecie i pełnię życia.

## II

W dramatach Geneta uderza nieobecność wartości. „Balkon” i „Parawany” pokazują świat zredukowany do przedmiotów, a ludzi o wydrążonych wnętrzach. Takie widzenie dzisiejszej cywilizacji nie jest oryginalnym wynalazkiem i można by we wcześniejszej filozofii i literaturze odkryć wiele śladów prowadzących do takiej diagnozy. Od paru dziesiątków lat rzeczywistość przedstawiana przez pisarzy była coraz „węższa”, toteż sztuki Ionesco i Becketta stanowią logiczną konsekwencję tego sposobu odczytywania znaków czasu, według którego istnienie jest tylko absurdem, a człowiek — istotą zbędną. Co zatem dalej, jeśli przyjmujemy ten punkt widzenia i naprawdę rozpoznamy siebie w Lucky'm, a swoją mowę w bełkocie, jaki nim trzęsie? Dalej może być już tylko totalne NIC, zrozumiałe zatem, iż reakcją publiczności jest śmiech. Taki świat bierze się w nawias, albowiem nie może być przecież tak, aby nie było niczego.

Genet wydaje się na tym tle pisarzem mądrzejszym, bardziej przenikliwym i dalekowzrocznym; nie odcina się od realizmu, nie przeczy zdroworoządkowemu widzeniu rzeczy. Można by powiedzieć, że cofa się do świata uznanego przez Becketta za ostatecznie pogrzebany. Odrzucenie absurdu oraz przypomnienie historii i kultury nie oznacza jednak powrotu w wyeksploatowane rejony i zubożenia myśli. Dzięki zakorzenieniu w namacalnej i czytelnej dla każdego materii dramaty te zyskują raczej dodatkowy walor historiozoficzny. Ich premierowym przedstawieniem — nie tylko we Francji — towarzyszyły często skandale. I jeśli nawet obrzucenie sceny pomidorami i zdechłymi szczurami wynikało z naskórkowego odczytania „Parawanów”, to teatr ten — przeciwnie niż teatr Becketta — postuluje, by człowiek był podmiotem i wziął odpowiedzialność za świat. Genet przywraca zatem znaczenie autorytetu jako instancji nieodzownej dla istnienia społeczeństwa. Pytanie: jakiego społeczeństwa?

W „Balkonie” dwukrotnie powiada się, że jest to sztuka przedstawiająca dzisiejszy stan chrześcijańskiego Zachodu. Bądźmy zatem wierni pisarzowi, przemawiającemu ustami osób dramatu. Burdel, gdzie toczy się akcja, jest więc bez wątpienia naszym światem, a bohaterowie to w jakiejś mierze my sami, uwikłani w życie, gdzie pomiędzy rzeczywistością i pozorem, prawdą i fałszem trudno ustalić wyraźną granicę. Popatrzmy na klientów. Oto trzech mężczyźni przebierają się w dostojne szaty, aby

odgrywać role Biskupa, Sędziego i Generała. Kobiety ich nie interesują. Potrzebne są jedynie jako uzupełnienie kostiumów, jako rekwizyty ułatwiające odegranie ról, o których Naczelnik Policji mówi: „To dla was stworzono u kresu wyrafinowanych doświadczeń te salony, te dostojne rytuały. Wymagały one długiej pracy, długiej cierpliwości, wielowiekowych poszukiwań, wy macie szczęście z nich korzystać”. Za oknami salonu szaleje rewolucja, z oddali dochodzi odgłos strażaków i detonacji. To również gra, zabawa kierowana przez policję. I jak fałszywi Biskup, Sędzia i Generał są karykaturami prawdziwych, tak również rewolucja jest karykaturą. Toczy się według stereotypu i jak przystało na tradycyjną — szturmuje pałace. W końcu zwycięża (naprawdę? na niby?), pałace zostają splądrowane i spalone, królowa, biskup, sędzia i generał — zabici. Ale nowy ład nie może przecież obyć się bez starych, choć zużytych atrybutów. Irma, właścicielka burdelu, zostaje nową królową. Biskup, Sędzia i Generał, skoro są już odpowiednio przystrojeni, obejmują przy jej boku prawdziwe funkcje. Wszystko wraca do normy. Zakończenie dramatu to krótki monolog Królowej Armii. „Tyle spektakłów. (...) Wkrótce trzeba będzie zacząć znowu od początku... zapalić światła, ubrać się, ach, te przebrania! Rozdać role na nowo... zagrać swoją... (przystaje pośrodku sceny, zwrócona twarzą do publiczności) przygotować wasze... sędziowie, generałowie, biskupi, szambelanowie, buntownicy, którzy pozwalacie buntowi skrzepnąć, na jutro znów przygotowuję moje rekwizyty i moje salony... Teraz wracajcie do domu, gdzie wszystko, bądźcie pewni, będzie jeszcze bardziej fałszywe niż tutaj... Idźcie już, idźcie... Skręćcie w prawo, w zaułek... (gasi ostatnie światło). Świta.

Trzask karabinu maszynowego”.

Oto świat, jakim widzi go Jean Genet. Wartości, które nadały kształt i sens naszej cywilizacji już nie istnieją, a my nie tworzymy nowych (nie chcemy? nie potrafimy?), lecz powtarzamy odziedziczone rytuały. Toteż w świecie, gdzie odrzucono został Bóg, nie istnieje dobro i zło. Gdzie nie ma norm moralnych, upada rozróżnienie prawdy i fałszu, a stosunki między ludźmi to relacje wyłącznie instrumentalne. Albowiem mówi się w „Balkonie”, że istnienia funkcji sędziego nie sankcjonuje już ani kodeks, ani pojęcie sprawiedliwości. Sędzia zawdzięcza swój byt złodziejce; jeżeli jej zabraknie, on będzie zbędny. Aby zostać biskupem, nie trzeba wierzyć w Boga, wystarczy mieć odpowiedni strój. Odwieczne kryteria dobra i zła, prawdy i fałszu przestały zatem istnieć. Naszych działań nie normują już ani porządek moralny, ani wartości kultury. To, co robimy, wynika wyłącznie z noszonego przez nas kostiumu. Przypomina się Nicola Chiaromonte, który w książce „Credere e non credere” pisze: „Nasz wiek nie jest wiekiem wiary, ale nie jest też wiekiem niewiary.



Jest wiekiem złej wiary, wierzeń podtrzymywanych siłą, z braku innych, prawdziwych”.

Jak każda diagnoza cywilizacyjna, i ta zyskała zapewne zwolenników. W czasach, które obezwładniają człowieka nieprzejrzystością, prawdziwe najczęściej wydają się sądy bardzo ogólne, ponieważ nie sposób ich zbić, ale i trudno potwierdzić. Gdy bieżąca epoka jawi się jako schyłkowa lub przełomowa (jeżeli popatrzymy wstecz, okaże się, że wszystkie generacje żywiły takie przekonanie) największym wzięciem cieszą się diagnozy potwierdzające ową intuicję. Każdy okres kultury posiada więc powtarzalną ilość układów, stylów myślenia, zagadek i przepowiedni. Nie należy domagać się w tej mierze powściągliwości; ludzie zawsze czują się przytłoczeni, zagubieni i tęsknią do mitycznego ładu, który zdejmie z nich lęki i uwolni od trwogi o dzień jutrzejszy. Diagnoza Geneta prostuje owe zawile ściegi myślenia i przywraca wiarę w rozum i rozsądek cywilizacji, ponieważ jej punktem odniesienia jest złoty wiek ludzkości. To prawda, kultura zużyła się — powiada się w „Balkonie” — ale nie znaczy to, by jej wartości należało spisać na straty. Jesteśmy dzisiaj jak ludzie rzucony na inną planetę. Pragniemy uczestniczyć w istniejącym tam życiu, ale nie rozumiemy go, potrafimy zaledwie przebrać się i udawać. Nie wiemy, jaki jest sens tej przebieranki, dostrzegamy tylko kostiumy, ale przecież fakt iż się przebieramy świadczy, że uczestniczenie w *ethosie* jest nam niezbędne.

Wiele napisano o nihilizmie Geneta, o jego amoralności, o jego buncie i odrzuceniu przezeń wartości społecznych i religijnych. Skandale towarzyszące inscenizacjom jego dramatów zdawały się potwierdzać tę opinię, która jest wszak dużym uproszczeniem. Już w „*Pompes funèbres*” i „*Dzienniku złodzieja*” przedstawia się Genet jako człowiek głęboko tęskniący do miłości. Jego dramaty wyrażają nieobecność wartości, ale nie ich odrzucenie i negację. Ten sam co w „*Balkonie*” wątek kulturowej amnezji, zapomnienia tożsamości występuje w „*Murzynach*”. Murzyni „*murzynią się*”, ponieważ usiłują odnaleźć potwierdzenie swojego jestestwa w wizerunku, jaki narzucili im biali kolonizatorzy. Tę myśl znajdujemy również w „*Parawanach*”. Ludzie — zdaniem pisarza — nie tyle odrzucili i podeptali z rozmysłem dawne wartości, co je zapomnieli. Są wydrążeni, ponieważ skazali na śmierć swojego „*człowieka wewnętrznego*”.

Ów stary termin filozoficzny wydaje się tutaj na miejscu, ponieważ obserwujemy jego zadziwiający renesans. Od czasu powieści Orwella „*Rok 1984*” powiada się, że do zabicia „*człowieka wewnętrznego*” dąży totalitaryzm, a szczególnie jego odmiana zwana komunizmem. Do zabicia — czyli pozbawienia ludzi pamięci i języka, dwóch rzeczy, którym kultura zawdzięcza

trwanie i rozwój. Ciekawe, że właśnie pisarstwo Geneta przypomina sobie Aleksander Wat, kiedy opowiada o więzieniach w ZSSR: „*Stosunki bardzo podobne. Rosja sowiecka a Francja, więzienie i pederastia, kryminaliści. Bas fonds*”. Jeżeli więc mówi się o autorze „*Balkonu*”, iż jest pisarzem politycznym, potrzebny jest obszerny odsyłacz; wierzę tu bardziej Watowi niż krytykom.

Każdemu, kto zna dzisiejszą Rosję, trudno wyobrazić sobie wystawienie tam „*Balkonu*” zgodnie ze wskazówkami autora [„*trzy postacie (Biskup, Sędzia i Generał) mają nosić mundury, jakie przyjęto w kraju, gdzie sztuka jest wystawiana*”]. Ale warto również wiedzieć, że nowojorski realizator dramatu usunął z tekstu i sceny wszystko, co odnosiło się do rewolucji. Choć z innych powodów, i tu i tam niemiłe są pewne znaczenia polityczne. Po epoce pary i elektryczności, epoce atomu i lotów kosmicznych nastąpiła epoka „*polityczna*”. Wbrew rzecznikom „*zmierzchu ery ideologii*”, którzy zapowiadali konwergencję dwóch głównych systemów, a więc ewolucję komunizmu w kierunku ustrojów liberalnych, obserwujemy coś przeciwnego. Pod każdym względem systemy te oddalają się od siebie, znaczenie ideologii rośnie miast maleć i świat staje się coraz bardziej uwikłany w spory polityczne. A polityka to wszak działania doraźne, instrumentalne, których racja nie tkwi w prawach Boskich i odwiecznym porządku moralnym. Politykę mierzy się tylko skutecznością, a jeśli odziewa się ją w kostium etyki, to wyłącznie dlatego, by ukryć jej prawdziwe znaczenie. Genet jest więc pisarzem politycznym dlatego, że taka jest nasza epoka.

Warto przytoczyć z pamiętnika Wata jeszcze jedno zdanie, które współbrzmii z tym, o czym tutaj mowa. „*W naszym schizofrenicznym świecie jedyny ratunek przed obłąkaniem to ścisłe odseparowanie osobowości wewnętrznej od zewnętrznej*”. Genet spostrzegł, że Zachód zaszedł dalej: człowiek wewnętrzny został tam utracony, pozostały tylko kostium i gest. Proporcje istniejące poza naszym wyobrażeniem jeszcze egzystują. Żyją struktury społeczne, ludzie wypełniają je krzątaniem, co przynosi wrażenie równowagi i stabilizacji. Ale jest to ułuda, albowiem znaki przeszłości i przyszłości przestały być czytelne. Taki stan zapowiada zwykle zmierzch danej kultury i sądzić należy, że to miał na myśli pisarz, mówiąc w roku 1984, iż „*Balkon*” „*jest portretem Zachodu*”.

Jako myśliciel Genet nie jest oczywiście odkrywczy. Ale jego przestroga, iż odrzucenie Boga i wartości cywilizacji zachodniej doprowadzą do śmierci „*człowieka wewnętrznego*” warta jest uwagi. Właśnie w momentach zagubienia i zapomnienia chętnie przyjmuje się z zewnątrz każdą ideę, która obiecuje hierarchię i autorytet. Pustka domaga się wypełnienia: nie może istnieć NIC. Analiza rewolucji w „*Balkonie*” nie jest przypadkiem. Genet

znał doskonale dzisiejszy świat. Jego sympatia dla „Czarnych Panter” i Palestyńczyków (poświęcił im swoją ostatnią książkę) nie oznaczała, że popierał ich polityczne roszczenia. Do końca życia pisarz czuł się człowiekiem marginesu, „odrzuconym”, i współczuł wszystkim skrzywdzonym i poniżonym, jakim sam był przed laty. Ale wiedział doskonale, że rewolucja na Zachodzie może przynieść tylko totalitaryzm, dlatego nie chciał rewolucji i bał się jej. W jednym z wywiadów powiedział o tym wyraźnie: rewolucja uniemożliwi bunt przeciw społeczeństwu, unieruchomi społeczeństwo i wszystkich ubierze w takie same mundury.

### III

Myśl o nieoryginalności Geneta ma może swoje źródło w naszej niecierpliwości, charakterystycznej dla współczesnych czasów. Tak często mówi się o upadku cywilizacji Zachodu, że jesteśmy z tym oswojeni. I ponadto jakby zawiedzeni, że świat, zamiast wykazać zdecydowanie w tę lub w drugą stronę, tkwi ciągle na rozstajach. Jeżeli wierzymy jednak w wizję tej sztuki, powinniśmy pamiętać, iż porządki cywilizacyjne trwają w stanie agonii niezwykle długo. Często nie widać tego gołym okiem, ponieważ przed ostatecznym upadkiem odzyskują na krótko wigor i pozory siły. Nic się w historii nie powtarza. Pamiętniki zostawione przez ludzi żyjących w przełomowych epokach dowodzą nierzadko, iż nie rozumieli oni wypadków, których bywali świadkami, czuli się zaskoczeni i nieprzygotowani do nagłych zmian, a rzeczy naprawdę ważne uchodziły ich uwadze. Profetyczność sztuki ujawnia się zawsze po wielu latach. Tak było na przykład z powieściami Kafki, do przyjęcia których świat gotów był dopiero po przeżyciu koszmaru totalitaryzmu. Toteż rozstrzygnięcie sporu o wartość pisarstwa Jeana Geneta przyniesie — jak zwykle w takich razach — czas. Pytanie, czy był on najwybitniejszym od czasów Szekspira geniuszem teatru — jak twierdzi Andrzej Falkiewicz — czy tylko nadętym dziwakiem — jak ocenia Amerykanin Pritchett — jest i przedczesne, i niepotrzebne. Genet żyje — to jedno jest pewne, a skoro tak, widocznie ludzie odnajdują się w tym, co napisał.

Podniosłem w tym krótkim szkicu ten wątek z dramaturgii autora „Parawanów”, który wydał mi się najbardziej nośny poznawczo, a na który nikt do tej pory nie zwrócił należytej uwagi. Zaledwie jeden wątek; odkryto ich do tej pory mnóstwo: problem luster, „gęby” (w znaczeniu Gombrowicza), niemożności rewolucji, granicy między ułudą a rzeczywistością, miłości homoerotycznej i wiele, wiele innych. Twórczość Geneta jest niesłychanie bogata, dostarcza wielu możliwości interpretacyjnych i jak

każda sztuka podpowiada raczej niż udziela odpowiedzi. Być może — również zapowiada. Sprowadzanie tego całego bogactwa (a przecież istnieją jeszcze tzw. „wartości estetyczne”) do jednego z możliwych szkieletu myślowego jest niewątpliwie nadużyciem, tak często popełnianym przez krytyków, iż bardzo słusznie pisarze odnoszą się do nich z nieukrywaną pogardą. Ale pamiętajmy, że i dla samego Geneta wiele składników jego dzieła było niejasnych. Niech to usprawiedliwi naszą próbę wyłowienia niektórych sensów, gdyż tylko w ten sposób można zbliżyć się do sztuki, nawet gdy jej odczytanie będzie niekompletne.

Odważmy się na koniec na rzecz może kłopotliwą i karkołomną, ale skoro napisałem wcześniej, iż Genet nie był odkrywcą, wypada postawić kropkę nad „i”. Nie był nim dla nas. Po tym, co napisali Witkacy i Gombrowicz, Stempowski w niezwykle przenikliwych esejach o schyłku Europy, Borowski o świecie bez wartości, Herling-Grudziński i Miłosz o przyjmowaniu nowej wiary przez tych, którzy dali się przekonać, że ich „człowiek wewnętrzny” uległ rozsypaniu. Mówiliśmy tu o profetyzmie literatury. Miłosz napisał: „Wiek dwudziesty Gombrowicza potwierdza”. Czy schyłek wieku naszego i stulecie następne potwierdzą dzieło Geneta?

Andrzej W. PAWLUCZUK

## Węgierskie spojrzenie na «Rodzinną Europę» Miłosza

Nie tak dawno ktoś na jakimś zebraniu, czy też konferencji powiedział: „Wydaje się, że w naszych czasach mniej znamy literaturę naszych sąsiadów niż w okresie międzywojennym”. Jeśli w tym stwierdzeniu jest i trochę przesady, to na pewno prawdą jest, iż trudno orientować się w masie tłumaczonych książek, przede wszystkim ze względu na brak ich oceny krytycznej. Wśród wielu tytułów niezmiernie trudno jest wyłowić dzieła autorów czeskich, rumuńskich czy polskich, których dorobek ma znaczenie europejskie. Niełatwo też ustalić przyczynę takiej sytuacji. Na pewno nie mała rolę odgrywają błędne reakcje źle poinformowa-

\* Referat wygłoszony w Ośrodku Informacji i Kultury Polskiej w Budapeszcie (w marcu 1985 roku).

nej o kulturze krajów środkowoeuropejskich komunikacji masowej, także prasa krajowa i czasopisma literackie ustanawiające sztuczne podziały między krajową i zagraniczną, narodową i światową literaturą. Nasza krajowa krytyka dzieła literackie tłumaczona z języków obcych uważa za podrzutka.

Pomimo tego, że twórczość Czesława Miłosza jest zaliczana do najwyższych osiągnięć literatury mierzonej nawet miarą światową — na Węgrzech jest prawie nieznaną. Z okazji przyznania Literackiej Nagrody Nobla ukazało się kilka artykułów (miejscami zaskakujących niedokładnościami), kilka wierszy i esej o jego poezji w czasopiśmie *Nagyvilág*. Nie jest to nadzwyczajny bilans, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że ta wielostronna twórczość należy do historii Europy Środkowej, niezrozumiałej dla ludzi pochodzących z innych stron. Dylematy artystyczne i filozoficzne polskiego pisarza żyjącego w Ameryce, jego rozmyślenia nad europejskością i polskością, tradycją i nowoczesnością, historią i moralnością dotykają również nas. Konstrukcja naszej schizofrenicznej świadomości narodowej jest podobna: chorobliwy brak wiary w siebie i uzupełniające go iluzoryczne samouwielbienie.

Czytając eseje Miłosza możemy odetchnąć: nasze zastoje, upodlenia nie mają swego źródła w tzw. fatum węgierskim, nie tylko węgierska kwestia narodowa najnowszych czasów zawiera w sobie nierozwiązywalne sprzeczności. Tak jak Miłosz wybiera, ocenia i porządkuje tradycje kulturalne w polskiej historii chcieliśmy mu towarzyszyć, zadawać sobie pytania, odkrywać na nowo nieprzyjemne nawet prawdy, cieszyć się tym, że pojęcie narodu, czy ojczyzny jest szersze od powszechnie przyjętego, zamykanego w szufladzie definicji. Omówimy tu jego utwór, w którym mówi o własnych korzeniach intelektualnych, tradycji kulturalnej na której wyrósł. Mówi o ojczyźnie, która jest regionem szczególnym, leży między Wschodnią a Zachodnią Europą, czyli o „Rodzinnej Europie”, jak brzmi tytuł jego książki wydanej w 1959 roku. Książka ta wprowadza nas w gęstwinę dylematów środkowoeuropejskich, tam gdzie krzyżują się granice języków, wyznań, kultur. Tam, gdzie skłócone ze sobą narodowości próbowały zrealizować z różnym powodzeniem — natomiast wszystkie kosztem swoich sąsiadów — w XIX i XX wieku narodowe państwo, lub też państwowy naród, którą to koncepcję uważały za jedynie zadowalającą. Miłosz wprowadza nas do takiego świata, gdzie wytworzenie się klasy mieszczańskiej przyszło jednocześnie za wcześnie i za późno, gdzie przez długie wieki żyli w kastach odizolowanych od siebie pan i chłop, wieśniak i mieszczuch.

Zasadniczym problemem życia kulturalnego na Węgrzech w naszym wieku jest — można powiedzieć poczynając od dzieł Adyego, Babitsa, László Németha, aż po utwory Istvána Bibó — sposób, w jaki można określić miejsce i charakter naszej kultu-

ry w stosunku do Europy, w dwoistości tożsamości i różnic. Dla tego też odpowiedź polskiego pisarza jest dla nas niezwykle istotna, szczególnie w dniach, kiedy badania i dyskusje publicystyczne używają coraz to innych argumentów na określenie takich, czy innych granic naszego szerszego regionu kulturowego.

Nie chcemy mówić o węgierskich motywach w twórczości Miłosza, chociaż należy zauważyć, że nie byłoby to bez sensu. W tym roku obchodzić będziemy 20-tą rocznicę wielkiego wydarzenia literackiego, jakim było otrzymanie przez Gyulę Illyésa Nagrody Głównej na Międzynarodowym Biennale Poetyckim w Belgii. Na łamach tygodnika *Elet és Irodalom* osiadły w Londynie węgierski historyk literatury Lóránt Czigány zwrócił uwagę na fakt, jak wielką rolę w przyznaniu tej nagrody odegrał poeta polski. W esejach i wierszach Miłosza, czasem zupełnie nieoczekiwane pojawia się tajemniczy motyw, jakieś węgierskie nazwisko, uwaga w jednym zdaniu lub dedykacja. W „Rodzinnej Europie” możemy odnaleźć także topos przyjaźni polsko-węgierskiej: „Jak mocne są te pokłady uczuciowe można się przekonać i dzisiaj. Gdyż spośród wszystkich narodów ziemi, Polaków łączy prawdziwa miłość tylko z Węgrami i Serbami”. (Wyd. II. Instytut Literacki. Paryż 1980, str. 115). Błądzi jednakże ten, kto doszukiwałby się w tym mitologii powszedniej, ponieważ w tej uwadze zawiera się może najistotniejsza myśl, przesłanie eseju: przyjaźń z Węgrami jest częścią środkowoeuropejskości. Nie wiadomo, czy można łączyć tę orientację pisarza z wpływami Mariana Zdziechowskiego. Ten świetny sławista i historyk, który w okresie międzywojennym wykładał na Uniwersytecie Wileńskim, w swoich pismach rozwinął nie tylko historiozofię katastrofizmu, lecz był popularyzatorem myśli federalizmu środkowoeuropejskiego i przyjaźni z Węgrami. Miłosz, który był studentem prawa wraz z innymi studentami jego fakultetu był pilnym słuchaczem wykładów Zdziechowskiego. Po wielu dziesiątkach lat wspomina w swoim eseju postać sławnego profesora.

„Rodzinna Europa” jako utwór epicki może być zaliczana do jednego z charakterystycznych, nabierającego coraz to większego znaczenia, nurtów prozy XX wieku. Jest to wynikiem zmiany pozycji narratora, który pragnie przemawiać do czytelnika w sposób bezpośredni. Analizując prozę węgierską i polską ostatnich dziesięcioleci, tuzinami moglibyśmy wymieniać dzieła o akcentach biograficznych, w których analiza historyczna miesza się z psychoanalizą freudowską, wyznaniem św. Augustyna i notatkami z pamiętników lub dzienników. Pisali takie utwory między innymi Mihály Babits, Zsigmond Móricz, Péter Veres, Sándor Márai, Tibor Déry, a spośród polskich pisarzy Zofia Nałkowska, Juliusz Kaden-Bandrowski, Jarosław Iwaszkiewicz, i nie w ostatnim rzędzie Witold Gombrowicz, którego „Dziennik” według

wielu krytyków jest najważniejszym osiągnięciem polskiej prozy powojennej. We wstępie do swojej książki Miłosz pisze: „Postanowiłem więc napisać książkę o Europejczyku wschodnim, urodzonym mniej więcej wtedy, kiedy tłumy Paryża i Londynu wiwatowały na cześć pierwszych lotników, o człowieku, który mniej niż ktokolwiek inny mieści się w stereotypowych pojęciach niemieckiego porządku i rosyjskiej *l'âme slave*” (op. cit., 9). Miłosz szuka swoich korzeni przede wszystkim w określonym czasie i przestrzeni. W wielowiekowej tradycji swej ojczyzny i we własnych ciasnych pamiątkach łączących się z pojęciem lokalnej patrii. Kiedy pisał tę książkę już prawie od dwudziestu lat mieszkał daleko od Litwy. Pisarz wprowadza czytelnika w gestwinę losu środkowoeuropejskiego nie według ścisłej chronologii i biografii. Rozdziały wskazujące na kierunek przepływu czasu tworzą tylko konstrukcję zewnętrzną tomu. Równie ważne są wspomnienia, swobodna nić ich falowania, czasem szersze omawianie pewnych szczegółów. Tok narracji możemy odczuwać jako specyficzne falowanie, wynikające z pojawiających się urywków wspomnień, wynurzających się z czasu, zapadających a także i opatrzonych komentarzem. Tylko pamięć jest zdolna oddać zmiany, przedstawić przemijanie wraz z tym, co stałe i nieprzemijające: przeszłość jest zawsze obecna w teraźniejszości. Jeden z polskich krytyków Tomasz Burek pisał: „... twórczość ta niemal od samego zarania była złączona z pamięcią” (Pam. Lit. 1981, nr 4, 132). Sam Miłosz wspominał o ważności pamięci w czasie uroczystości wręczenia Nagrody Nobla w Sztokholmie, jako o specyficznym rysie europejskości naszej części kontynentu. W powieści „Dolina Issy” (1955) bada wpływ natury na kształtowanie duszy ludzkiej, w okresie dojrzewania chłopca litewskiego. Okolica, rzeki, lasy, historyczne pamiątki jego ojczyzny, miasto Wilno wracają w jego poezji w tysiąc i jednej formie już od czterdziestu lat.

W tytule książki zawarte jest określenie „Europa”. Autor mówi o Europie domowej, ojczyźnianej, rodzinnej. Musimy zaznaczyć, że nie jest łatwo przetłumaczyć na węgierski wyraz „rodzina”. Po węgiersku jest to słowo wieloznaczne. Po drugie w licznych wspomnieniach polskich i węgierskich tylko u Miłosza spotykamy się ze słowem Europa. Ma być to takim wyznaniem, przyznaniem się do Europy, w którym to określeniu panuje równowaga między lokalną partią a całością Europy. Autor opowiada się za wspólnotą, jednością, ale nie za wtapianiem się w jedność. Jest to ostateczny wniosek sformułowany przez autora. W międzyczasie pisarz przeszedł wszystkie stany zwątpienia. Nie przeczy, że w niedawnej przeszłości na tym terenie wiele było tragedii, dramatów i wypaczeń. „Na wsi mówiono po litewsku i częściowo po polsku. Miasteczko, dokąd dowożono płody rolne na sprzedaż, używało na co dzień polskiego i jidisz.

Ale już żandarm wlokący za sobą długą szaszkę, poborca podatków, konduktor na kolei, importowani dla celów administracyjnych, zwracali się do tubylców po rosyjsku, wychodząc z założenia, że każdy musi rozumieć język urzędowy” (op. cit., 18-19). W 1911 roku, kiedy Miłosz się urodził, kontakty językowe na tym terenie tak się przedstawiały. Istniała tu złożona mozaika języków, wyznań, narodów, wpływów mocarstwa na nas — sytuacja dobrze nam znana — i to nie tylko Węgrom ale i Słowakom, Chorwatom, Serbom i Rumunom. Wystarczy wspomnieć tylko o Chorwatach: Mirosław Krleża w jednej ze swoich nowel przedstawia na przykładzie losu dojrzewającego Marcela Fabera-Fabryczy'ego, jedyne go potomka rodu Glembayów, sytuację językową w środowisku mieszczańskim Zagrzebia na początku naszego wieku: „Już od pierwszego dnia rozkwitu myśli było dla niego zagadką, dlaczego jego matka nie mówi po chorwacku, dlaczego Glembayowie mówią po niemiecku, choć nie pochodzą z Wiednia, dlaczego rodzina Fabriczy uważa się za węgierską. Dlaczego nie nauczono go w domu dobrze po chorwacku, kiedy każda jego książka jest w tym języku, w szkole mówią po chorwacku wszyscy, w domu nikt” (In: Mirosław Krleża: Glembayowie. 1932).

Dawniej na Litwie chłopci mówili po litewsku lub po białorusku, szlachta (właściciele wielkich majątków, szlachta zubożała, inteligencja) mówiła po polsku, mieszczaństwo po polsku i po rosyjsku. Wyznanie też nie wykreślało ostrej granicy między narodowościami, pomimo że katolicy (Polacy i Litwini) odróżniali się od społeczności prawosławnej (Rosjanie i Białorusini) i od Żydów. Nie oznaczało to, że każdy prawosławny jest Rosjaninem, a każdy katolik to Polak. Sytuacja ulegała dalszej komplikacji przez rozwarstwienia społeczne, które często pokrywały się z różnicami językowo-kulturalnymi. Jest to dziedzictwo Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Wielkie Xięstwo Litewskie było ojczyzną różnych nacji, które miały odmienne tradycje od Korony i posiadały silną świadomość swej odrębności. W inwokacji „Pana Tadeusza” Mickiewicz zwraca się w swym gorącym wyznaniu do Litwy, swej ojczyzny; jego dwudziestowieczny spadkobierca poetycki z doskonałą znajomością przedmiotu, posiadając wiele osobistych doświadczeń, pokazuje nam, co zostało z tej tradycji w czasach jego dzieciństwa i młodości. Pokazuje tylko najważniejsze elementy tła socjologicznego i historycznego. Losy jednostek, konkretne doświadczenia pozwalają nam zrozumieć istotę i sens tej tradycji. Ojczyzna taka nie była państwem narodowym w dzisiejszym rozumieniu tego pojęcia. Autor „Rodzinnej Europy” za najwyższą wartość uznaje wielobarwność i wzajemną tolerancję całego dziedzictwa kulturalnego i historycznego (nie kamuflując procesów działających przeciw tym wartościom).

Poeta polski nie ma zamiaru dokonywać podziału wspólnego dziedzictwa według później odizolowanych kultur narodowych. Uznaje tradycje grup narodowych, wyznają takiej Rzeczypospolitej, którą w swej książce wielokrotnie nazywa *Commonwealth'em*. Jest dumny nie tylko z Mickiewicza, lecz także i z tego, że w Wielkim Xięstwie Litewskim statuty kraju sformułowano w dialekcie wschodniosłowiańskim, także i z tego, iż Wilno nazywane było przez Żydów Jerozolimą północy. W Rzeczypospolitej Obojga Narodów długo żyły tradycje tolerancji językowo-wyznaniowej. Przez wieki istniało tu największe w Europie zgrupowanie Żydów. Duże znaczenie miała też reformacja. Przesiedleni wtedy Tatarzy również uznali Rzeczpospolitą za swą ojczyznę. Miłosz wypowiada się w tekście i między jego wersami przeciwko pojęciu państwa narodowego, etnicznego polskiego i europejskiego. Uważa za obce sobie pojęcie narodu, utożsamiane z pojęciem państwa, uznając je za nabytek rodem z Europy Zachodniej. Wyłączenie, zamknięcie się, jednostronność i uniformizacja, niebezpieczeństwa wynikające z takiego pojęcia narodu muszą, według Miłosza, prowadzić do katastrofy. Wydaje się, że jego myśli jakby się pokrywają ze słowami węgierskiego pisarza László Németha, przytoczmy tu cytaty naszego eseisty, myśl o zależnościach i wzajemnościach środkowoeuropejskich: „Nowoczesny nacjonalizm XIX- i XX-wieczny na obszarze małych wschodnich krajów jest naśladownictwem, a z punktu widzenia narodowego jest ono anacjonalne”. (In: *Kisebbségben* III-IV. Budapest 1942). Jakże stwarza to sytuację wspomina polski poeta. Polscy licealiści w Wilnie uczyli się o pozytywnych czynach Jagiełły, wprowadzającego Unię; równocześnie w tym samym mieście, w litewskich szkołach średnich uczono o tym w sposób dokładnie odwrotny. W latach 1920-1921, kiedy powstały niepodległe Polska i Litwa ludzie zmuszeni byli wybierać przynależność narodową. Każdy wybierał kierując się swoimi racjami, często członkowie tej samej rodziny wybierali inaczej.

Litwa Miłosza nie jest terenem podzielonym granicą państwa, nie jest ojczyzną jednego języka, jednej kultury. Jest tradycją natury, krainy, dziedzictwa historycznego, mentalności współczesnych specyficznej jakości, która przechowuje wartości europejskie i jest zawsze zdolna do odradzania się. Poeta polski uważa siebie za rodaka z Litwy, świadomie odróżnia się od Polaków z Polski centralnej. Kilkakrotnie przypomina, że do Polski centralnej trafił na dłuższy czas dopiero po ukończeniu studiów. „I tak jak Vincenz — wspomina drugiego wielkiego polskiego regionalistę naszego wieku — całe swoje życie pozostał zakorzeniony w swych Karpatach, tak ja, w każdym razie moja wyobraźnia, pozostałem wierny Litwie” (*Kultura*, Paryż 1979, nr 1/2, 4).

W „Rodzinnej Europie” kilkakrotnie wskazuje na to, że decydujący wpływ na jego pojęcie ojczyzny wywarła matka: „Jeszcze jedną jej cechą był patriotyzm, nie zwracający się ku narodowi czy państwu — do tej odmiany odnosiła się powściągliwie. Wszczepiła mi natomiast patriotyzm domu, tj. rodzinnej prowincji” (*op. cit.*, 57). Ta litewskość, odrębność, podkreślenie wspólnej ojczyzny wielu narodów bardzo podobna jest do idei węgierskiego transylwanizmu. Nawet i w tym, że jest to raczej program wysnuty z pozytywnych tradycji współżycia. Przecież po pierwszej wojnie światowej granice zostały zakreślone drutem kolczastym, zgodnie z życzeniami nacjonalizmów, rozdzielając stare Xięstwo Litewskie od ziem dawnej Korony, a wielojęzyczny Siedmiogród musiał żyć pod presją rumuńskiego nacjonalizmu państwowego.

Możemy znaleźć wiele analogii do sytuacji miasta Wilna, którego nazwę każdy naród inaczej wymawia: Litwini — Vilnius, Polacy — Wilno, Białorusini i Niemcy jak my, Węgrzy — Vilna. I to zjawisko jest charakterystyczne dla tego obszaru Europy, jako Klausenburg-Kolozsvár-Cluj (Miłosz pisze Kolożwar), czy też Presporok-Bratislava-Pressburg-Pozsony. Na przykład w Wilnie jest wiele kościołów, świątyń, poczynając od katolickich, poprzez synagogę i cerkiew, aż do zborów kalwińskich i do świątyń pochodzących z Bliskiego Wschodu karaimów. Inność może wychowywać do cierpliwości i tolerancji, również i do nietolerancji. Miłosz pokazuje nam sprzeczności i ich źródła między wyznaniem i narodowościami. Nie należą do wyjątków w Europie środkowej miasta-mozaiki kulturowo-etniczne. Ivo Andrić z Bośni pisze: „Kto w Sarajewie spędzi bezsenną noc, może dobrze wstąpić się w odgłosy nocnego miasta. Punktualnie i ciężko wybija godzinny dzwon katedry: jest druga po północy. Chwilę po nim odzywa się słabszy, ale przenikliwy dzwon cerkiewny, także wybijając drugą. Niedługo później rozbrzmiewa swoim zachrypniętym i dalekim głosem zegar turecki, ale on wybija mityczną jedenastą według czasu dalekich stron świata. Żydzi nie mają zegara na wieży i tylko dobry Bóg wie, jaki czas wskazuje kalendarz sefardyjczyków, a jaki aszkenazyjczyków. (List z 1920 roku. In: *Deca*. Beograd 1965). Miłosz uczy akceptacji inności, wzajemnego szacunku i dążenia do poznania.

Swą ojczyznę w Europie Miłosz określa w sposób, który pod pewnymi względami różni się od Zachodu ale także i od Wschodu. Nie jest konsekwentny w nazewnictwie, raz mówi o sobie jako o wschodnio-, następnie środkowoeuropejsko-, innym razem całość uważa teren leżący między niemieckim a rosyjskim obszarem językowym. Tę przestrzeń najlepiej można chyba określić mianem Europy Środkowej, mieszkańców tego obszaru charakteryzuje autor brakiem formy zewnętrznej i wewnętrznej — w kate-

goriach gombrowiczowskich. „Jego zalety: łączywość umysłu, namiętność — w dyskusji, zmysł ironii, świeżość uczuć, wyobraźnia przestrzenna czy geograficzna pochodzą z zasadniczej wady: pozostaje zawsze niedorostkiem, rządzi nim nagły przypływ albo odpływ wewnętrznego chaosu” (*op. cit.*, 59). Spotkania ze Wschodem, czyli Rosją, w dzieciństwie, i w czasach późniejszych w lekturze przekonują go o tym samym, co i jego podróże do Zachodniej Europy; w obu miejscach czuje się równie obco, nie może wytłumaczyć do końca sytuacji Polski i Środkowej Europy.

Szczególnie tragiczny los spotkał Środkową Europę w naszym wieku podczas drugiej wojny światowej. Tu, na naszym obszarze znajduje się punkt geograficzny — Oświęcim. Te doświadczenia historyczne jeszcze silniej zwracają uwagę tutaj, niż gdzie indziej na uniwersalizm tradycji europejskiej. Końcowe zdania książki Miłosza brzmią: „Wybierając, musieliśmy poświęcić jedne wartości w imię innych, co jest istotą tragizmu. Tylko jednak za cenę tak wyostrajającego doświadczenia w nowym blasku ukazują się stare prawdy. Kiedy ambicja doradza nam się wznieść ponad proste zasady moralne, strzeżone przez ubogich duchem, zamiast obracać je wśród zmienności za igłę kompasu, niszczy to, co jedynie może okupić nasze szaleństwa i błędy, miłość” (*op. cit.*, 246).

Csaba Gy. KISS  
Węgierska Akademia Nauk  
Instytut Badań Literackich  
Budapeszt

## Kongres PEN w Hamburgu

W dniach od 22 do 27 czerwca 1986 roku odbył się w Hamburgu 49-ty Międzynarodowy Kongres PEN-Clubu. Tematem obrad literackich Kongresu był problem „Dziejów najnowszych w zwierciadle międzynarodowej literatury”. Ale nie mniej ważną, a może z pewnego punktu widzenia ważniejszą, częścią Kongresu PEN były obrady egzekutywy międzynarodowej, ciała władnego podejmować decyzje i uchwały. Posiedzenia egzekutywy odbywają się przy drzwiach zamkniętych, prawo udziału w nich mają tylko oficjalni delegaci poszczególnych centrów PEN, przy czym każde centrum dysponuje jednym głosem.

W Kongresie uczestniczyły tym razem aż sześćdziesiąt dwa centra krajowe lub językowe (w niektórych krajach, jak Szwajcaria lub Jugosławia, jest ich kilka) a liczba uczestników Kongresu, tj. ok. 400 osób, określana była przez organizatorów i prasę jako rekordowa w historii PEN. Był to jednak rekord bez większego znaczenia merytorycznego. Po poprzednim, burzliwym Kongresie nowojorskim, obecny miał przebieg raczej bezbarwny i nieciekawym. Ilość uczestników nie przeszła tu w jakość, a o pewne, krótkotrwałe ożywienie postarała się tylko wyjątkowo liczna delegacja NRD (13 osób), z jednym z wiceprezesów międzynarodowego PEN Stephanem Hermlinem i prezesem PEN-Clubu NRD Heinzem Kamnitzerem na czele. Hermlin wystąpił na początku obrad z kilkudziesięciominutową apologią systemu politycznego NRD, w poetyce przypominającej dobę głębokiego stalinizmu. Wypowiedź Kamnitzera w niczym mu nie ustępowała. Zachodni-niemieccy organizatorzy przyjęli ten występ z pewnym zakłopotaniem, ale ich daleko idące uzgodnienie w trosce o klimat stosunków niemiecko-niemieckich, ale może i naiwno-lewicowe zaangażowanie większości członków zarządu PEN-Clubu RFN spowodowały, że polemikę z Hermlinem podjęło tylko kilku pisarzy zachodni-niemieckich, byłych obywateli NRD (Yaak Karsunke, Hans-Joachim Schädlich) oraz Lew Kopelew i zachodnio-berliński autor Hans Christoph Buch. Wyrazili publicznie kilka gorzkich prawd, dobrze znanych Polakom, o warunkach wolności literatury w krajach realnego socjalizmu, pozostało to jednak całkowicie bez wpływu na dalszy przebieg obrad Kongresu. Przybywszy z całego świata (w tym bardzo liczni z krajów Azji i Afryki) uważali na ogół niemiecko-niemieckie polemiki za stratę czasu.

Wśród dwudziestu dwóch rezolucji, uchwalonych przez kompetentne gremium międzynarodowego PEN-Clubu, mających odłąd moc oficjalnego dokumentu na uwagę zasługuje niewątpliwie francusko-szwedzko-amerykańska rezolucja dotycząca prześladowania i więzienia ludzi pióra w Polsce. W umiarkowanie krytycznych głosach prasy niemieckiej, która poświęciła Kongresowi dużo uwagi, podniesiono słusznie znaczenie działalności Komitetu *Writers of Prison*, zajmującego się konsekwentnie sprawą pomocy pisarzom pozbawionym wolności w różnych krajach świata. Ze sprawozdania złożonego przez przewodniczącego tego Komitetu, Anglika Michaela Scammela, wynikało, że według częściowych danych, ponad 370 ludzi pióra na całym świecie pozbawionych jest w chwili obecnej wolności, a 25 uchodzi za uprowadzonych lub za zaginionych. Rekord światowy ma tu ZSSR, wyprzedzając w smutnej konkurencji kraje Ameryki Łacińskiej. Ale i inne kraje „realnego socjalizmu” w Europie — Polska, Czechosłowacja, Węgry, znajdują się na tej czarnej liście.

Delegaci dokonali wyboru dwóch dalszych wiceprezesów międzynarodowego PEN-Clubu (jest ich zawsze kilkunastu). Zostali nimi Georges Emmanuel Clancier z francuskiego PEN i Predag Matvejevic, prezes chorwackiego PEN. Światową rodzinę PEN wzbogacono w sposób dość dyskusyjny przyjmując do międzynarodowego PEN nowopowstały PEN-Club Nikaragui, na wniosek

NRD poparty przez Puerto Rico (32 głosami przy 12 wstrzymujących się, ale bez głosów przeciw).

W Kongresie uczestniczyli wolni Estończycy i wolni Łotysze mający swoje centra na Zachodzie, jak też PEN-Cluby zrzeszające pisarzy emigrantów żyjących w USA i w Niemczech oraz emigracyjny PEN pisarzy wietnamskich.

Polski PEN-Club, faktycznie nieczynny od grudnia 1981 roku, nie był na Kongresie oficjalnie reprezentowany. W składzie pisarzy PEN-Clubu Francji znajdował się, jako przybrany członek tego centrum PEN, Władysław Bartoszewski, wszakże bez prawa udziału w głosowaniach. Odpowiedni resort rządu PRL przysłał natomiast na Kongres dwóch ludzi, którzy uczestniczyli biernie w literackiej części Kongresu na nieobowiązujących prawach gości (*visiteurs*), podobnie jak małżonki niektórych delegatów. Byli to Michał Rusinek, jeden z członków polskiego PEN-Clubu, i Mikołaj Melanowicz, japonista z Warszawy, który wprawdzie w polskim PEN-Clubie nie był znany, ale za to jest członkiem PZPR, a obaj są w nowym ZLP. Organizatorzy i prasa taktownie nie zauważyli ich obecności. Nie przybył natomiast z Warszawy oficjalnie zaproszony przez PEN-Club RFN i znany czytelnikom niemieckim Marek Nowakowski. Gerd Hoffmann, członek władz PEN-Clubu RFN, podał to do wiadomości w jednym ze swych wystąpień, ale żadnych wniosków z tego nie wyciągnięto, ani żadnej uchwały protestacyjnej nie podejmowano. Nie odczytano również nadesłanej organizatorom noweli Nowakowskiego, ani nawet jego krótkiego listu do uczestników Kongresu. Jedynym akcentem dotyczącym na Kongresie spraw polskich, obok wymienionej wyżej rezolucji w sprawie prześladowanych pisarzy (obowiązującej, ale w prasie RFN w ogóle nie dostrzeżonej), pozostaje więc tekst Bartoszewskiego ogłoszony w okazałej księdze pt. „P.E.N. International”, wydanej staraniem centrum RFN w trzech językach z okazji 65-lecia istnienia międzynarodowego PEN, który powstał, jak wiadomo, w Anglii w 1921 roku.

Następny, pięćdziesiąty, Kongres PEN odbyć się ma w maju 1987 roku w Lugano (Szwajcaria).

## Książki

### Przypomnienie Abramowskiego

Edward Abramowski (1868-1918) był jedną z najbardziej oryginalnych postaci polskiego życia umysłowego na przełomie XIX i XX wieku. Inaczej niż rówieśnicy, do filozofii doszedł nie przez systematyczne studia uniwersyteckie ale przez nielegalną działalność polityczną i oświatową: od przygotowywania rewolucji do uprawiania psychologii, od broszur propagandowych do prac naukowych, od trybuny do katedry, od kółka do laboratorium. Za młodu rzecznik ostro marksizującego, acz zawsze heterodoksyjnego socjalizmu, poświęcił ostatnie dziesięciolecie życia na badania, które zaowocowały „metafizyką doświadczalną”, nie przestając wszelako zajmować się działalnością społeczną, nade wszystko zaś — spółdzielczością. Zresztą, choć w pierwszej chwili wydaje się to dziwne, Abramowski wiązał socjalizm, „metafizykę doświadczalną” i ideę spółdzielczości w spójny zespół poglądów, które zapewniają mu odrębne i ważne miejsce w dziejach myśli.

Problematykę Abramowskiego wyznacza kantowskie rozróżnienie zjawiska od rzeczy samej w sobie. Stosuje on je do jednostki ludzkiej, co prowadzi do przeciwstawienia jaźni, więz z którą zapewniają nieświadomość, intuicja, czucie, zjawiskom psychofizycznym ujmowanym przez świadomość, apercpcję, myśl. W zastosowaniu do życia zbiorowego daje to przeciwstawienie indywidualności, której rdzeniem jest jaźń, społeczeństwu umieszczonemu po stronie apercpcji i myśli. A w zastosowaniu do świata — przeciwstawienie człowieka jako jaźni, która jest nie tylko całością ale wręcz jednością, przyrodzie jako ogółowi zjawisk z konieczności zawsze cząstkowych. Wszystko to nie wyróżniałoby jeszcze Abramowskiego wśród dziesiątków filozofów i filozofujących pisarzy, którzy w ostatnich dekadach ubiegłego wieku usiłowali uprawomocnić metafizykę borykając się z dziedzictwem Kanta, tzn. z przekonaniem, że wszelkie doświadczenie jest zmysłowe, co skazuje je na obcowanie tylko ze zjawiskami, cząstkowymi i subiektywnymi przejawami rzeczy samych w so-

bie, pozostających poza zasięgiem poznania, ponieważ rozum teoretyczny nie jest władny nawiązać z nimi jakiegokolwiek kontaktu. Nie wyróżniałoby go też głoszenie, wbrew Kantowi, iż kontakt z rzeczami samymi w sobie jest ustanawiany z jednej strony w trybie działania, z drugiej zaś — dzięki doświadczeniu poza-zmysłowemu, i że tym właśnie żywi się wszelka twórczość i wszelkie myślenie. Bardziej oryginalne jest u Abramowskiego traktowanie stosunku między zjawiskami a rzeczą samą w sobie jako współrzędności; stąd ujmowanie psychiki jako połączenia nieświadomości i świadomości, jednostki jako bytu psycho-fizycznego, zbiorowości jako tworu indywidualno-społecznego, a człowieka jako istoty duchowej i przyrodniczej zarazem.

Akceptacja takiej dwoistości różniła Abramowskiego zarazem od neo-romantyków, jak Lutosławski, który po prostu utożsamiał jednostkę z duszą, i od naturalistów takich, jak np. Gumplowicz, który sprowadzał ją do samej tylko cielesności. Ale Abramowski różnił się również od Brzozowskiego, choć obaj uważali człowieka za istotę dwoistą, gdyż nie traktował tej dwoistości jako zderzenia dwóch zaprzeczających sobie nawzajem pierwiastków, które w żaden sposób pogodzić się nie dają. Łączy się z tym przeciwstawne Brzozowskiemu, który, przynajmniej w okresie „filozofii pracy” ulegał pokusom naturalizmu z jego darwinowskim ujmowaniem życia społecznego, skłanianie się Abramowskiego raczej ku neo-romantyzmowi, co widać i w jego filozofii, i w postawie politycznej: w sympatii dla Piłsudskiego, w potępieniu szowinizmu. Fascynowała go nie siła materialna ale potęga ducha oparta na przeżyciu związku z całością, nie walka ale solidarność, nie polityka ale etyka, nie państwo z jego przymusem ale dobrowolne zrzeszenie wolnych jednostek, które pozwala każdej poszczególnej indywidualności stać się w pełni sobą przy równoczesnym włączeniu się bez reszty w indywidualność ponad-jednostkową. Jednakże, w odróżnieniu od Lutosławskiego, o którym można powiedzieć niemal to samo, Abramowski zawsze uwzględniał ekonomiczny i polityczny wymiar istnienia zbiorowego i nie sprowadza roli stowarzyszeń wyłącznie do pracy nad moralnym doskonaleniem ich członków. W perspektywie długofalowej mają one bowiem zmienić istniejący porządek społeczny, a doraźnie — nie tylko wychowywać ale również przyczynić się do widocznej poprawy warunków życia na obszarze, na którym działają.

Perspektywa zmiany porządku społecznego tożsamej z urzeczywistnieniem indywidualności wyraża się początkowo u Abramowskiego w wizji komunizmu, który, zaprowadzając wspólnotę własności, spowoduje tym samym moralne przeobrażenie jednostek i ich potrójne wyzwolenie: od „jarzma rzeczy”, od „jarzma instynktów zwierzęcych” oraz od „przymusu społecznego, którym jest wszelkie państwo, zmuszające siłą fizyczną, policyjną, do zachowania praw uświęconych [...] Państwo zredukowane do organizacji wytwórczej samo siebie znosi; to zaś, co pozostaje, jest to naturalna jedność osobników ludzkich objawiająca się psychologicznie w aktach solidarności i braterstwa. Wspólna własność jest więc tylko życiową podstawą wyzwolenia jednostki,

przekształcenia się ludzkości w kierunku pewnego ideału etycznego. Jest to ten świat nowy, który stworzy nową ludzkość” (*Zagadnienia socjalizmu*, 1899, § 33). Temu etycznemu ideałowi wspólnoty Abramowski pozostał wierny do kresu życia, choć wizję komunizmu i pochodną wobec niej działalność na rzecz politycznego zorganizowania robotników, zastąpił wizją „rzeczpospolitej kooperatywnej” (1912): społeczeństwa, w którym zasadniczą rolę odgrywają związki i stowarzyszenia; zgodnie z tym poświęcił się inspirowaniu ruchu spółdzielczego i związkowego, by stać się w Polsce jego najwybitniejszym teoretykiem. Znamienne dla tej wizji jest systematyczne tłumaczenie dalekosiędnego celu na język poczynań codziennych, kojarzenie wymogów moralnych z dążeniem do efektywności gospodarczej oraz przygotowywanie odrodzenia narodu nie przez wpajanie nienawiści do obcych, in-noplemieńców czy innowierców, ale przez uczenie solidarności i decydowania o własnych sprawach.

W okolicach 1905 roku ciężar zainteresowań naukowych Abramowskiego przesuwają się od opartej na podstawach psychologicznych socjologii do psychologii doświadczalnej. Ale badania nad pamięcią, podświadomością, wolą, postrzeganiem, wyobrażeniami, uczuciowością czy telepatią są podporządkowane celom filozoficznym: mają rozpoznać i opisać różnorakie stany psychiczne, w których toku jednostka ustanawia styczność z rzeczą samą w sobie, w tym przypadku — z własną jaźnią. Mają uczynić z tych stanów psychicznych przedmiot nauki. Abramowski stosuje tedy metodę doświadczalną dla rozwiązania metafizycznego problemu rzeczy samej w sobie przez wskazanie przeżyć będących doświadczeniami poza-zmysłowymi zarówno ze względu na ich przedmiot, nieosiągalny przecież dla zmysłów, jak z uwagi na ich niezależność od narządów przyjmowania wrażeń. Ponieważ doświadczenia te nie dają się wiernie wyrazić w języku pojęciowym, badania psychologiczne winny wydobyć na jaw ich ukrytą treść i odsonić ich rzeczywistą rolę. W tym sensie Abramowski może zasadnie mówić o „metafizyce doświadczalnej”. Łatwo zauważyć, że mamy tu do czynienia z przekonaniem obecnym również u podstaw wizji społecznej Abramowskiego, że tym, co swoiście ludzkie w człowieku, jest indywidualność jednostkowa i gatunkowa. Pierwszą jest jaźń dana każdemu w doświadczeniu poza-zmysłowym. Drugą — wspólnota wymagająca urzeczywistnienia w solidarnym, zbiorowym działaniu.

Osobą i myślą Abramowskiego oraz jego rolą w polskim życiu politycznym i umysłowym zajął się w swej najnowszej książce Wojciech Giełżyński\*. Nie jest to praca historyka. Abramowski interesuje bowiem autora, ponieważ odpowiada jego zdaniem na pytania zadawane dziś. Katolicy i marksiści, wyznawcy *non violence* i masoni, związkowcy i hippisi, spółdzielcy i mistycy —

\*. Wojciech Giełżyński, *Edward Abramowski zwiastun „Solidarności”*, Londyn, Polonia, 1986, str. 156.



każdy może w nim znaleźć coś dla siebie. Giełżyńskiego ponosi niekiedy entuzjazm. Chwilami przesadza w podkreślaniu oryginalności swego bohatera, zdarza mu się też przecienianie jego wpływu lub w sposób aż rażący reklamować jego poglądy. To powodziawszy, nie podobna odmówić słuszności tytułowej tezie książki o pokrewieństwie idei inspirujących „Solidarność” ze stanowiskiem zajmowanym przez Abramowskiego, programu samorządnej Rzeczypospolitej — z wizją Rzeczypospolitej kooperatywnej. Nikt przed Giełżyńskim nie wypowiedział tego tak dobitnie i nie pokazał tak przekonująco.

W powojennej historii Polski „Solidarność” — to jedyne wydarzenie o znaczeniu powszechno-dziejowym, którego podmiotem był cały naród. Dlatego jest ona — i będzie przez lata — ośrodkiem zasadniczego sporu ideowego. W sporze tym, jak zawsze w takich sporach, przypisanie „Solidarność” określonego rodowodu jest zajęciem stanowiska w kwestii nierozłącznie historycznej i politycznej. Tym wszystkim, ostatnio jakże licznym, którzy czynią z „Solidarność” — prawdziwej „Solidarność”, jak czują się w obowiązku zaznaczać — emanację Polaka-katolika i jego własność, a w wąsach Wałęsy widzą wąsik Dmowskiego, Giełżyński odpowiada wskazaniem znaczenia, jakie miała dla „Solidarność” tradycja socjalizmu bezpieczeństwa uosabiana w Polsce przez Abramowskiego i jego kontynuatorów. Dowodząc tej tezy, Giełżyński przedstawia kolejne powroty do Abramowskiego i przypomina postaci mało znane lub niedoceniane, które aktualizowały jego poglądy i zapewniały ich ciągłą obecność w polskim życiu duchowym. Jest to dla historyków polskiej myśli politycznej i społecznej temat zasługujący na wnikliwe zbadanie.

Ale książka Giełżyńskiego wnosi również z innego względu ważny wkład do dyskusji, jaka toczy się obecnie w środowiskach niezależnych. Stawiając Abramowskiego za wzór proponuje bowiem *implicite* pewien zespół kryteriów, które spełniać winien program polityczny opozycji, by kontynuować reprezentowany przezeń nurt. Wprawdzie, inaczej niż Giełżyński, uważam filozofię Abramowskiego za przestarzałą z uwagi na jej anachroniczny dziś horyzont problemowy, przy czym sąd ten rozciągam również na zasadniczy zrąb jego filozofii politycznej, ale nie sądzę, by nie można z niej było wydobyć wskazań, które nadal pozostają aktualne. Książka Giełżyńskiego podsuwa przynajmniej trzy takie wskazania:

1. Program powinien zwracać się do wszystkich, a nie tylko do „elit”; powinni proponować jakieś zadanie każdemu, a nie tylko nielicznym wybrańcom. Znaczący to, że nie może być programem zdobycia władzy, skądinąd nieziszczalnym przynajmniej w bliskiej przyszłości. I że nie może być również programem współpracy z władzą, którego rzekomy realizm zachwalają dziś różni epigoni endecji, jeśli zgoła nie ONR w jego „Paxowskim” wydaniu. Znaczący to dalej, że musi być programem tworzenia niezależnych stowarzyszeń — lub uczestniczenia w legalnych, o ile mogą być postawione w służbę narodu, co wyklucza, rzecz jasna, oficjalne organizacje polityczne (a wśród nich — podporządko-

wane PZPR związki zawodowe). Znaczący to wreszcie, że musi być programem odtwarzania lub wzmacniania struktur „Solidarność” poczynając od zakładów pracy a kończąc na TKK.

2. Program taki winien tłumaczyć cele dalekosiężne na język działań codziennych. Znaczący to, że uczestnictwo w realizowaniu go winno uczyć niepodległości, demokracji, samorządności — ale również dyscypliny — w ramach małych grup stawiających sobie cele, które muszą spełniać jeden podstawowy warunek: dążenie do nich winno dawać efekty społecznie pozytywne, przyczyniać się do podnoszenia poziomu życia materialnego lub duchowego.

3. Program ten winien wreszcie łączyć postulaty polityczne i gospodarcze z wymogami moralnymi wobec tych, którzy skłonni są brać na siebie jego realizację.

Zapewne nie są to wymagania odkrywcze. Stan umysłowości polskiej jest dziś jednak taki, że przypomnienie pewnych postaw i orientacji, które wielu by chciało wykreślić z narodowej pamięci, jest już samo przez się aktem polemicznym i politycznym. Taki też jest istotny sens cennej książki Giełżyńskiego.

Krzysztof POMIAN

## «Journal Philosophique» M. Prokopa

Kiedy na wiosnę 1985 roku ukazał się pierwszy numer dwumiesięcznika *Journal Philosophique*. *Bulletin du Centre de Recherche Philosophique Saint Thomas d'Aquin*, z zaciekawieniem przejrzałem zawartość skromnego zeszytu. Wprowadzające i w jakimś sensie programowe studium Mieczysława Gogacza pt. „Qu'est-ce la réalité?” przedstawiało problematykę różnicy między kulturą i cywilizacją, naturą i rzeczywistością, bytem i zjawiskiem w obrębie filozofii tomaszowej z rzadko spotykaną jasnością i precyzją. Podobnie szkice Ryszarda Kalki, Marka Prokopa i Ryszarda Zana o problematyce osoby, ukrytych założeniach ateizmu i tradycji rozważań nad sobą ludzką w Polsce, mogły — jak sądzę — zainteresować zarówno specjalistę jak i laika.

Studia zamieszczone w pierwszym numerze dwumiesięcznika poprzedził krótki artykuł redakcyjny, stanowiący zwięzły i przejrzysty program pisma.

Od wiosny 1985 roku ukazało się siedem numerów *Journal Philosophique*, który redaguje Marek Prokop. Prokop jest również prezesem Centre de Recherche Philosophique.

Ośrodek Badań Filozoficznych grupuje filozofów z różnych krajów. Oprócz młodych filozofów i historyków polskiego pochodzenia zamieszkałych poza Polską (A. Bernhardt, J. Górniak, R. Kalka, J. Kozłowski, L. Kuc, M. Mościcki, M. Prokop, R. Zan), współpracują z nim uczeni z Kraju, związani z Akademią Teologii Katolickiej (M. Gogacz, M. Kaczorek, T. Klimski, S. Krajski, M. Propokopowicz, S. Świeżawski, K. Szałata), filozofowie francuscy (B. de Margerie, SJ, R. Lahaye, C. Viola, J.-C. Lavaud, P. Caye, V. Larrivé, OP, F. Millet, M. M. Dufeil), włoscy (A. Lamacchia, R. Bottalico, L. Miccoli, V. Castellano, D. Cipriani, C. Esposito, G. Grosso, C. Reho), filozof holenderski H. Seidl, belgijski R. Macken, hiszpański A. Lobato, OP.

Ośrodek organizuje regularne seminaria (dwa razy w miesiącu) i międzynarodowe kolokwia, na których dyskutowane są problemy dotyczące nie tylko filozofii średniowiecznej i myśli św. Tomasza, ale także całego pola humanistyki. Pierwsze międzynarodowe kolokwium zorganizowane przez Ośrodek i zatytułowane „Problem osoby w filozofii średniowiecznej” odbyło się na uniwersytecie w Créteil (Paris IX) w 1982 roku, drugie, pt. „Intelekt i rozum w filozofii średniowiecznej” w roku 1983 w Chantilly; w roku 1984 odbyła się międzynarodowa konferencja (Paris XII) o zagadnieniu człowieka w filozofii średniowiecznej, a w roku ubiegłym uniwersytet w Bari zorganizował wspólnie z Ośrodkiem międzynarodowe kolokwium dotyczące pojęcia bytu w filozofii średniowiecznej.

Zarówno poziom *Journal Philosophique* jak i prace Ośrodka zasługują na baczną uwagę. Jednak nie tylko jakość filozoficznej dyskusji wydaje się warta podkreślenia. Oto z dala od gwarów i sporów „na paryskim bruku”, doraźnej publicystyki i ulotnych przedsięwzięć rozwija się działalność cicha i niespieszna, nakierowana nie tyle na zgiekliwość powierzchwności życia, ile na dogłębną penetrację myśli, kierowana troską o wartość i sens egzystencji człowieka pośród rzeczy.

Można, rzecz jasna, mieć różny stosunek do myśli tomistycznej, można w końcu nie interesować się średniowieczem i dysputami o kategoriach opisu świata, a żmudne dociekania uważać za zbyteczny luksus lub stratę czasu, gdy odczuwalny jest ogólny upadek sensu wartości i słów. Myślę jednak, że kultura jakiegokolwiek narodu lub kręgu, niezależnie od tego czy ów naród lub krąg żyje w skupieniu, czy też w diasporze, cieszy się wolnością, lub walczy z uciskiem, wyraża się przede wszystkim przez bogactwo treści i rozrzućność form, w których przejawia się chłonność i siła promieniowania „ducha” owego narodu. Myślę, że dobrze jest, gdy są ludzie, którzy w czasach zamętu pochylają się nad starymi księgami w trosce o dostojność słowa, w szacunku dla prawdy ujawnianej tym, którzy potrafia być uważni.

*Journal Philosophique* drukuje teksty w językach francuskim, włoskim, hiszpańskim i niemieckim.

Krzysztof RUTKOWSKI

## Nadesłane nowości wydawnicze

- BRZEZIŃSKI (Zbigniew). *Cztery lata w Białym Domu. Wspomnienia Doradcy do Spraw Bezpieczeństwa Państwa 1977-1981*. Tłum. z angielskiego Z. Dziekoński. Str. 573 i 5 nlb. (Wyd. Polonia, Londyn 1986).
- ŁOPIEŃSKA (Barbara M.). SZYMAŃSKA (Ewa). *Stare numery*. (Historia „Po Prostu”). Str. 129 i 1 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1986, cena US \$ 8,50, £ 3.50).
- LEWANDOWSKI (Janusz) SZOMBURG (Jan). *Samorząd w dobie „Solidarności”. Współpraca samorządów pracowniczych Pomorza Gdańskiego na tle sytuacji w kraju w latach 1980/1981*. Str. 109 i 3 nlb. (Wyd. Odnowa, Londyn 1985).
- Przegląd polityki polskiej*. Str. 197 i 3 nlb. (Wyd. Odnowa, Londyn 1985).
- WÓJCİK (Józef, ks.). *Moja wielka nowenna*. Str. 121 i 9 nlb. (Wyd. Odnowa, Londyn 1985).
- Św. TOMASZ Z AKWINU. *O Braterskim Upomnieniu*. AUTOR NIEZNANY. *O Dwunastu Stopniach Nadużyć*. Str. 61 i 3 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1986).
- ŚW. TOMASZ Z AKWINU. *Suma teologiczna*. Tom 13: *Prawo (1-2. 90-105)*. Przekład z łaciny, objaśnienia i skrowidze pod red. ks. Stanisława Bełcha. Str. 400 i 2 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1985, cena £ 10).
- ZAGAJEWSKI (Adam). *Solidarność i samotność*. Str. 107 i 5 nlb. (Wyd. Zeszyty Literackie, Paryż 1986, cena FF. 60, US \$ 10).
- SZNARBACHOWSKI (Włodzimierz). *Eurydyki. Wiersze i balady*. Str. 45 i 3 nlb. (Wyd. Biblioteka „Archipelagu”, Berlin 1986).
- CZAPLICKA (Barbara). *Wiersze*. Str. 57 i 7 nlb. (Wyd. Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Toronto 1986).
- KOWALSKI (Artur). *Kochałem ją nad życie. Wspomnienia byłego komunisty*. Str. 368 i 2 nlb. (Nakładem przyjaciół i towarzyszy broni z Brygady im. Jarosława Dąbrowskiego w Hiszpanii, San Jose, USA, 1986).
- HEYM (Stefan). *Collin*. Przeł. z niemieckiego Mira i Grzegorz Landmannowie. Str. 265 i 3 nlb. (Wyd. Veto Verlag, Berlin).
- ŻMIGRODZKI (Józef). *Listy egzotyczne z Kanady*. Str. 86 i 2 nlb. (Wyd. Caldera House Ltd., Hove, Sussex 1986).
- STEINFELD (Ludwika). *Judasz. Poemat nie tylko biblijny. Wiersze różne*. Str. 77 i 1 nlb. (Wyd. nie podane, Frankfurt RFA, 1986).
- Emeryk Hutten Czapski, 1897-1979. Szkic biograficzny i wspomnienia współczesnych*. Str. 11 i 1 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1986).
- GABLER (Dariusz). *Czas ciosów. Wiersze*. Str. 47 i 1 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1986).
- PANKOWSKI (Marian). *Zygmunt August. Teatrowanie na użytek ludzi sceny i teatru*. Str. 106 i 6 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1986).
- JANKOWICZ (Stefan). *Pieśń o pułku naszym i inne wiersze*. Str. 122 i 6 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1986).
- POZOWSKA (Maria). *Medytacje*. Str. 79 i 1 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1986).
- Marszałek Edward Smigły-Rydz, 1886-1986. Broszura*. Str. 32. Wyd. Instytut Józefa Piłsudskiego, Londyn 1986).
- PIEKUT (Stanisław). *Pod krwawym niebem. Z Polski do Rosji Stalina*. Str. 120. (Wyd. PFK, Londyn 1986).

- MERTON (Thomas). *Wybór wierszy*. Str. 131 i 1 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1986, cena zł 150).
- De LUBAS (Henri). *O naturze i lasce*. Przeł. Janina Fenrychowa. Str. 206 i 2 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1986, cena zł 250).
- ZYCHIEWICZ (Tadeusz). *Stare Przymierze*. Str. 759 i 1 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1986, cena zł 1000).
- HERSCH (Jeanne). *Eclairer l'obscur. Entretiens avec Gabrielle et Alfred Dufour*. Str. 242 i 4 nlb. (Wyd. L'Age d'Homme, Lozanna 1986).
- GOUSTINE (de, Luc). *Bartosz et Teresa*. Powieść. Str. 142. (Wyd. Criterion, Limoges 1986).
- HIRSZOWICZ (M.), MICHEL (P.), MINK (G.). *Les problèmes de la crise en Pologne. 1<sup>re</sup> partie*. Str. 53 i 7 nlb. (W: *Projet de recherche „Les crises des systèmes de type soviétique”, étude nr 12*, wyd. Index, Köln 1986).
- WYRWA (Tadeusz). *L'armée polonaise en France en 1939-1940*. (Nadbitka z „Revue historique des Armées” nr 4/1985, str. 84-92, Paryż).
- NORWID (Cyprian Kamil). *Poezje. Poems*. Na angielski przełożył Adam Czerniawski. Str. 127 i 5 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1986, cena zł 280).
- The Yalta Agreements. Documents prior to, during and after the Crimea Conference 1945*. Opr. Zygmunt C. Szkopiak. Str. 183 i 1 nlb. (Wyd. Polish Government in Exile, Londyn 1986).
- TERLECKA (Antonina Maria — Tola Korian). *Stanisław Wyspiański and Symbolism*. (Nadbitka z *Antemurale XXVII-XXVIII*, Rzym 1984/85, str. 35-123).
- BOYES (Roger), MOODY (John). *The Priest Who Had to Die. The Tragedy of Father Jerzy Popiełuszko*. Str. 204 i 2 nlb. (Wyd. Victor Gollancz Ltd., London 1986).
- KOZIK (Jan). *The Ukrainian National Movement in Galicia: 1815-1849*. Edited and with an Introduction by Lawrence D. Orton. Translated from the Polish by An-
- drew Gorski and Lawrence D. Orton. Str. 498. (Wyd. Canadian Institute of Ukrainian Studies, University of Alberta, Edmonton 1986).
- SESARDIC (Neven), SETTEMBRIANI (Domenico). *Marxian Utopia? A theoretical critique of Marxism*. Str. 79 i 1 nlb. (Wyd. Centre for Research into Communist Economies, London 1985, cena £ 3,50).
- WITTMANN (Walter). *How Social is the Market Economy?* Str. 50. (Wyd. Centre for Research into Communist Economies, London 1985, cena £ 2,50).
- THALHEIM (Karl C.). *Stagnation or Change in Communist Economies?* Str. 54 i 2 nlb. (Wyd. Centre for Research into Communist Economies, London 1986. Cena £ 3,50).
- CAVOSKI (Kosta). *The Enemies of the People*. Str. 76. (Wyd. Centre for Research into Communist Economies, London 1986. Cena £ 3,50).
- FRIEDMAN (Milton). *Market or Plan?* Str. 40. (Wyd. Centre for Research into Communist Economies, London 1984. Cena £ 2).
- PODGÓRECKI (Adam). *The Riddles of Si-Tien*. Str. 39 i 1 nlb. (Wyd. Poets and Painters Press, London 1986).
- HOSKINS (Janina W.). *Joachim Lelewel, Scholar. 1786-1861. Bio-Bibliographic Sketch*. Str. 18. (Wyd. Library of Congress, European Division, Washington 1986).
- Harvard Ukrainian Studies*, vol. IX, number 1/2, June, 1985. Str. 236 i 2 nlb. (Wyd. Ukrainian Research Institute, Harvard University, Cambridge Mass., USA).
- Green River Review*, vol. XV, nr 1-2: *Recent Polish Literature*. Str. 196 i 4 nlb. (Wyd. SVSC, Box 56, University Center, MI 48710).
- Cross Currents. A Yearbook of Central European Culture*. Nr 5. Str. 505 i 5 nlb. (Wyd. University of Michigan, Ann Arbor 1986).

## KRAJ — BLOK WSCHODNI

## 29-4-86

W ub. roku państwowe przedsiębiorstwa PRL zatrudniały bezpośrednio za granicą 87,5 tys. obywateli polskich, czyli około 0,7 % zatrudnionych w gospodarce państwowej. 3/4 osób to pracownicy fizyczni, głównie robotnicy budowlani i zajmujący się obróbką metali. Najliczniej reprezentowaną grupą inteligencji technicznej są inżynierowie. 2/3 osób pracuje w krajach RWPG.

## 10-6-86

Biuro paszportów Ministerstwa Spraw Wewnętrznych PRL podaje, że w I-szym kwartale br. powróciło do Polski 15,5 tys. obywateli polskich, m.in. nawet ci, którzy przedłużali swój pobyt za granicą zaś 3 tys. osób zdecydowało się na powrót po sześciomiesięcznym pobycie za granicą.

## 22-6-86

Jerzy Harasymowicz w wywiadzie dla *Gazety Krakowskiej* wystąpił z inicjatywą stworzenia miesięcznika *Łemko*.

## 23-6-86

Zmarł w Warszawie w wieku 75 lat Jerzy Putrament, wieloletni prezes Związku Literatów Polskich, ostatnio redaktor naczelny miesięcznika *Literatura*. Został uwieczniony w „Zniewolonym umyśle” Czesława Miłosza, gdzie występuje jako Gamma.

## 26-6-86

W Warszawie odbyła się uroczystość wręczenia nagród Funduszu Literatury. Nagrody przyznała Rada Funduszu przy ministrze Kultury i Sztuki na wniosek jury, któremu przewodniczył prof. Juliusz Wiktor Gomulicki. Nagrody otrzymali: Igor Newerly za książkę „Za Opiwardą, za siódma rzeką”, Stefan Gołębiowski za tom poetycki „Daję słowo”, Włodzimierz Sedlak za książkę wspomnieniową „Życie jest światłem”, Andrzej Wasilewski za szkice zebrane w tomie „Wschód, Zachód i Polska”, Alfred Łaszowski za eseje „Literatura i styl życia”, Henryk Markiewicz za pracę teoretyczną „Świadomość literatury”, Stefania Skwarczyńska za tom „W orbicie literatury, teatru i kultury narodowej”, Stanisław Marczak-Oborski za opracowanie „Teatr polski w latach 1918-1965”, Kazimierz Olszański za opracowanie „Listów” Wojciecha Kossaka, Krzysztof Wrocławski za opracowanie i przekład książki „O Bogu, jego sługach i diabelskich sztuczkach. Setnik legend południowej Słowiańszczyzny” oraz tłumacze: Danuta Bienkowska, Janina Dziarnowska i Zofia Milewska. Przyznano również nagrody: zespołowi Redakcji Literatury PWN za wydanie przewodnika „Literatura polska”, Instytutowi Wydawniczemu „Nasza Księgarnia” za poziom edytorski książek dla dzieci i młodzieży, Redakcji Literatury Pięknej Wydawnictwa „Iskry” za opiekę i działalność promocyjną na rzecz młodej prozy oraz Stanisławowi Siekierskiemu za pracę z zakresu bibliotekoznawstwa i czytelnictwa. ■ Zmarł w Łodzi w wieku 69 lat Jan Huszcza, poeta, prozaik, satyryk i tłumacz. ■ Redakcja polska radia moskiewskiego obchodzi 45-tą rocznicę nadania pierwszego programu w języku polskim, którego inicjatorami polskimi byli Zofia Dzierżyńska i Feliks Kon. Obecnie redakcja polska przygotowuje 10 godzin programu dziennie — 4 audycje tygodniowo.

## 6-7-86

35 tys. turystów z Zachodu odwołało w polskich biurach podróży swój tegoroczny przyjazd do PRL.

**13-7-86**

Zmarł w Warszawie w wieku 98 lat prof. Edward Lipiński, wybitny ekonomista, jeden z założycieli KOR-u w 1976 roku. Jego pamięci poświęcimy wspomnienie, które ukaze się w jednym z najbliższych numerów *Kultury*.

**20-7-86**

W Kijowie trwa wiercenie 60 studni artezyjskich (160-330 m. głębokości). Wszystkie piekarnie i mleczarnie miejskie używają wody jedynie z tych studni. Równocześnie wybudowano stację pomp, która przepompowuje wodę na użytek miasta z rzeki Dnieśna, tak aby częściowo uniezależnić Kijów od wody z Dniepru.

**25-7-86**

Miesięczny „obóz języka rosyjskiego”, zorganizowany w Kaliszu pod patronatem UNESCO, obejmował 100 uczniów z PRL oraz 10-osobową grupę młodzieży ze szkół moskiewskich.

**5-8-86**

Zmarła w Warszawie w wieku 79 lat Stefania Górka, jedna z najpopularniejszych artystek, zwłaszcza przedwojennego kabaretu.

**10-8-86**

Udział Związku Sowieckiego w handlu zagranicznym PRL zwiększył się do 1990 roku do ponad 40%. W 1985 roku wynosił 37%. ■ Mają zostać otwarte konsulaty: ZSSR w Monachium i RFN w Kijowie. ■ Przesunięcia personalne w PRL: dotychczasowy wiceprzewodniczący radiokomitetu — Jan Grzelak — został dyrektorem Interpresu; dotychczasowy kierownik Wydziału Kultury KC PZPR — Witold Nawrocki — został redaktorem naczelnym tygodnika *Kultura*; a dotychczasowy redaktor naczelnego tego pisma — Klemens Krzyżagórski — został redaktorem naczelnym miesięcznika *Literatura*. ■ W Moskwie mieszka obecnie 8,7 mln ludzi, a w 1990 roku zapewne ilość zwiększy się do 9,1 mln. (wiadomości zaczerpnięte z *Tygodnika Powszechnego*).

## ZACHÓD — EMIGRACJA

**1-5-86**

Związek Literatów izraelskich przyznał nagrodę im. „Thenya” Jerzemu Ficowskiemu. Jest to nagroda przyznawana pisarzom z Europy Wschodniej za prace omawiające losy Żydów w czasie drugiej wojny światowej i w okresie tworzenia państwa Izrael.

**5-5-86**

Rada Miejska Paryża zamierza nadać nazwę skwerowi położonemu przy Vincengetorix (Paryż 14) — Square Cardinal Wyszyński.

**10-5-86**

Na zebraniu Rady Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego (POSK) w Londynie został wybrany nowy zarząd: przewodniczącym został Szymon Zarembo, sekretarzem Stanisław Chmielewski, skarbnikiem Edward Truch. Spłata długów POSK-u postępuje, ale jednak pozostało jeszcze do spłacenia ok. 700.000 £.

**18-6-86**

Zmarł w Londynie w wieku 90 lat gen. Jan Emil Berek, minister Spraw Wojskowych Rządu R.P. na uchodźstwie w latach 1980-1984, założyciel i wieloletni prezes Związku Filatelistów Polskich w Wielkiej Brytanii.

**28-6-86**

Zmarł w Nowym Jorku dr Jan Morelowski, wieloletni prezes Stowarzyszenia Prawników Polskich w Ameryce.

**29-6-86**

Zmarł w Antwerpii w wieku 74 lat Władysław Dehnel. Był on na terenie Belgii czynnym działaczem w związkach zawodowych i w życiu polonijnym. ■ Zmarł w Londynie w wieku 92 lat Bohdan Podoski, wicemarszałek Sejmu R.P., współtwórca Konstytucji kwietniowej.

**30-6-86**

Zmarł w Nowym Jorku w wieku 91 lat Roman B. Gul od 1950 roku do ostatniej chwili naczelnym redaktorem kwartalnika *Nowy Żurnal*, który ukazuje się w Nowym Jorku w języku rosyjskim. Był autorem powieści, biografii i opracowań historycznych. Najgłośniejszą jego powieścią był „Azef” (w latach 50-tych została bez wiedzy autora wydana w Polsce). W ostatnich latach w nowojorskim wydawnictwie „Most” ukazały się dwa tomy wspomnień Romana Gula, a obecnie w przygotowaniu jest tom trzeci i ostatni tych pamiętników. Roman Gul otrzymał pierwszy tekst Szalamowa „Kołymskie raskazy” i opublikował je w *Nowym Żurnale* — zyskały one światowy rozgłos.

**1-7-86**

Dr Józef Lichten został odznaczony przez Papieża Komandorią Orderu św. Grzegorza Wielkiego. Dyplom został wręczony przez kardynała Willebrandsa, przewodniczącego Papieskiej Komisji dla Stosunków Religijnych z Judaizmem. ■ Komisja Fundacji im. Stanisława Lama przy Towarzystwie Historyczno-Literackim w Paryżu przyznała na rok 1986 cztery stypendia dla krytyków i historyków literatury polskiej, w celu umożliwienia im krótkiego pobytu w Paryżu. Podania o stypendium na 1987 rok należy nadsyłać do 1 lutego 1987 roku na adres Towarzystwa Historyczno-Literackiego. Stypendia nie obejmują kosztów podróży i mieszkania.

**5-7-86**

Zmarł w Monachium w wieku 74 Jarosław Stečko, wybitny działacz ukraiński, przewodniczący O.U.N. oraz Antybolszewickiego Bloku Narodów.

**7-7-86**

Zmarł w Londynie w wieku 75 lat Stanisław Gliwa, znany grafik i poligraf, wysoko ceniony wśród bibliofilów polskich i angielskich.

**31-7-86**

Janusz Kowalewski, redaktor *Orla Białego*, został usunięty z zajmowanego stanowiska, podobno ze względów zdrowotnych. Na jego miejsce został mianowany E. Chudzyński.

**1-8-86**

Secours Catholique we Francji przekazała do Polski, na ręce Episkopatu 150 ton mleka w proszku.

**5-8-86**

Zmarł w Londynie w wieku 67 lat Tadeusz Podgórski, działacz społeczny, przede wszystkim w ramach PPS.

**8-8-86**

Zmarł w Wiedniu w wieku 57 lat Andrzej Zięba, żołnierz A.K., prof. matematyki b. prorektor Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Emigrant polityczny od 1978 roku, członek Rady Naczelnej PPS.

9-8-86

Zmarł w Paryżu w wieku 80 lat Lucjan Krawiec (pseudonim Jean Malara), historyk i publicysta polityczny, w czasie wojny brał czynny udział w walce w ramach Résistance.

15-8-86

Nagroda pisarska Stowarzyszenia Polskich Kombatantów (Londyn) na rok 1985 została przyznana *ex aequo* po 250 funtów — Markowi Łatyńskiemu za książkę „Nie paść na kolana. Szkice o opozycji lat czterdziestych” (Londyn 1984, wyd. Polonia) oraz ks. dr. Stanisławowi Belchowi za całokształt twórczości.

16-8-86

Zmarł w Londynie w wieku 90 lat Ignacy Wieniewski, pisarz, filolog klasyczny, tłumacz „Iliady” i „Eneidy”.

17-8-86

Komisja Polityczna Parlamentu Europejskiego zaakceptowała obszerny raport dotyczący sytuacji w Polsce przygotowany przez J. Gawrońskiego z Włoskiej Partii Liberalnej. Projekt rezolucji zostanie poddany pod głosowanie Parlamentu.

20-8-86

Władze holenderskie skonfiskowały 250 kg heroiny, znalezione na statku sowieckim „Kapitan Tomson”. Heroina została załadowana w porcie w Rydze, pochodzi zaś z Afganistanu...



19 87

## kalendarz polonii światowej

WYDARZENIA Z TWOJEGO ŻYCIA  
GROBY POLSKIE NA ŚWIECIE  
A D R E S Y = OBRAZ NASZEJ  
ŚWIATOWEJ W S P Ó L N O T Y

Cena \$5 plus porto \$1.

Polish "Domek", Bethlehem, CT. 06751  
oraz w księgarniach polskich.

## Listy do Redakcji

11 sierpnia 1986.

Na mój list do *Kultury* otrzymałem wiele odpowiedzi, które dadzą się podzielić na trzy kategorie: jedne zawierają tylko pośajanki, inne polemizują z moimi poglądami, jeszcze inne wreszcie przynoszą informacje. Pragnę podziękować autorom listów należących do tych dwóch ostatnich rodzajów, bez względu na to czy się ze mną zgadzają czy nie. Oto parę uwag o treści korespondencji:

— Wiele listów pisanych zarówno przez Żydów jak i przez Polaków wieje wprost nienawiścią, która robi wrażenie patologicznej. Autorom mogą tylko radzić zwrócenie się do dobrego lekarza. Ale sam fakt istnienia takiej nienawiści wydaje mi się ważny i zastanawiający. Zastugiwałby na analizę.

W moim liście były trzy twierdzenia zasadnicze: o istnieniu na światową skalę zakrojonej propagandy anty-polonistycznej, o mordach dokonanych na Żydach przez pewnych Polaków i o mordach na Polakach dokonanych przez pewnych Żydów. Jeśli chodzi o pierwsze twierdzenie, nikt nie podał go w wątpliwość — co więcej otrzymałem wiele wycinków prasowych potwierdzających to, co napisałem. Niektórzy przeczą co prawda, by istniał skandal oświęcimski, ale najzupełniej gołosłownie — bo jest skandalem, że się chce zabronić Polakom modlić się za Polaków pomordowanych przez Niemców na polskiej ziemi.

Jeśli chodzi o mordy na Żydach, dokonane przez pewnych Polaków, otrzymałem nowe informacje o rzeczach, o których uprzednio nie wiedziałem. Jestem za te informacje wdzięczny — one nie zmieniają jednak zasadniczego faktu, że były, niestety, sporadyczne mordy Żydów w Polsce.

Natomiast w sprawie zabójstw Polaków przez Żydów znajduję w korespondencji ze strony żydowskiej niemal jednogłośnie twierdzenie, że takich zabójstw nie było. Co prawda — przyznaje się — wielu Polaków zostało zamordowanych przez „osoby żydowskiego pochodzenia”, należące do Bezpieki — ale Żydzi jako tacy nigdy nikogo nie zabili. Tej argumentacji nie mogę uznać za przekonującą. Czy Żydzi mordowali Polaków jako tacy, czy nie jako tacy, wydaje mi się pytaniem raczej subtelnym — zwłaszcza, że jedną z przyczyn owych mordów była, moim zdaniem, nienawiść do wszystkiego co polskie ze strony morderców. Moim zdaniem jest oczywistym faktem, że wielu, bardzo wielu Polaków zginęło z ręki niektórych Żydów. Istnieje morderczy antypolonizm żydowski.

Znajduję w korespondencji stale powtarzające się rozumowanie następującego typu: X popełnił morderstwo, X jest Polakiem (albo Żydem) a więc wszyscy Polacy (albo wszyscy Żydzi) są mordercami. Otóż tego rodzaju rozumowanie jest idiotyzmem i wyprasza sobie przypisywanie mi podobnego barbarzyństwa. Pewni Polacy zamordowali pewną ilość Żydów, pewni Żydzi

pewną ilość Polaków — to są fakty — ale nie wolno z nich wyciągać wniosku, że wszyscy Polacy, czy wszyscy Żydzi byli za te fakty odpowiedzialni.

Można, naturalnie, postawić sobie pytanie o odpowiedzialności moralnej. Co do mnie, myślę, że ci, którzy szerzą nienawiść do innych grup narodowych są moralnie odpowiedzialni za mordy. Muszę jednak stwierdzić z przykrością, że jeśli niektórzy Polacy winni byli w przeszłości szerszenia nienawiści do Żydów, to dzisiaj nienawiść do Polaków jest szerzona na ogromną skalę, często za pomocą kłamliwych argumentów, przez Żydów.

W moim liście wyraziłem przekonanie, że należałoby o tych sprawach mówić jak najmniej. Jeśli sam o nich list napisałem, to dlatego, że pisano dotąd wyłącznie w jednym kierunku i że trzeba było przypomnieć fakty całkiem zapomniane. Dziś, po przeczytaniu korespondencji, chciałbym sformułować inną myśl i nowy apel. Natężenie nienawiści w polemice jest tak wielkie, że wygląda na typową zawiedzioną miłość — jest tak, jak gdyby Żydzi i Polacy byli rodzajem pokłóconej pary małżeńskiej. Do apelu po zaprzestaniu polemiki o pogromach chcę dodać teraz apel o pogodzenie się.

J. M. BOCHENSKI

Londyn, 15 lipca 1986.

Szanowny Panie Redaktorze,

W „Różnych głosach” (*Kultura*, czerwiec 1986) Adam Michnik, obok innych, zdumiewających opinii, stwierdza także, że obóz niepodległościowy nie istnieje. *Sto procent nieprawdy!* Obóz ten powstał w roku 1939, gdy kraj nasz rozdarli dwaj wrogowie, istnieje nadal, tak jak istniał w okresie rozbiorów, i będzie istnieć do chwili, w której kraj nasz powróci do niepodległego bytu. Więcej: nigdy, od prawie dwóch wieków, naród nasz nie posiadał tak silnego i tak szeroko rozgałęzionego obozu niepodległościowego. Ma on swych przedstawicieli w każdej polskiej wiosce i sięga do wielu krajów całego świata.

Stało się tak z dwóch powodów. Po pierwsze, w czasie okupacji, ruch podziemny, oparty przede wszystkim na naszym pokoleniu, pierwszym wychowanym w niepodległej Polsce, zmobilizował wszystkie warstwy społeczne, zjednoczył partie polityczne, dotarł do najdalszych zakątków kraju i stworzył po raz pierwszy w naszych dziejach powszechną bazę ideową, na której, po wielu latach, mogła się oprzeć „Solidarność”. Ofiary były olbrzymie, ale historia uzna, że były konieczne. Po drugiej decyzja pozostania na emigracji doprowadziła do sytuacji, w której Polacy znaleźli się w wielu krajach zachodniego świata. Mają tam wpływy, zajmują poważne stanowiska, włączają na uniwersytetach, publikują książki w różnych językach, wydają pisma, docierają z informacjami o naszym kraju i o naszej kulturze do milionów rzesz wolnych społeczeństw, są dobrze zorganizowani. Napisanie o milionach Polaków, że nie tworzą obozu niepodległościowego, jest opinią, która nie pozwala na dyskusję.

Z wielkim szacunkiem myślę o tych wszystkich, którzy w kraju kontynuują naszą walkę, jednocześnie jednak jestem zdania, że ponoszenie jej trudów, znoszenie szykan, nawet przebywanie w więzieniu, nie usprawiedliwia bezpodstawnych sądów. Tak samo jak mój pobyt w Oświęcimiu nie daje prawa do ferowania wyroków, choć na szczęście obecnych polskich więźniów nie można porównać z niemieckim obozem zagłady.

Destrukcyjność poglądu Michnika jest oczywista. Podważa on słuszność naszych poczynań, jest niesprawiedliwy i nie znajduje żadnego usprawiedliwienia. Walka o Polskę toczy się na całym świecie, wszędzie tam gdzie są Polacy, nie tylko na Mokotowskim więzieniu.

Łączę najlepsze pozdrowienia

Józef GARLIŃSKI

Szanowny Panie Redaktorze!

W *Kulturze* nr 7/8 (1986) przeczytałem z prawdziwym zalem tekst Jana Walca — „Gdy naród budował podziemne struktury”. Znajdują się w nim uwagi dotyczące mojego artykułu: „O niektórych postawach w opozycji” (*Kultura* nr 3/1986). Nie mam oczywiście najmniejszej pretensji do Walca, że odczytał mój artykuł tak a nie inaczej: W końcu sposób w jaki czyta się cudze myśli świadczy bardziej o tym kto czyta niż o tym czyje myśli są odczytywane.

Nie mogę jednak zostawić bez komentarza następującego fragmentu: „Redaktor Kuczyński (*Kultura* nr 3/1986) powiada, że ogromną przeszkodą w prowadzeniu przez „Solidarność” sensownej polityki byli ludzie (str. III)...”. Sposób przedstawienia podkreślonego przeze mnie fragmentu musi nasuwać czytelnikowi nieodparcie wrażenie, że jest to cytat z mego artykułu. Wynikałoby z tego, że uważam, iż „Solidarność” prowadziła politykę bezsensowną a odpowiedzialnymi za to byli jej wszyscy członkowie, jeśli nie całe społeczeństwo polskie. Oczywiście nigdy niczego podobnego nie twierdziłem, a powyższy fragment, zaprezentowany przez Walca jako cytat z mego artykułu, jest jego własną interpretacją następującej części mej wypowiedzi: „Chcieli (Wałęsa i bliski mu krąg ludzi — W.K.) zbudować politykę Związku na doświadczeniach Kościoła, który w swej powojennej historii, gdy było to konieczne szedł na ustępstwa nawet upokarzające w imię racji najwyższej jaką było przetrwanie bez straty niezależności choćby na mniejszym terenie. Drogę do tego doświadczenia zagradzały „Solidarność” ogromne przeszkody. Jedną z nich byli ludzie zmierzający do wyprawienia komunizmowi pogrzebu lub przynajmniej do zamienienia go w atrapę. Zmierzający świadomie, lecz może jeszcze częściej w myśl dla nich przekonaniu, że muszą iść w tym kierunku, bo skoro w kondukt pogrzebowy ustawia się cały naród to nie ma sposobu by go od tego odwieść”.

Walc — jak widać sfałszował moją wypowiedź, by łatwiej było mi „przyłożyć”. Niestety nie przeskodziło mu w tym jego wysokie morale opozycyjne, o którym jest tak głęboko przekonany.

Z poważaniem

Waldemar KUCZYŃSKI

P.S. Przy okazji chciałbym sprostować kilka zmian, które bez mego udziału zakradły się do tekstu „4 listopad 1981 rok” (*Kultura* nr 7/8, 1986).

1) Dokument o którym tam piszę nie „zatwierdzał” lecz „zawierał” deklarację woli zmian demokratycznych.

2) Nie pisałem, że premier przyszedł na spotkanie 4 listopada 1981 „bez żadnej choćby chęci (podkr. — W.K.) złagodzenia nabrzmiewającego konfliktu” lecz, że przyszedł na nie „bez żadnego pomysłu”. W moim wystąpieniu *zdawałem wyjątkowo relację z faktów* — które znam — a nie z uczuć premiera, których nie znam. Jest to dla mnie bardzo istotna różnica, ponieważ uważam, że jedną z plag polskiego piśmiennictwa politycznego jest pochochność w opisywaniu cudzych intencji i oczywiście nie chciałem temu ulegać.

3) Nie pisałem, że „ważne rzeczy były już dawno przewidziane” lecz, że ważne rzeczy były „przewidziane (to znaczy miały się odbyć — W.K.) przed Gwiazdką”. W tym przypadku chodziło o stan wojenny i ja chciałem powiedzieć jedynie, że w świetle opisanego przeze mnie wydarzenia można przypuszczać, że już wtedy — 4 listopada — decyzja o nim była w zasadzie podjęta. Nie zamierałem absolutnie twierdzić, że była podjęta już od dawna, ponieważ tego nie wiem.

W. KUCZYŃSKI

Bodensee, 22 lipca 1986.

*Tableau!* Waldemar Kuczyński prostuje dokonane przeze mnie streszczenie jego poglądu, jakoby przeszkodą w prowadzeniu przez „Solidarność” sensownej polityki byli LUDZIE, powołując obszerny cytat; rzeczywiście streszczałem niedokładnie — Kuczyńskiemu nie chodzi bynajmniej o „ludzi w ogóle” a tylko o niektórych, a mianowicie „świadomie (...) zmierzających (...) w tym kierunku (co) cały naród”.

To właśnie chciałem napisać. *Right or wrong — my nation.*

Jeśli — jak powiada Kuczyński — sposób odczytywania cudzych myśli świadczy raczej o odczytującym niż o autorze, to jak oceniać sytuację, kiedy ów autor sam odczytuje ze swoich słów co innego, niż był napisał? Czy ma być znakiem i naszego czasu, że wedle subtelnych redaktorskich koncepcji będziemy pisać gotykiem to, co ma być odczytane cyrylicą, aby nie popaść w nużącą jednostajność tego co mówimy, myślimy, piszemy, czytamy — i czynimy? I czy kogoś, kto posłuży się niewygodnym cytatem dalej będziemy nazywać „falszerm” i podawać w wątpliwość jego „moralę”?

Jan WALC

Trangsund, Szwecja.

Szanowny Panie Redaktorze,

Artykuł Jakuba Karpińskiego pod tytułem „Prawica — Lewica” w numerze 6 (1986) *Kultury* roi się od błędnych informacji. Chciałbym sprostować te, które dotyczą socjaldemokracji, z konieczności jednak muszę poruszyć także kilka innych.

Koroną twierdzeń autora jest: „Narodowy socjalizm... uważam za tendencję bliższą lewicy, niż prawicy”. Wolno autorowi tak uważać, ale trudno będzie mu znaleźć kogokolwiek, kto podzielałby jego poglądy.

Piszę on dalej: „Można znaleźć lewicowców spokojniejszych, niż komuniści i mniej skłonnych [a więc jednak skłonnych — M.L.] do gwałtu, a więc socjalistów i socjaldemokratów, popierających niektóre akcje komunistyczne, a przeciwstawiających się innym”. Dalej: „Sądy realizujące politykę państwa (i partii) są bardziej lewicowe, niż sądy niezawisłe”. Nie wiem dokładnie, o co tu autorowi chodzi. Czyha nie usiłuje on sugerować, że sądy państw rządzonych przez prawicę są oparte o ustawy, nie odzwierciedlające żadnych poglądów? Nawet pravicowych?

I znowu dalsze twierdzenie autora: „Program gospodarczy lewicy brzmi na ogół: upaństwowić, co się da, a nawet więcej, a potem zobaczymy”.

No, dosyć tych cytatów. Przytoczyłem je tylko dlatego, aby uzasadnić potrzebę sprostowania. Ponieważ należę do grupy polskich socjaldemokratów w Szwecji, sprostowanie moje ograniczy się w zasadzie do tego terenu, ale mogłoby być oparte także o socjaldemokrację w zachodniej Europie i zmiany nie byłyby wielkie.

Socjaldemokracja rządzi w Szwecji w zasadzie od końca wojny, z jedną przerwą. Jest to najbardziej doświadczona z grup socjaldemokratycznych w zachodniej Europie.

Jak jest z zachłannością na nacjonalizację przemysłu w Szwecji, którą Jakub Karpiński przypisuje „lewicy” w ogóle, a więc chyba także socjaldemokratom?

Z chwilą zakończenia wojny, a więc przeszło 40 lat temu, przemysł i handel upaństwowiony w Szwecji obejmował około 9 % całości. Dzisiaj obejmuje prawie dokładnie tyle samo. Jest to może najniższy procent w Europie.

We Francji, przed objęciem władzy przez Mitterranda, a więc za czasów rządów grup prawicowych i pokrewnych, przemysł państwowy, o ile się nie myli, dochodził do 35 % całości.

Cyfra 9 % w Szwecji obejmuje koleje państwowe, pocztę i monopol spirytusowy oraz znaczne tu lasy państwowe.

Nie wydaje się, aby przemysł szwedzki po 40 latach rządów socjaldemokracji był zagrożony nacjonalizacją.

Tak więc prysł jeden zarzut pod adresem socjaldemokracji.

Jeśli chodzi o sądy w Szwecji, wiadomo, że są one obsadzone w większości przez zwolenników prawicy i nic to nikomu nie przeszkadza. Statystyki nie ma, bo nie wolno takiej statystyki prowadzić.

A może zagłębimy do programu partii socjaldemokratycznej, zamiast dyskutować w próżni? Jest to program z roku 1975, ze zmianami wprowadzonymi w roku 1984. Czytamy tam między innymi:

„Walka robotników o prawa demokratyczne była prowadzona równocześnie z walką o sprawiedliwość społeczną, aby bronić demokracji politycznej przeciwko dążeniom ekstremistów do dyktatury... tam, gdzie zasady leninizmu o kierującej roli elity przybrały decydującą rolę, nie spełniły się nadzieje o władzy ludowej. Niewielka grupa przyswoiła sobie władzę i rządzi większością bez demokratycznej kontroli. Dawny system przywilejów ekonomicznych zastąpiono takim samym, tylko nowym... Zasada przetworzenia systemu musi być bowiem oparta o demokratyczny proces, poprzez otwartą debatę, z respektem dla innych przekonania, którego domagają się zasady demokracji. Taka droga wydaje się może trudna i wymaga czasu. Ale daje ona decydującą przewagę. Zapewnia trwałość nowego systemu”.

Na czym polega w takim razie nowy system, jeśli socjaldemokracja nie popiera bezmyślnego upaństwowiania przedsięwzięcia?

Krótko mówiąc, na coraz większym równaniu praw obywatelskich i ekonomicznych mieszkańców kraju, tak, aby wszyscy brali udział w korzyściach, wynikających z rozwoju ekonomicznego.

Dlatego, mówi program: „Każdy człowiek ma prawo, jako pracownik i konsument, wpływać na kierunek rozwoju ekonomicznego kraju, na jego podział i układ... Ludzie mają prawo tworzyć związki, zarówno zawodowe, jak spółdzielnie, związki spożywców i wszelkie związki polityczne”.

W Szwecji nie ma przymusu legalizacji związków politycznych. Państwo zapewnia obywatelom możliwość kształcenia się, buduje drogi, szpitale itd. Każda kolejna reforma szwedzka, począwszy od powszechnego ubezpieczenia chorobowego, poprzez renty dla starców, które osiągnęły tutaj stopniowo poziom niemal równy zarobkom przed przejściem na emeryturę, były uchwalane przez parlament przy sprzeciwie wszystkich stronnictw, z wyjątkiem komunistów. Mimo to socjaldemokraci nie dopuścili ich nigdy do rządu.

Statut partii mówi: „Aby zaspokoić różne żądania i życzenia, jakie dopuszcza demokracja, gospodarka musi być zorganizowana w formie systemu, dopuszczającego masę odchyleń, nie może ona być zwarta i jednolita. Nie może ona przybrać formy zamkniętej reglamentacji. Taka forma związku wolności wyboru jednostek i przedsięwzięcia rozwoju inicjatyw i czynu”.

Na końcu warto zaznaczyć, że statut zapewnia takie same prawa, zarówno ekonomiczne jak i polityczne, wszystkim obywatelom różnych innych krajów, którzy mieszkają w Szwecji. Statut mówi dalej: „Rozwój Europy długo był nacechowany napięciem między mocarstwami świata. Europa została podzielona politycznie, ekonomicznie... To utrudniło starania o rozwój demokratycznego socjalizmu, ale... socjalizm demokratyczny powinien mieć możliwość objęcia wszystkich państw świata. Jego celem jest wolność i pokój na całym świecie”.

W związku z tym socjaldemokracja szwedzka uznała od samego początku, że „Solidarność” w Polsce reprezentuje klasę robotniczą i uznaje to do tej

chwili. Sekretarz socjaldemokracji do spraw zagranicznych oświadczał wielokrotnie, że Szwecja nie tylko uznaje „Solidarność”. Uważa ona ją także za jedyne przedstawicielstwo klasy robotniczej w Polsce.

Szwecja posiada zaledwie 2,5 % bezrobotnych, co stanowi jedną z najniższych cyfr w Europie. Rozwój ekonomiczny tego kraju jest w zupełności zadawalający.

Wszystkie te dane mogą się nieco różnić od danych innych krajów z rządami socjaldemokratycznymi w Europie. Różnice te jednak nie są zapewne zbyt wielkie.

Można, i trzeba oczywiście krytykować także ustrój socjaldemokratyczny z wielu innych powodów. Ale nie na takiej uproszczonej zasadzie jak Jakub Karpiński.

Michał LISIŃSKI

Kraków, 30 czerwca 1986.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Niestety dopiero teraz przeczytałem kwietniowy numer *Kultury*, a w nim tekst „Wokół dwu procesów”, dotyczący m.in. procesu uczestników Ruchu „Wolność i Pokój” Jacka Czaputowicza i Piotra Niemczyka. Stwierdza się w nim, że: „...krakowski WiP jeszcze wiosną 1985, tuż po powstaniu próbował się zarejestrować i uzyskał odmowę władz administracyjnych...” (str. 94). Jest to informacja nieprawdziwa. Nikt z uczestników Ruchu, w żadnym miesiącu nie składał, ani składać nie mógł, do władz wniosku o jego rejestrację, gdyż nikt nie miał woli zakładania stowarzyszenia, związku, czy też organizacji ze sformalizowanym członkostwem, władzami i wewnętrzną dyscypliną. Byłoby to sprzeczne z samą zasadą organizującą Ruch „WiP”, w myśl której stanowią go nieformalne grupy młodych ludzi, którzy aktywność swoją poświęcić chcą sprawie poszerzenia zakresu wolności, praw i inicjatywy jednostki w Polsce, zwalczaniu systemów i ideologii opierających się na przemocy, wreszcie intelektualnym poszukiwaniom dróg mogących Polskę i Europę prowadzić do pokojowego, tzn. nie opartego na zastraszaniu, ładu politycznego.

Owszem, wiadomo mi o jednej osobie, która w ub. roku otrzymała z krakowskiego magistratu decyzję oznajmującą, że działalność Ruchu jest nielegalna. Decyzja ta została wydana z pogwałceniem wszystkich możliwych do pogwałcenia w takiej sprawie przepisów, co nawet jak na PRL-owe warunki stanowi curiosum. Postępowanie wszczęto bez wymaganego wniosku strony, zainteresowanych o tym fakcie nie powiadomiono, tym samym pozbawiając ich prawa do udziału w postępowaniu; wreszcie o wydanej decyzji stron nie zawiadomiono. Restytuowano więc w postaci czystej postępowanie inkwizycyjne, pisemne i utajnione. *Ex lege* zatem decyzja wydana przez znanego ze swej politycznej gorliwości kierownika wydziału społeczno-administracyjnego Urzędu m. Krakowa, T. Jaglarza, była nieważna i nikt chyba rozsądny nie mógł jej poważnie potraktować.

Tak więc jedynie władze śledcze PRL oskarżając J. Czaputowicza i P. Niemczyka z art. 276 § 3 w zw. z art. 132 KK chciałyby widzieć w nich założycieli i przywódców przestępczego związku, który powstał, aby w porozumieniu z obcymi organizacjami szkodzić interesom politycznym PRL.

Proszę przyjąć wyrazy szacunku

Jan ROKITA

Monachium, 9 sierpnia 1986.

Szanowny Panie Redaktorze,

Chciałem Panu serdecznie podziękować za przełamanie milczenia w krytyce pewnych instytucji i postaw polityczno-moralnych emigracji najnowszej fali. Publikacja opowiadania „Można żyć” Janusza Rudnickiego (Marka Szczukockiego) powinna być szkołą, że przejście od systemu totalitarnego (mam nadzieję nieświadome), bezkrytycznego podejścia do pewnych organizacji, osób i zjawisk — bo to „szarganie świętości” — jest niczym innym jak kontynuacją na emigracji metod tego systemu. Zmowa milczenia w krytyce bądź wykorzystywanie pism emigracyjnych do osobistych porachunków doprowadziła, a w niektórych wypadkach już doprowadziła, że pisma te muszą umrzeć śmiercią naturalną, bo nie znajdują czytelników.

Szkoda tylko, a właściwie chwała Bogu, że z szarej masy potakiwaczy czemuś czy komuś, pozostała na rynku publicystyki emigracyjnej — *Kultura* — i za to chcę Panu serdecznie podziękować jeszcze raz.

Z poważaniem

Adam ROSENBUSCH

## LIST A. TIPLTA

W związku z „Memorandum w sprawie rzekomej masakry jeńców niemieckich w dniu 18 maja 1944 w ruinach klasztoru Monte Cassino” dr. Alexandra Tiplta, historyka z Unterhaching w Niemczech, zamieszczonym w numerze 76 *Zeszytów Historycznych* (maj 1986, str. 208-213) drukujemy list A. Tiplta, skierowany do wszystkich osób i instytucji, które dopomogły do wyjaśnienia tej sprawy.

1 lipca 1986.

Szanowni Państwo, wielbni Ojcowie, drodzy przyjaciele!

Od początku 1984 roku zajmuję się, razem z moim polskim przyjacielem Stanisławem Nowickim z Londynu, wyjaśnieniem pogłoski rozpowszechnionej przez Westdeutscher Rundfunk (WDR) w Kolonii. Dzięki złożonym zeznaniom i informacjom dopomogli nam Państwo bardzo w naszych badaniach. Chcielibyśmy za to serdecznie państwu w tym miejscu podziękować.

Rezultat naszych badań został w formie memorandum przekazany WDR. Oryginalne wydanie niemieckie (63 stron) nosi datę 23 września 1985 roku, polskie tłumaczenie, z uzupełnieniami, ukazało się 20 listopada 1985 roku (66 stron), w styczniu 1986 roku sporządzono streszczenie w języku angielskim (10 stron).

Prowadzona korespondencja między nowym Intendentem WDR Friedrichem Nowotnym a mną zakończona została następującym oświadczeniem WDR:

„WDR nadała 18 marca 1983 roku zamówioną w znanej z rzetelności firmie audycję, zatytułowaną 'Zbrodnie wojenne — na podstawie akt Komisji Wehrmachtu do badań zbrodni wojennych — front zachodni: 1939-1945'. Audycja ta zawierała stwierdzenia dotyczące wydarzeń związanych z zajęciem Monte Cassino



i rzekomym zamordowaniem rannych żołnierzy przez Polaków walczących po stronie alianckiej...

Na podstawie przedłożonej przez Pana dokumentacji WDR uznał, że 'zeznania świadka', na których opierały się wszystkie nieporozumienia były nieprawdziwe, i że inne dowody, historycznie jednoznaczne, stoją w sprzeczności z wypowiedzią nadaną w audycji. Po tak długim czasie jest zapewne bardzo ciężko udzielić żądanego zadośćuczynienia. WDR, którego programowym zadaniem jest słuzenie wyłącznie prawdzie i przyczynianie się do międzynarodowego porozumienia, żałuje nieprawdziwego historycznie przekazu, zwłaszcza jeśli dotyczył on pojedynczych osób lub grup osób i szuka możliwości sprostowania.

Z tego powodu WDR wyciął odcinek kwestionowany w Pańskiej dokumentacji i przy powtórcie audycji sprostuje to oraz uwzględni w zapowiedzi przedstawiony przez Pana sprzeciw".

Zwracając się przed kilku laty listownie po raz pierwszy do WDR i zgłaszając moje zastrzeżenia w tej sprawie, wyraziłem nadzieję, że żyję w kraju i w społeczeństwie, w którym możliwe jest popełnienie błędów, ale także przyznanie się do nich! Cieszy mnie, że się nie myliłem.

Ze szczególną satysfakcją przyjmą zapewne to sprostowanie do wiadomości ci, których honor został znieważony.

W imieniu własnym i mego przyjaciela Stanisława Nowickiego wszystkim serdecznie dziękuję i pozostaję

z przyjacielskimi pozdrowieniami

Aleksander TIPLT

## ODPOWIEDZI REDAKCJI

A.G., Sosnowiec. — Nie zamieścimy — bardzo słabe.

W.J., Australia. — Pana listu nie zamieścimy. Zawiera on zbyt dużo rażących nieścisłości.

Czytelnik z Krakowa, Wiedeń. — Nie zamieścimy.

Pp. Ignacy Icchak Kotlarski, USA; Krystyna Belter, Francja; Michał Rudawski, Szwecja (dwa listy, oba z datą 4.08.1986); Leon Zeitman, Dania; Chajkiel Pajes, Szwecja; L. Sereski, Paryż; Józef Śliwiński, Szwecja. — Listów nie zamieścimy ze względu na ich objętość. Ponieważ wszystkie dotyczą listu O. Bocheńskiego zamieszczonego w Nrze 7/466-8/467 *Kultury* i zarzuty się powtarzają, więc na te listy Ojciec Bocheński odpowiada zbiorowo.

Dr P.Ch., RFN. — Zobaczymy czy Czaji uda się przejść w przyszłorocznych wyborach do Bundestagu. Głośne przetargi o miejsce dla Hupki na liście wyborczej świadczą, iż akcje funkcjonariuszy „wypędzonych” gwałtownie spadają. Sądźmy, że to tylko Panu wydaje się, że Chilecki jest „szermierzem PRL-owskiej racji stanu”. Warszawskie ośrodki oficjalnej propagandy są w tym względzie nieco odmiennego zdania.

A.W., Wiesbaden (RFN). — Pana listu — artykułu polemizującego z artykułem p. Chylińskiej „Opozycja polska w oczach Niemców” (*Kultura* nr 5/464) nie zamieścimy. Zawiera on zbyt dużo nieścisłości i jest zbyt subiektywny.

Na Apel „Konfederacji 76”, Oddział Boston — na rzecz Polski Walczącej złożyli: W. Ostrowski, J. Zwitek, i członkowie „Solidarności” W. Micherda, W. Szypszak i Z. Padzik — po \$ 20,00; Z. Wallek, Z. Łabejsza, P. Janik, W.C. z Cambridge, A. Biedak, T. Pokorski i członkowie „Solidarności” Ks. A. Nadzieja, S. Borucki, T. Daniszewski, A. Sosnowska, T. Wojdakowski, A. Butkiewicz, W. Wierzbowski, M. Butkiewicz, C. Rybak i A. Kruczyński — po \$ 10,00 — razem: \$ 260,00 .....	F.1.755,00
W Redakcji <i>Listów do Polaków</i> złożyli: L. Żabicki — dla rodzin internowanych — \$ 10,00; J. Kubowicz — dla żony Z. Bujaka \$ 10,00; na pomoc Polsce Walczącej A. i M. Obuchowicz oraz Turysta z Polski po \$ 10,00 i M. Orłowski — \$ 20,00 — razem: \$ 60,00 .....	F. 405,00
Na Apel „Konfederacji 76”, Oddział Boston — Józefa Zwitek, Wellesley, Mass. (USA) — \$ 26,00 .....	F. 175,50
Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada) — za miesiące lipiec i sierpień br. po \$ 100,00 — \$ 200,00 ..	F.1.350,00
Stanisław Radwański, Paryż — na apel <i>Kultury</i> .....	F. 500,00
Fr. Rutkowski, Toronto, Ont. (Kanada) — dla uczczenia pamięci śp. mjr. Romana Proszka, w pierwszą rocznicę Jego śmierci — na pomoc dla prześladowanych i ich rodzin w Polsce — \$ c. 50,00 .....	F. 250,00
Lena Rożek, Pacifica, CA (USA) — zamiast kwiatów na grób przyjaciela, Mikołaja Lipskiego, zmarłego 21 lipca 1986 r. — \$ 30,00 .....	F. 202,50
Dr Zygmunt Stankiewicz, Sztokholm — Krs 350,00 .....	F. 350,00
Eugenia Szabelska, Paryż — na apel <i>Kultury</i> .....	F. 100,00
Marek Tokar, Bloomfield, N.J. (USA) — na pomoc więźniom politycznym i ich rodzinom — \$ 80,00 .....	F. 532,00
F. Włosiński (Szwecja) — na pomoc więźniom politycznym w Polsce — Krs 300,00 .....	F. 300,00

## WPLATY NA FUNDUSZ NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

A.A. i B.B., Woodhaven, N.Y. (USA) — po \$ 40,00 — \$ 80,00 .....	F. 540,00
Andrzej Brzeski, Davis, CA (USA) — zamiast kwiatów na grób prof. Edwarda Lipińskiego — \$ 100,00 .....	F. 675,00
C. i P. Czuchwiecey, Panorama, S.A. (Australia) .....	F. 336,10
E. i Z.K. — \$ 40,00, J. Bochra, M. i K. Hariasz, J. Psujek, E. i B. Kowalscy, W. i A.B. — po \$ 20,00; R. Cimek — \$ 15,00; „Łoś”, MP, TP, T. i S.P., K. Gawron — po \$ 10,00; „A” — \$ 5,00 — na pomoc podziemnym struktorem NSZZ „Solidarność” w Regionie Środkowoschodnim, tj. dla TZR i RKK oraz dla pisma <i>Informator</i> w Lublinie (nadesłał B. Kowalski) — \$ 210,00 .....	F.1.417,50
Polish Canadian Action Group, Toronto, Ont. (Kanada) na „Solidarność” w Polsce — \$ c. 999,79 .....	F.4.716,00
Stowarzyszenie Przyjaciół „Solidarności” (Friends of Solidarity) w Winnipegu, Man. (Kanada) — sumę zebraną podczas mszy św. za Ojczyznę 29 czerwca 1986 roku w kościele św. Andrzeja Boboli — \$ c. 277,00 .....	F.1.357,30

Wacław Sułek, South Hadley, MA (USA) — dla wrocławskiej „Solidarności” Walczącej — \$ 100,00 .....

F. 675,00

### WPŁATY NA FUNDUSZ DRUKARSKI IM. WŁADYSŁAWA GŁOWACKIEGO

Bezimiennie z Wuppertalu (RFN) .....	F. 161,91
Andrzej J. Chilecki, Kolonia (RFN) — Lit 75.000 .....	F. 375,00
Wojciech Szczygielski, Zurych, za miesiące lipiec i sierpień po F.szwajc. 30,00 — F.szwajc. 60,00 .....	F. 242,00

E. Buch, Libertyville, IL (USA) przekazuje na:	
— Fundusz Kultury — \$ 71,00 .....	F. 475,00
— Pomoc dla walczących w Kraju — \$ 71,00 .....	F. 475,00

Dla uczczenia pamięci Marii Halstead, zmarłej w maju br. w Santa Barbara, CA (USA) Andrzej i Irena Pleszczyńscy przekazują \$ 100,00, z czego:	
— na NSZZ „Solidarność” — \$ 25,00 .....	F. 168,70
— na Fundusz Drukarski im. Wł. Głowackiego — \$ 50,00 .....	F. 337,50
— na Fundusz Kultury — \$ 25,00 .....	F. 168,70

Edward Gil, Toronto, Ont. (Kanada) przekazuje na:	
— Fundusz Drukarski „Solidarność” — \$ c. 25,00 .....	F. 122,50
— pomoc dla więźniów politycznych — \$ c. 25,00 .....	F. 122,50

A. Kolator, Londyn, przekazuje na:	
— pomoc dla Kraju — £ 10,00 .....	F. 100,00
— Fundusz Kultury — £ 10,00 .....	F. 100,00

Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, Koło Nr 13 w Winnipegu Man. (Kanada) przekazało na:	
— Fundusz Drukarski im. Wł. Głowackiego — \$ c. 150,00 .....	F. 735,00
— pomoc dla rodzin aresztowanych członków „Solidarność- ci” — \$ c. 150,00 i \$ c. 100,00 — razem: \$ c. 250,00 .....	F. 1.225,00
— prasę podziemną „Solidarność” w Polsce — \$ c. 100,00 .....	F. 490,00
— Fundusz Kultury — \$ c. 100,00 .....	F. 490,00

Anonimowo z Calgary (Kanada) na KPN .....

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI  
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE  
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.  
Commission Paritaire N° 60789.  
Dépôt légal: 3<sup>e</sup> trimestre 1986.

Imprimé en France  
N° d'imprimeur 7939.

## PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
<b>Ceny na rok 1986</b>			
<b>AFRYKA POLUDNIOWA:</b> Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
<b>ARGENTYNA:</b> « Libreria Polaca », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
<b>AUSTRALIA:</b> Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$ A. 7,50	\$ A. 40,00	\$ A. 77,00
<b>AUSTRIA:</b> Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: 0222/93 87 222.	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
<b>BELGIA:</b> prosimy o przysyłanie należności za prenume- rate do administracji « Kultury » .....	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
<b>BRAZYLIA:</b> prosimy o przysyłanie czeków do adminis- tracji « Kultury » .....	\$ US 6,00	\$ US 30,00	\$ US 58,00
<b>DANIA:</b> O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
<b>FRANCJA:</b> do nabycia w redakcji « Kultury » i w księ- garniach polskich w Paryżu .....	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
<b>HOLANDIA:</b> Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B L Vlissingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176.	Fl h 20,00	Fl h 95,00	Fl h 175,00
<b>IZRAEL:</b> Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
<b>KANADA:</b> Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2. Tel.: 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; J. Korwin- Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing Co. », 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. (« Zwiastkowiec »), 1638 Bloor St. West. Toronto, Ont. M6P 4A8 .....	\$ can. 7,50 DM 14,00 F. 41,00	\$ can. 42,00 DM 80,00 F. 230,00	\$ can. 82,00 DM 150,00 F. 440,00
<b>NIEMCY:</b> St. Mikiciuk, Klommenstengt 8, 1500 Moss.	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
<b>NORWEGIA:</b> Br. Lubinski, Klommenstengt 8, 1500 Moss.	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
<b>SZWAJCARIA:</b> Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431.	F.S. 13,00	F.S. 70,00	F.S. 130,00
<b>SZWECJA:</b> Norbert Zaba, Kalkskärgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6.	K.S. 41,00	K.S. 230,00	K.S. 440,00
<b>U.S.A.:</b> S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 119 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dziewa- Pl., nowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel.: 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; Halina Kosciuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Mil- waukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia « Nowego Dziennika », 21, West 38th Street. New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	\$ US 6,00	\$ US 30,00	\$ US 58,00
<b>WIELKA BRYTANIA:</b> Orbis Books (London) Ltd., 66 Ken- way Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
<b>WŁOCHY:</b> Witold Zahorski, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.440; półroczna — F.230.  
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:  
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 (z Francji)  
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

# Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 418 — ANDRZEJ SZCZYPIORSKI

## POCZĄTEK

Nowa książka autora znakomitej „Mszy za miasto Arras” jest opowieścią w pewnym sensie historyczną. Za „początek” polskiej teraźniejszości Szczypiorski uważa Warszawę pod okupacją hitlerowską w rozlicznych aspektach. Opis losów bohaterów powieści jest historią niektórych korzeni polskiego „dzisiaj”: hitlerowski „początek” rzuca cień na komunistyczny „ciąg dalszy”.

Str. 160.

Cena F. 65,00.



TOM 419 — MAREK NOWAKOWSKI

## «GRISZA, JA TEBIE SKAŻU...»

Piąta książka Marka Nowakowskiego w „Bibliotece Kultury” zawiera opowiadania: AMAZONKA, WIZERUNEK, „GRISZA, JA TEBIE SKAŻU...”, ZAKON KAWALERÓW MAZOWIECKICH, ROZMOWA i GLOBUS.

Str. 176.

Cena F. 70,00.



TOM 421 — ZESZYTY HISTORYCZNE

## ZESZYT SIEDEMDZIESIĄTY SIÓDMY

Zawiera m.in. opracowania: Alfa: *Koppa* (Stanisław Mierzwa — z cyklu „Rozmowy niekontrolowane”); D. Beauvois: *Polacy na Ukrainie 1831-1863*; St. Wachowiak: *Wojna i okupacja 1939-1945*; M. de Hernandez-Paluch: *Nie wiem co się z tym dzieje...* (Rozmowa z przedstawicielem Huty im. Lenina); *Wywiad z Władysławem Frasyniukiem*; Hugh Gibson: *Powrót do Warszawy*; *Protokoły przesłuchań wicemin. Skarbu J. Kożuchowskiego przed Komisją, powołaną przez gen. W. Sikorskiego do zbadania przyczyn klęski wrześniowej* oraz obszerny dział RECENZJI i LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 70,00.